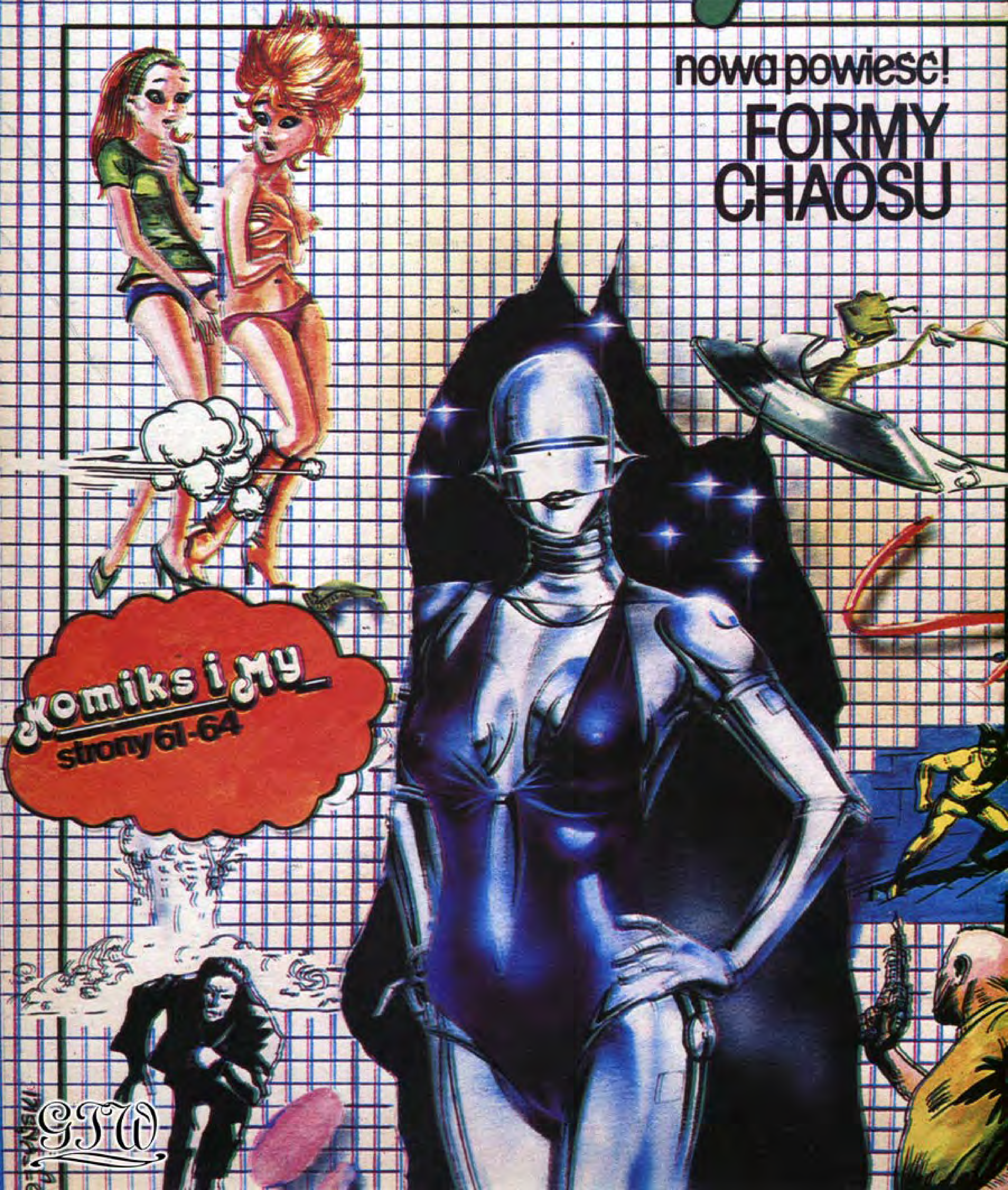
MIESIĘCZNIK

1 (16) STYCZEŃ 1984 CENA 50 ZŁ

Fantastyka





Frank Frazetta
ilustracja do
„Władcy Pierścieni"
J.R.R. Tolkiena



Werdykt jury naszego konkursu: dziewiętnaście prac nagrodzonych i wyróżnionych, wyrównany poziom czołówki, dobry warsztat, ciekawe pomysły. Okazuje się, że mamy nowe talenty.

Nasz konkurs

Marek Hemerling
Deneb III

…Jeżeli on - Mano - leży tam na dole bez życia i jednocześnie on - ten sam Manc - ogląda to wszystko, to coś się tutaj nie zgadza...”

Poezja i fantastyka

Tadeusz Śliwiak
Wiersze

Chcemy, aby poezja stała się chlebem codziennym miłośników SF.

Opowiadanie

Henry Kuttner
Próżny robot

„...W pewnym momencie wypuścił oczy na słupkach, ustawił je naprzeciwko siebie i szybko w drodze autohipnozy uwolnił swoją podświadomość. Mógł się lepiej w ten sposób podziwiać...”

Eurocon VIII

Ponad 2000 osób: wydawcy, pisarze i miłośnicy SF spotkali się w Jugosławii na VIII Kongresie Europejskim Science Fiction. Byli tam również przedstawiciele „Fantastyki”

Powieść

Colin Kapp
Formy Chaosu (1)

Najdroższy i najbardziej wyszkolony agent Oddziału Zadań Specjalnych Komanda Gwiezdnego przenika w szeregi floty największego tyrana Kosmosu...

Z polskiej fantastyki

Andrzej Zimniak
List z Dune

…Ponieważ wtedy właśnie przypadał wieczór służby prokreacyjnej, nie mogłem nawet wyrazić swojego niezadowolenia. Panie ustalały harmonogram wizyt u mnie...”

Parada wydawców

Editrice Nord

O kłopotach największego włoskiego wydawcy SF.

Krytyka

Słownik polskich autorów fantastyki

Ryszard Głowacki (ur 1937) - inżynier geolog oraz Jan Gnatowskt (1855-1925) - ksiądz pisujący pod pseudonimem Jan Lada.

Bibliografia utworów fantastycznych

Na prośbę wielu Czytelników rozpoczynamy druk bibliografii utworów fantastycznych wydanych w Polsce po 1945 roku.

Nauka i SF

Posiew śmierci

Czy kometa Halleya sprowadzi „morowe powietrze” na Ziemię Maciej Iłowiecki o hipotezach uczonych.

Oznaki upadku

Aurelio Peccei, prezes Klubu Rzymskiego o przyszłości nauki.

I już w nowym roku! Jak ten czas ucieka, jak leci: wciąga w przyszłość. Każe robić ciągle nowe kroki w nieznane. W tym findesieclowym okresie z powodu obaw, niepokojów, ze świadomości sytuacji w każdym niemal zakątku świata, podsycanej przez ciągle nowe wieści z massmediów,, istnieje i rośnie moda na wszystko co wykracza poza ścisłe granice naukowej wiedzy. Czasem mi aż głupio czy nieprzyjemnie, powiedziałbym lepiej - nieswojo - że „Fantastyka” mimo woli idzie ręka w rękę z różnego rodzaju prognozami przyszłości. Także i z tymi ze szklanej kuli, z czarodziejskich wróżb.

Przyszło mi jednak zaraz na myśl (dla samouspokojenia), że gdyby naprawdę w tym naszym świecie serio wierzono wróżbom, nikt by się za nimi nie uganiał, nikt by nie chciał ich nawet słuchać. Odkrycie przyszłości, przyszłości zwłaszcza jednostek, zrujnowałoby im ciekawość życia, jeden z podstawowych motywów istnienia. Może dlatego i do opartych na ściślejszych niż wróżby zasadach prognoz naukowych ludzie odnoszą się z niechęcią czy rezerwą, wiedząc, iż wiele z nich ma prawdziwe szanse urzeczywistnienia się. Wprawdzie prognozy naukowe nie mają charakteru jednostkowego, niemniej jednak jednostka może i (zdaje się jej w każdym razie) potrafi wyciągnąć z nich wnioski i dla siebie. Uwierzenie nauce mogą niektórzy odbierać jako próbę narzucenia im wiary w przeznaczenie. Często się u nas mówi, gdy kogoś dobre lub - częściej - gdy złe spotka, „tak mu było pisane”.

Zbyt jednak daleko zaszła ludzka wiedza, zbyt wielkie ma ambicje i konkretne aspiracje, aby się poddać tyranii prognoz, nawet... naukowych. Tu można dopatrywać się także jakichś źródeł płynącej z przekory postawy negacji nauki, niedowierzania jej metodom i sposobom. Mimo że ta dziedzina intelektualnej i praktycznej działalności ludzkiej, bodajże najbardziej charakterystyczna i istotna dla rodzaju homo sapiens, stała się bez porównania uczciwsza niż za swoich prapoczątków czy pierwszego okresu triumfów w zeszłym stuleciu. Zawsze podkreśla jedynie prawdopodobieństwa - a nie stuprocentowość swoich odkryć i stwierdzeń, sama wyszukuje dziury w swoim całym, sama tropi nielitościwie wszelkie luki w obrazie, jaki proponuje człowiekowi. Można by powiedzieć, iz sama sobie podcina gałąź, na którą się wspina. Mnie się wydaje, że dwa są niezwykle ważne i dalekosiężne cele badań naukowych: obydwa związane z najstarszymi baśniami i legendami, obydwa trafiające w największe marzenia i pasje ludzkie, obydwa fantastycznie śmiałe.

Pierwszy z nich to walka ze śmiercią. Niech sobie pesymiści twierdzą, ze - jak mówił jeden z laureatów Nobla - zmiany w długości życia, w zwalczaniu chorób, to tylko zmarszczka, drobna powierzchniowa falka, niewiele znacząca dla rozwiązań całości problemu. Minęło od tego powiedzenia kilkadziesiąt juz lat, a prawda jest bezsporna: współcześni ludzie żyją dziś ponad dwa razy dłużej niż w epoce Odrodzenia11 swoim odkryciom to zawdzięczają, realizacjom fantastycznych pomysłów, upartym dążeniem do celu, przez wielu uważanego za absolutnie nieosiągalny. Oczywiście trudno wyobrazić sobie co by się na świecie działo, gdyby udało się opanować wszelkie choroby, z dziedzicznymi włącznie, gdyby ludzie potrafili prostować genetyczne błędy, słowem zwalczać wszelkie obiektywne przyczyny śmierci. Niektórzy skądinąd poważni uczeni nawet z tak optymistycznej sprawy jak walka ze śmiercią wyciągają pesymistyczne wnioski, zastanawiając się na przykład nad tym, co stałoby się, gdybyśmy wiecznie żyli - z czego czerpalibyśmy zasoby surowców żywnościowych i innych dla straszliwie mnożącej się społeczności człowieczej. W dodatku nie umierającej. Oczywiście, iż ten teoretyczny problem istnieje, ale podkreślanie go zakłada niewiarę w siły ludzkiego intelektu, niewiarę w siłę marzenia - wyobraźnię i pomysłowość. Z zagadnieniem wyżywienia ludzkości i jej zaopatrzenia w surowce jest związana eksploracja przestrzeni kosmicznej - opanowywanie Wszechświata: od systemu słonecznego, którego jesteśmy mieszkańcami, po stopniowe sięganie do systemów gwiezdnych. Spór o to czy ludzkość jest „pleśnią świata”, przypadkowym tworem ewolucji, czy konsekwentnym etapem cyklu przemian materii Wszechświata trwa od zarania nauki. Ciągle nie rozwiązany. Oczywiście z teoretycznych wyliczeń wynika, że planet we Wszechświecie, takich jak nasza, z podobnymi do naszych warunkami do życia, musi być sporo. W każdym razie - jak sądzą niektórzy badacze - nie jesteśmy zapewne samotni w naturze Wszechświata, tylko jego ogromne, niewyobrażalne odległości i odmienności mogą wpływać na brak wzajemnych kontaktów i związków między istotami o rozwiniętym wysoko intelekcie. Niestety, jak dotychchzas, urządzenia jakimi dysponuje ludzkość są zbyt słabe, aby można było w ogóle mówić o jakichś bezpośrednich dowodach istnienia innych planet, przypominających planety naszego systemu słonecznego. Zresztą - nawiasem mówiąc - nasza nauka w żadnej dziedzinie już właściwie nie posługuje się bezpośrednią obserwacją. Jej doświadczenie, którego znaczenie rzecz jasna nie wygasło, lecz ciągle odgrywa podstawową rolę w ujawnianiu tajemnic, które nas otaczają, zdobywa się pośrednio - za pomocą specjalnych instrumentów i systemów obliczeniowych. Warto sobie czasem uświadomić jak nasze ludzkie doświadczenie unaukowione stało się abstrakcyjne!



Do sukcesów tej abstrakcyjnej metodyki zdobywania nowych informacji należą niewątpliwie wyniki ostatnich badań gwiazdozbioru Wega. Przypomina on bardzo system słoneczny. Jego wiek datuje się na kilkaset milionów lat, jeśli istnieje więc tam naprawdę system planetarny porównywalny z naszym, to musi on znajdować się na bardzo wczesnym jeszcze etapie ewolucyjnym, ponieważ nasz liczy sobie już, według uzyskanych danych, 4600 milionów lat. Życie ziemskie potrzebowało do swego rozwoju setek milionów lat. Nie mogło więc jeszcze powstać w gwiazdozbiorze Wegi, ale... może tam powstać. W ten sposób upadłoby ostatnio przeważające mniemanie o samotności naszego systemu planetarnego we Wszechświecie. Spotkanie innych istot nabrałoby tym sposobem rumieńców prawdopodobieństwa (bez względu na to, kiedy miałoby nastąpić).

Innych dowodów, także pośrednich i abstrakcyjnych, dostarczył badacz Peter van de Kamp z jednego z obserwatoriów w Pensylwanii, w USA, wykrywając zjawiska grawitacji wpływające na „zachowanie się” - jeśli można tak to określić gwiazd-słońc stosunkowo najbliższych naszego systemu planetarnego. Zaburzenia grawitacyjne tłumaczy wpływem na te gwiazdy krążących wokół nich planet. Tak jest, planet! Jeszcze nie ma potwierdzenia tych optymistycznych przypuszczeń. Nauka stara się jednak usilnie wykazać, że nie jesteśmy we Wszechświecie samotni. Jest to oczywiście pewna pociecha w sytuacji ziemskiej, w której przypadek, złośliwość czy idiotyzm grozi zniszczeniem życia. Całego i z kretesem! Miejmy nadzieję w tym styczniu 1984, iż ludzkość potrafi skutecznie przeciwstawić się najgorszej złośliwości i bzdurze. Prometejski nowy ogień ludzkości, genialny wynalazek - spożytkowanie energii atomowej - nie może paść ofiarą jakiegoś barbarzyńskiego działania. Nieprzypadkowo jednak w literaturze fantastycznej tyle wojennych przygód, tyle tragedii unicestwienia, jakie nawiedzają Wszechświat. Jest to jeden ze sposobów postrzegania - a ponieważ fantastyczne opowieści czytają zarówno wielcy, jak i maluczcy tego świata, metoda publikowania takich opowieści nie mija się z celem. Nie będę dziś wyróżniał żadnych pozycji z tego pierwszego w tym roku wspólnego orbitowania. „Szukajcie a znajdziecie” - jak powiada Pismo Święte.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

Skan i opracowanie **GTW**

MIESIĘCZNIK literacki Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów,
ul. Służby Polsce 2,
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red nacz.) Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski .(kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red,), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury :, polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Oarosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz). Opracowanie graficzne: ' Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-KsiązkaRucn”, ul. Noakowskiego 14,00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 2556-26.

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW ,,Prasa-Książka-Rucn” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach, - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych - osoby zamieszkałe na wsi t w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach: pocztowych i u listonoszy, - osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Rcich” ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Rucb Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28; 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych t o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenumeraty: - do dnia 10 listopada na i kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, - do dnia I każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul Okopowa 58/72. Druk t oprawa P.Z Graf RSW Lódź. Zam 2314/83 r. N 150000 egz M-6

Nasz konkurs Nasz konkurs Nasz konkurs

FINAŁ

Ufff - proszę Państwa - mamy to za sobą! I proszę nie myśleć, że określenie „za sobą" jest w poprzednim zdaniu najważniejsze. Na szczęście, nie - dumne ,,m a m y" znacznie lepiej trafia w sedno naszych pokonkursowych odczuć.
Proszę zresztą przeczytać werdykt naszego jury. Dziewiętnaście prac nagrodzonych i wyróżnionych, wyrównany poziom czołówki, dobry warsztat, ciekawe pomysły - w sumie wyszła bardzo ciekawa, bogata tematycznie książeczka o zupełnie przyzwoitej objętości. Może uda się nie czekać na tę książeczkę zbyt długo.
Przeżywaliśmy, my wszyscy w „Fantastyce", w czasie trwania tego konkursu dość sprzeczne uczucia, czego przejawy zawędrowały na łamy. Nasze badanie „zapasów narodowej wyobraźni" dawało zrazu wynik przygnębiający. Być może nie należało histeryzować, tylko spokojnie przeczekać falę tekstów gorszych, nieprzemyślanych - takimi zawsze i wszędzie obsyłane są przecież wszystkie konkursy i nie ma na to rady. Talenty nie rodzą się na kamieniu; pewna jakość literacka jest zawsze wynikiem selekcji, odsiewu. Ale nie znając naszych lęków, nie moglibyście Państwo w takim stopniu jak dzieje się to teraz, podzielać naszej radości. Przez chwilę zatrzymajmy się jeszcze przy tekstach odrzuconych, tych których Państwo nie przeczytacie, a tym samym nie będziecie mogli sprawdzić słuszności zastosowanych przez nas kryteriów. Tylko po części były to niechlujne śmiecie powstałe na kolanie bez szacunku do pisanego słowa. Po wielokroć były to ciekawe próby rozegrania standardów będących już wspólnym dorobkiem gatunku; próby młodzieńcze, w których widać rzetelne choć jeszcze nie uwieńczone powodzeniem poszukiwanie własnego tematu i tonu.
W owych „zapasach narodowej wyobraźni" spotkaliśmy nie tylko produkty gotowe, ale i takie, które dopiero dojrzewają. Autorzy tych drugich to zapewne za rok-dwatrzy nasi przyszli współpracownicy, choć nie wszyscy akurat w dziedzinie literackiej. Niektórzy z Państwa wykorzystywali bowiem konkurs literacki, jako pretekst do popisania się kunsztem plastycznym. I tak np. MAREK BEYROWSKI z Lęborka przysłał nam pięknie zilustrowany zeszyt-książeczkę, w której nie młodzieńcza powieść „Zawsze sam „ jest najbardziej godna uwagi, lecz właśnie kształt tomiku: ilustracje wykonane przez autora, integralnie wplecione w kształt kolumny i sprzężone z tekstem. Bardzo się nam to podobało, choć zarówno na druk minipowieści, jak i zreprodukowanie ilustracji w numerze jest może trochę za wcześnie. Proszę pamiętać, że wśród tekstów, które nie otrzymały ani wyróżnienia, ani nagrody, sporo jest właśnie takich, które pomijamy w naszym werdykcie z trochę ciężkim sercem.
Prostsza sprawa z nagrodzonymi. Tu, koń jaki jest - każdy widzi. Albo zobaczył- przypominamy, że przed miesiącem ukazały się u nas opowiadania „Taki był początek" i „Mag". Albo zobaczy... Lista laureatów obejmuje zarówno autorów opowiadań nieco dłuższych, jak i typowych short-story; mamy tu także parę dokonań poetyckich. Wszystkie teksty prezentują już niezłą kulturę literacką i choć niektóre z nich wymagają jednak opracowania redakcyjnego i czyszczenia języka, to jest to w każdym razie praca nad materiałem godnym tego by nad nim trochę popracować. Wśród autorów przeważają mężczyźni - w fantastyce tak było zawsze. Pomysły, ujęcie tematu są dość oryginalne, musimy przyznać, że wraz z konkursowym plonem wdziera się w nasze łamy powiew świeżości. Te teksty są zdecydowanie różne - bardziej refleksyjne, intelektualne - od tego co publikujemy na kolumnach zagranicznych i nieco jakby mniej zamknięte w ramach gatunkowego getta niż teksty ukazujące się na kolumnach polskich. Nowe ujęcia, nowe tematy czy mogliśmy marzyć o czymś więcej? Jeszcze raz dziękujemy Wszystkim Uczestnikom Naszego Konkursu. Koniec wieńczy dzieło - gra była warta świeczki (a może raczej... lasera). Wymienionych w werdykcie autorów, którzy nie podali swoich adresów, prosimy o naprawienie tego błędu. Pierwszy literacki konkurs „Fantastyki" ogłaszamy za zamknięty.

Redakcja

LAUREACI

Po zapoznaniu się z 689 zestawami prac, które wpłynęły na konkurs „Fantastyki", jury w składzie: Adam Hollanek, Andrzej Krzepkowski, Andrzej Niewiadowski, Maciej Parowski (przewodniczący) i Andrzej Wójcik, na posiedzeniu w dniu 5 października 1983 r. postanowiło, co następuje:

I miejsce w konkursie zajmują wspólnie

MAREK HEMERLING za opowiadanie **„Deneb III**" i
MICHAŁ SZARZEC za opowiadanie **„Taki był początek"**

II miejsce

FELIKS W. KRES za opowiadanie **„Mag"**

III miejsce zajmują wspólnie:

ANDRZEJ AUGUSTYNEK za opowiadanie **„Atak"**
WALDEMAR KAMIŃSKI za opowiada nie **„Koniec wszechświata" LESZEK KRASKOWSKI** za opowiada nie **„Inspekcja"**

Z uwagi na bardzo wyrównany poziom prac jury postanowiło nie różnicować nagród i zdobywcom miejsc od I do III przyznać tę samą nagrodę - roczną wysyłkę naszego miesięcznika na rok 1984.



Oprócz prac nagrodzonych jury dostrzegło w konkursie kilkanaście prac wyróżniających się dobrym literackim warsztatem i ciekawymi pomysłami. Autorom tych prac jury przyznaje książki z dziedziny SF. Otrzymają je w kolejności alfabetycznej autorzy następujących tekstów:

BOGUSŁAW BORYCZKO - „Trzecia brama"
MACIEJ GAŁOSZEK - „Manuał skazanego"
MAREK HEMERLING - „Droga
DARIUSZ LEBIODA - „Piloci ultrafioletowych dali"
JAN LUBOS - „Mutant"
JACEK MARTYNIK - „Okrąg czasu
WACŁAW MITORAJ - „Brzask na Pustkowiu Kraba"
DARIUSZ ROMANOWSKI - „Świat za szkłem"
ALEKSANDRA SIEMIENIEC -„Chciano ją uratować"
G. STEFAŃSKI - „Kawałek końca"
JERZY STRUSIŃSKI - „Bariera
ANDRZEJ TUZIAK - „Człowiek publiczny"
JAN WOJEWÓDZKI - „Dziedzictwo



Utwory nagrodzone będą sukcesywnie publikowane na łamach „Fantastyki". Ukażą się ponadto w tomach 7/8 cyklicznej antologii młodych „Spotkanie w przestworzach" wydawanej przez KAW. Cały plon konkursu - utwory nagrodzone i wyróżnione - złoży się na specjalny tom antologii pokonkursowej, o której wydanie jury zwróci się do oficyny gwarantującej najkrótszy termin druku. Każda z tych publikacji, za każdym razem odrębnie, będzie honorowana odpowiednimi stawkami autorskimi.



Jury serdecznie gratuluje Wszystkim Nagrodzonym i Wyróżnionym Autorom, dziękując jednocześnie Autorom pozostałych 670 zestawów prac, że zechcieli wiać udział w naszym konkursie.

Deneb III

Marek Hemerling

I nagroda w konkursie „Fantastyki"

I

Budowa stacji posuwała się w błyskawicznym tempie. Grupy automatów krążyły wokół elementów konstrukcyjnych wykonując swoje zadania szybko i bezbłędnie. Cześć maszyn pracowała w wykopie, gdzie montowano prowizoryczne źródło energii; reszta zajmowała się wznoszeniem korpusu stacji. Givensowi obserwującemu to wszystko przyszła na myśl gromada pracowitych mrówek, krzątająca się wokół swojego domostwa. Zaczęły nie dalej jak przed godziną, a już można było dostrzec ogólny zarys konstrukcji.
- Nieźle im idzie - powiedział sam do siebie. - Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, to skończymy wcześniej niż przewidywałem." W otwartych drzwiach kabiny pojawił się Mana Wolnym krokiem podszedł do fotela i usiadł ciężko. Givens przyglądał mu sie przez chwile. Na twarzy Manca było widoczne zmęczenie i zniechęcenie. Oczy Manca bez najmniejszego zainteresowania patrzyły w ekran, na którym Givens kontrolował budowę.
-'Nie wiem co Korn widzi w tej skorupie - powiedział ciężko Manc.
- Planeta jak każda inna, nic nadzwyczajnego tu nie ma. Jakieś góry, morza, w sumie pustka, ani żywej duszy.
- Żadnych organizmów?
- Na razie nic. Braliśmy wprawdzie próbki tylko w promieniu stu kilometrów, ale tak na zdrowy rozum widać, że to tylko strata czasu. Skąd na tym pustkowiu miałoby się wziąć jakieś życie? Temperatura otoczenia waha się w okolicy osiemdziesięciu Kelvinów. Pod nogami szron, nad głową chmury. Zwariować można. I jeszcze to ciążenie. Człowiek waży tu prawie dwa razy więcej niż normalnie. Aż strach wychodzić z łazika, ten przynajmniej utrzymuje przyzwoitą grawitacje.
- A gdzie O'Pull?
Manc wzruszył ramionami.
- Znalazł niedaleko stąd jakieś niezwykle ciekawe minerały słowa: „niezwykle ciekawe" wymówił z taką ironią, że Givens aż sie uśmiechnął. - Został, żeby wziąć próbki. Powinien zaraz wrócić.
- To dobrze. Niedługo pewnie będziemy tu mieli burze. Lepiej byłoby dla niego, żeby zdążył na czas.
Givens zamilkł i jakiś czas przebierał nerwowo palcami po brzegu pulpitu. Oczy miał podpuchnięte od niewyspania. Ponad trzydzieści godzin na nogach i bez przerwy w akcji. Lądowanie, analiza otoczenia, wybór miejsca pod stacje. W dodatku byli zdani wyłącznie na siebie i centralny analizator statku.. Łączność z pozostającym na orbicie stacjonarnej Axelem-156 uniemożliwiły im chmury. Tworzyły zasłonę nie do przebicia; zawodziły wszystkie znane techniki. Chmury miały tu taką gęstość, że fale - od radiowych do podprzestrzennych - grzęzły w nich bezpowrotnie. Wiedzieli o tym już wcześniej, gdy wlatywali do układu Deneb i próbowali zaobserwować powierzchnie Trzeciej. Dlatego wysłano ich na rozpoznanie. Mieli sprawdzić wszystko na miejscu i najpóźniej po trzech dniach wystartować. Potężny Axel-156 krążył cały czas na orbicie, czekając na ich powrót. Na pulpicie zamigotało pomarańczowe światło. Zgłaszał sie O'Pull. Givens wcisnął klawisz łączności.
- Nie mogłem wcześniej. Ciągle były jakieś zakłócenia - glos mówiącego zdradzał podekscytowanie.
- Jeśli skończyłeś to wracaj, spodziewamy się burzy.
- Jestem już w drodze, ale posłuchaj co się stało. Znalazłem dosyć ciekawe minerały i automaty zaczęły kopać. Chciałem zbadać skałę macierzystą. I wiesz co? Grunt się obsunął. Zaglądam do środka, a tam jakiś tunel. Idealnie okrągły, średnica może z pięć, sześć metrów. W pierwszej chwili zgłupiałem. Potem wysłałem automat. Wrócił po kilku minutach. Nie ma przejścia, tunel jest zasypany.
Givens słuchał uważnie, Manc pokręcił głową z dezaprobatą.
- Młodzik - mruknął. - Niepotrzebnie się podnieca.
- Tak myślisz?
Manc wstał z fotela prostując swoje potężne ciało.
- Jeśli rzeczywiście było tu kiedyś cos w rodzaju cywilizacji, to w tej chwili zostały same ruiny. Nie mam zamiaru chodzić z ich powodu na rzęsach. Jestem zmęczony. Wezmę natrysk radiacyjny i idę spać.
Wyszedł. Givens wyciągnął się w fotelu. Też miał ochotę pospać, ale musiał poczekać na powrót O'Pulla. W tej chwili starał się złożyć jakiś obraz całości z poznanych faktów. Prawdę mówiąc, nic jeszcze nie wiedzieli. Poza tym, że planeta jest dla nich zabójcza. Podwójne ciążenie, kłopoty z łącznością, trująca atmosfera. W dodatku na Deneb III nie było przemienności nocy i dnia. Warstwa chmur wydzielała rodzaj białego światła, rozjaśniającego równomiernie obie półkule. Givens przypuszczał, że chmury wyłapują promienie centralnej gwiazdy, magazynują je w jakiś sposób, a potem rozdzielają po powierzchni globu. Ciekawy fenomen natury. A może nie tylko natury? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Na stole leżała niedawno wykończona mapa Deneb III, złożona ze zdjęć. Wysyłali specjalnie programowane sondy latające. Było z tym trochę kłopotu. Musieli opracować nowy system matryc dla automatów, bo nie dało sie kontrolować lotu za pomocą satelitów z powodu chmur. Normalna łączność też zanikała w odległości dziesięciu, najwyżej piętnastu kilometrów. W końcu jakoś sobie z tym poradzili. Wprawdzie kilka pierwszych maszyn nie wróciło, ale zdobyli w miarę dokładny obraz globu z wyjątkiem biegunów, gdzie góry były tak wysokie, że ginęły w chmurach i tumanach jakiejś lepkiej mgły. Diabli wiedzą, co to za mgła. Jeszcze jedna zagadka. Wiatru ani na lekarstwo, a mgła łazi tam i z powrotem. Dziwne, ale w końcu nie do nich należy rozwiązywanie tych problemów, bo wtedy załoga stacji, którą właśnie budują, nie miałaby nic do roboty. Komandor Korn na pewno zostawi tu paru ludzi. Będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby wygrzebać, opisać i sklasyfikować - a w wolnych chwilach wyjaśnić - wszystkie niepojęte w tej chwili zjawiska.
Givens nie rozumiał ludzi. Siedzieć całe lata gdzieś na peryferyjnej planecie - to przerażające. On sam uznawał tylko loty. Zajmował się tym od młodych lat i chwalił sobie takie zajęcie. Owszem, jakiś wstępny zwiad, rozpoznanie, ale nie dać się zamknąć na tyle czasu w jednym miejscu!
Sygnał dźwiękowy wyrwał go z głębokiej zadumy. Zbliżał sie łazik O'Pulla. Givens otworzył przejście w polu siłowym i pojazd, kołysząc się z boku na bok, wjechał po trapie do ładowni. W chwile później O'Pull wszedł do kabiny.
- I co ty na to? - zagadnął już od progu.
- Nie wiem - głos Givensa był daleki od entuzjazmu.
- Jutro wezmę automaty i ciężki sprzęt. Spróbuje odkopać ten tunel. Gdzieś musi nas doprowadzić.
- Nie spodziewaj się rewelacji. Jest zasypany, a wiec nikt go od dawna nie używa. Poza tym to już nie nasza sprawa. Nie jesteś archeologiem, tylko biologiem. Przekażemy materiały ekipie, która tu zostanie i jazda, nie ma nas.
- Szkoda - O'Pull westchnął.
- Nie ma czego żałować. Ta planeta to naprawdę nic ciekawego.
- To moja pierwsza wyprawa pozaukładowa. Pewnie dlatego wszystko wydaje mi się interesujące i godne uwagi.
- Chyba masz racje.
Niebo przecięła błyskawica. Ponury grzmot dotarł po czterech sekundach.
- Zaczyna się - mruknął O'Pull.
Zewnętrzne czujniki przekazywały do kabiny narastający szum wichury. Następna błyskawica uderzyła pół kilometra od statku.
- Szczęście, że zdążyliśmy otoczyć teren budowy polem siłowym - powiedział Givens.
Burza narastała. Naładowana elektrycznością atmosfera planety eksplodowała raz za razem. Cała kopuła ochronna jakby materializowała się. Przebiegały po niej różnobarwne ogniki, tworząc mozaiki fantastycznych wzorów. Givens często, oglądał podobne widowiska, ale za każdym razem chłonął je na nowo. Natura bawiła się w stwarzanie barwnych dzieł sztuki, które potem uznawszy widocznie za nieudane - natychmiast niszczyła.
- To trochę potrwa - stwierdził wyłączając fonie. Cisza, jaka zapanowała w kabinie, nie pasowała do barwnego widowiska rozgrywającego się na ekranie.
- Możemy chyba trochę odsapnąć - powiedział do O'Pulla. - Za trzy godziny automaty zakończą budowę stacji. Należy nam sie chwila snu.
- Wątpię czy będę mógł zasnąć. Ten tunel nie daje mi spokoju.
- Przecież widzę, że ledwo patrzysz na oczy - Givens klepnął go po plecach. - Idziemy.

II

Zaraz po przebudzeniu Givens stwierdził, że automaty zakończyły budowę stacji. Postanowili wiec natychmiast tam sie przenieść.

Dwa dni w ciasnych kabinach statku zwiadowczego dopiekły całej trójce.
- Przynajmniej będę mógł wyprostować plecy bez obawy, że rozwalę głową sufit - powiedział Manc podczas przeprowadzki. Przenieśli na stacje kopie wszystkich materiałów, jakie zdobyli podczas pobytu na Deneb III. Mapy, obliczenia, wyniki analiz, próbki - pieczołowicie przetransportowane i zabezpieczone, spoczęły w hermetycznych pojemnikach i magnetycznej pamięci centralnego komputera.
Potem Givens wyprowadził z hangaru łazik i cała trójka wyruszyła w drogę.
Jechali w kierunku tajemniczego tunelu. Manc nie chciał się tam grzebać, ale Givens stwierdził, że właściwie zrobili już wszystko co do nich należało i mogą trochę czasu przeznaczyć na ten rekonesans. W końcu on był dowódcą zwiadu i do niego należała ostateczna decyzja. A w gruncie rzeczy nie wolno im było zbagatelizować tego odkrycia. Skoro mogą zbadać sprawę na miejscu, powinni tam pojechać.
Dookoła jak okiem sięgnąć rozpościerała się oszroniona równina. Stacją zlokalizowano w samym centrum rozległego płaskowyżu, wiec teren był równy i gładki jak stół. W oddali nad linią horyzontu majaczyły wzniesienia. To tam właśnie O'Pull dokonał swojego odkrycia, które - jak twierdził zgryźliwie Manc - postawi na głowie całą egzobiologie wraz z pokrewnymi naukami. Ale Manc taki już był i nikt nie miał mu tego za złe. Dotarli do wykopu po godzinie. Wstępne oględziny potwierdziły relacje O'Pulla. W głąb chodnika wysłano ciężki sprzęt. Przejście pojawiło się po dwudziestu minutach. Zabrali ze sobą kilka automatów i ruszyli.
Tunel schodził w dół pod kątem dwudziestu paru stopni. Był nie używany do bardzo dawna, świadczyły o tym porozrzucane wszędzie kamienie i większe głazy, które musieli co chwila omijać. Nie dało się wykorzystać łazika ani żadnego innego środka lokomocji. Tunel miał za mały przekrój. Po naradzie Givens zadecydował, że trzeba będzie odbyć spacer. Najbardziej dokuczało zwiększone ciążenie planety. Manc klął całą wyprawę. Szli jak w gęstym syropie - każda komórka, każdy nerw ciała ważyły podwójnie. Co prawda byli na to uodpornieni - nie takich cudów doświadczali na poligonach - ale zawsze dodatkowy kłopot.
Mieli za sobą parę monotonnych kilometrów wśród ciemności rozświetlonych reflektorem. Manc chciał właśnie zaproponować powrót, gdy zza kolejnego zakrętu wyłonił się imponujący widok.
Tunel przechodził w rozległą, pięćdziesięciometrową przepaść. W dole, na obszarze wielu hektarów, dostrzegli plątaninę najdziwniejszych kształtów. Kanciaste i obłe



formy różnych wielkości i w różnych zestawieniach, pogrążone w absolutnym bezruchu. Widok tyleż niesamowity, co niezrozumiały. O'Pull stanął jak wryty, Givens kręcił ze zdziwienia głową, a Manc gwizdnął przeciągle. Trwali tak znieruchomiali przez jakiś czas, aż wreszcie O'Pull pierwszy otrząsnął się ze zdumienia i wydał polecenia automatom, które zaczęły rejestrować obraz.
- Ruina - stwierdził Manc po dłuższej chwili.
- Przydałoby się zejść na dół - powiedział Givens. O'Pull przechylony spoglądał w przepaść.
- To nie będzie łatwe, ale spróbować można.
Koniec rozwiniętej liny opadł na dno hali. Automat wstrzelił w ściany korytarza kilka haków. Tkwiły pewnie w granitowej płycie.
- Winda gotowa, szefie - zwrócił się Manc do Givensa. - Można przeciąć wstęgę i jechać.
Chciał chyba jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Z dołu dobiegł jakiś szum, coś na kształt zrywającej się wichury. Powietrze zawirowało i silny podmuch uderzył w galerie, na której stała cała trójka. O'Pull upadł na ziemie, Givens chwytając za linę krzyknął coś, ale w narastającym ryku wichury nie można było rozróżnić słów. Zanim O'Pull pojął, że trzeba wyłączyć zewnętrzne mikrofony i zostawić tylko łączność radiową, zauważył kątem oka, że coś dziwnego dzieje się z Mancem. Stał na samym skraju, tuż nad przepaścią i chwiał się balansując w podmuchach wichury. Coraz silniej ściągało go w dół. Wreszcie przechylił się niebezpiecznie i zniknął z pola widzenia.
Lecąc w dół Manc widział skałę przebiegającą obok niego w szalonym pędzie. Doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji. Zrozumiał, że ginie. Upadek z takiej wysokości, przy dwukrotnie większej sile ciążenia to pewna śmierć. A jednocześnie cała jego świadomość wzywała pomocy. Zwykły, zwierzęcy strach wziął górę nad chłodnym rozeznaniem sytuacji. Zaczął krzyczeć. Poczuł jakieś uderzenie i odbiwszy się od skały leciał dalej w dół, a jego ciało zawirowało. W pewnym momencie wzrok uchwycił zbliżające się dno - kamienista powierzchnia, od której dzieliły go tylko ułamki sekund. Zacisnął powieki.
- Nieee!!...
I wtedy poczuł, że zamiast spadać w dół leci spokojnie gdzieś w bok, niczym nie skrępowany. Otworzył oczy. Jego własne ciało w tej właśnie chwili runęło na powierzchnie gruntu. Widział to tak wyraźnie, jakby ktoś ustawił mu przed oczami aparat wyostrzający i spowolniający obraz. W pierwszej sekundzie wydawało mu się, że stracił zmysły. Ale wszystko było w porządku. Dookoła szalała wichura, ciało leżało roztrzaskane w poszarpanym skafandrze, na górze - w wylocie chodnika - tkwili dwaj ludzie unieruchomieni na jakiś czas tym samym żywiołem, który jego strącił w przepaść.
Zaraz, chwileczkę. Jeżeli on - Manc - leży tam na dole bez życia i jednocześnie on - ten sam Manc - ogląda to wszystko, to coś sie tutaj nie zgadza. Był zbyt dużym racjonalistą, żeby tak po prostu zgodzić się z absurdem. Bo przecież nie jest w porządku, jeżeli człowiek ginie i jednocześnie widzi własną śmierć. Największy racjonalista musi ugiąć się przed materiałem dowodowym, jaki stanowią fakty. Faktem zaś było, że on - Manc - w bliżej niewyjaśniony sposób opuścił swoją cielesną powłokę. Czy można w takiej sytuacji mówić, że zginął? Manc nazwałby idiotą każdego, kto śmiałby wysunąć taką teorie w jego obecności. Tylko że właśnie ta „jego obecność" była dość problematyczna. Żywa, myśląca, ale bezcielesna osobowość Manca poczuła sie nagle zabłąkana i porzucona. Dla swoich towarzyszy pozostanie tylko roztrzaskanym ciałem. A komu może być potrzebna dalsza wegetacja w tej - tak przecież nietypowej - formie? Przez chwile czuł się zagubiony w obcym świecie nieznanej planety. Ale tylko przez chwile, bo oto poczuł nagle jakąś fale nadziei, ciepła i serdeczności. Było w tym coś tak irracjonalnego, że sie zdumiał. Fakt jednak pozostawał faktem. Manc nie potrafił sobie tego wytłumaczyć; czuł jednak, że nie jest osamotniony. Jakby jakiś głos dodawał mu otuchy i przyzywał do siebie. Nie był to oczywiście głos; jeżyk ludzki jest zbyt ubogi, aby określić takie stany. Lecz mimo że Manc nie potrafił tego nazwać, rozumiał niejako podświadomie swoje nowe położenie. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na martwe ciało w skafandrze poddał się nagłącemu wezwaniu.



III

Śmierć Manca przybiła O'Pulla. Ten wiecznie zaaferowany młody człowiek, wierzący niezachwianie w potęgę rozumu i wyższość ludzi nad nieokiełznanymi siłami natury, stanął nagle wobec okrutnej rzeczywistości tak bezbronny, że Givens poważnie zaczął się o niego martwić.
Przez całą powrotną drogę nie zamienili ani słowa. Givens prowadził pojazd, a O'Pull siedział w kącie wpatrzony w roztrzaskane ciało Manca, jakby wzrokiem chciał przywrócić zmarłemu życie. Gdy byli już w śluzie stacji, O'Pull nie wytrzymał:
- To moja wina - wykrztusił. - To ja namawiałem was, żeby włazić w ten przeklęty korytarz. On nie chciał tam iść. Zupełnie jakby wiedział!
- Gadasz głupstwa - brutalnie pocieszał go Givens. - Kto mógł przewidzieć, że spotka nas coś takiego? Różnice ciśnień i temperatur spowodowały ten podmuch, a cała reszta to tylko nieszczęśliwy wypadek. Zastanów się spokojnie na tym, a zrozumiesz, że nie ma niczyjej winy. Zresztą jako dowódca zwiadu jestem na pewno odpowiedzialny bardziej niż ty.
O'Pull zamilkł, ale Givens wiedział, że nie przekonał chłopaka. Znał takie sytuacje i rozumiał, iż na to potrzeba czasu. Jutro wrócą na orbitę, gdzie czeka potężny Axel-156 i gdzie komandor Kom na pewno się już o nich niepokoi. Później opuszczą układ Alfy Łabędzia i ruszą dalej. Cały tragiczny epizod ze śmiercią Manca zniknie z pamięci O'Pulla pod natłokiem nowych spraw. A potem przyjdą inne gwiazdy, inne planety.
Drzwi śluzy ustąpiły. Automaty wraz z ciałem Manca kierowały sie w stronę chłodni. Givens poszedł za nimi. Chciał osobiście dopilnować, by ciało zmarłego znalazło się w sterylnym pojemniku. Potem wolnym krokiem ruszył w kierunku centrali łączności. Przechodząc koło kabiny O'Pulla przystanął na moment. Wiedział, że chłopak jest w środku, chociaż zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Ręka odruchowo wyciągnęła się, aby zastukać, ale po chwili cofnął ją i poszedł dalej.
- Takie rzeczy trzeba rozgryzać w samotności - myślał. - Właściwie powinienem z nim pogadać, ale nie tam. Może sam zrozumie, że to nie jego wina i nikt nie ponosi odpowiedzialności za to, co się tu wydarzyło.
Doszedł do centrali i usiadł w fotelu.
- Swoją drogą Manc naprawdę miał pecha. Przelecieć sto dwadzieścia parseków, aby tak po prostu skręcić sobie kark. Włączył pulpit i zaczął sprawdzać podzespoły. Wszystkie kanały pracowały bez zarzutu. W kabinie było słychać tylko ciche trzaski wyładowań elektrycznych. Uruchomiwszy blok wizji rzucił okiem na smukłą sylwetkę Spestakosa. Kolejny klawisz - sygnał wywoławczy przyjęty. Twarz O'Pulla na ekranie; niema, pytające spojrzenie.
- Sprawdzam łączność - powiedział Givens tonem usprawiedliwienia. Chłopak kiwnął głową.
- Byłoby dobrze, gdybyś posiedział trochę w laboratorium. Automaty dostarczyły nowe partie próbek. Popracujesz nad tym do wieczora, a jutro wracamy na górę.
- Dobrze, idę tam. O'Pull wyłączył się.
- Najważniejsze, żeby go teraz zająć czymkolwiek i nie dać czasu na rozmyślania - stwierdził Givens w duchu.
Sprawdził jeszcze połączenie z centralnym mózgiem i automatami pracującymi poza stacją. Wszystko było w najlepszym porządku. Z głośnika dobiegał cichy szum i jakiś pisk - jeden, dwa, trzy, chwila ciszy i znowu, jeden, dwa, trzy..
- Co to za kawały - zdziwił się Givens.
Spróbował dostroić dokładniej aparaturę. Sygnały stopniowo słabły, aż wreszcie zanikły zupełnie mimo ponawianych poszukiwań.
Interesująca sprawa. Czysty przypadek, czy celowa ingerencja jakiejś nieznanej siły? Givens zakodował w pamięci komputera częstotliwość, na której pojawiły się sygnały i nastawił urządzenia tak, aby w razie powtórzenia serii impulsów całość została zanotowana w pamięci maszyny.
Resztę dnia zajęło mu porządkowanie spraw związanych z budową stacji. Uniwerproduktory wytwarzały ostatnie elementy wyposażenia i wszystko to trzeba było rozmieścić we właściwy sposób. Tak, by ekipa badawcza, która pojawi się tu za kilka dni, miała przygotowane całe zaplecze techniczne. Brak Manca dawał sie w tej robocie trochę we znaki, ale Givens jakoś ze wszystkim sobie radził. Miał przecież do pomocy całą armie automatów i zaprogramowany komputer stacji.
W czasie kolacji Givens dostrzegł z ulgą, że O'Pull trochę otrząsnął się z przygnębienia. Mówił z ożywieniem o ostatnich analizach denebskiego gruntu, w którym znalazł ciekawe gatunki bakterii, wegetujących mimo niesprzyjających warunków. Rozmowa - dyskretnie prowadzona przez Givensa - omijała wszystkie szczegóły związane z osobą Manca i porannymi wypadkami. Później rozeszli się - każdy do swojej kabiny. O'Pull był tak wyczerpany minionym dniem, że z miejsca upadł na tapczan próbując zasnąć. Jednak jego wysiłki okazały się daremne. Bezskutecznie szukał wygodnej pozycji, wymyślał różne podstępy, aby zmusić organizm do posłuszeństwa - wszystko na nic.
Wreszcie - z braku lepszego pomysłu - zaczął przechadzać się po kabinie tam i z powrotem, nie zapalając światła. Najpierw pod ścianami, potem na ukos. Cztery kroki tam, cztery z powrotem i znowu.
Nagle zatrzymał się. Chwile stał nasłuchując w skupieniu, ale mimo wysiłku zmysłów do jego uszu dochodził tylko cichy szum klimatyzacji i odległe buczenie generatorów. Wzruszył ramionami i powrócił do przerwanego rytmu marszu. Cztery kroki, obrót, cztery kroki, przeciwległy narożnik... Zatrzymał się w kącie twarzą do ściany. Czuł na karku czyjeś natarczywe spojrzenie. Przecież tu nikogo nie mogło być?!!
A jednak wiedział, że ktoś na niego patrzy. Bezszelestnie odwrócił

się. Błyskawicznym ruchem uderzył przełącznik i kabinę zalał snop światła tak jaskrawy, że na ułamek sekundy musiał zmrużyć oczy. Kiedy oświetlone kręgi rozbiegły się ze zdziwieniem - a może raczej z ulgą - stwierdził, że jest sam.
- Nieprawdopodobne - mruknął. - Dałbym sobie głowę uciąć, że ktoś tu był.
Zrezygnował ze snu i wywoławszy na czytniku jakiś podręcznik biologii planetarnej pogrążył się w lekturze. Przebiegał wzrokiem tekst i nie zauważył, jak światło zalewające dotąd jaskrawym blaskiem kabinę powoli słabło. Dopiero gdy na chwile oderwał wzrok od ekranu spostrzegł, że w pomieszczeniu panuje półmrok. Zaniepokojony wstał i w pierwszej chwili chciał połączyć się z Givensem, ale po namyśle zrezygnował. Co ma mu powiedzieć: że cierpi na bezsenność i nękają go przywidzenia? Wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Kroczył bez celu, mijając sekcje stacji. Magazyny, laboratoria, pomieszczenia mieszkalne. Długie szeregi drzwi, za którymi nie było nikogo, z kim mógłby się podzielić obawami. Martwe korytarze wijące się na kilku poziomach, krzyżujące co kilkadziesiąt metrów i biegnące dalej, w głąb stalowego cielska stacji. Nie zauważył nawet, jak znalazł się w pobliżu chłodni. Wspomniane wypadki wypłynęły z pamięci tak silnie, że O'Pull zadrżał. Rzucił niespokojne spojrzenie za siebie - korytarz był pusty. Ostrożnie w obawie, że ktoś go obserwuje podszedł do drzwi. Walczył ze sobą. Z jednej strony rozsądek nakazywał mu odejść - nie zawracać sobie głowy sprawami, które nie miały już znaczenia. Ale inny impuls sprawił, że ręka sama uruchomiła mechanizm.
Szara tafla drzwi znikła w ścianie. Z głębi pomieszczenia powiało chłodem. Oświetlenie zapaliło się automatycznie z chwilą, gdy O'Pull przekroczył próg komory; widział tam szereg hermetycznych klap, zamykających wbudowane w ścianę pojemniki. Czerwona lampka sygnalizowała, że jeden z nich jest pełen. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, O'Pult wyłączył cyfrowy zamek. Z całych sił pociągnął klapę. Otwierała się powoli, jakby niechętnie. Ciągnął ją oburącz otoczony parą, której kłęby mnożyły się z każdym jego oddechem. Gdy wreszcie odsunęła sie na całą szerokość, osłupiał.
Ciało Manca nie leżało tak, jak ułożyły je automaty. Było zwinięte w kłębek przy samym wylocie pojemnika - zupełnie jakby zmarły przed dwunastoma godzinami człowiek usiłował się z niego wydostać. Martwa twarz miała otwarte oczy, które wpatrywały sie w O'Pulla z taką natarczywością, iż ten poczuł, jak skurcz chwyta go za gardło. Przez moment zwątpił w realność tego, co go otaczało. Ale wszystko było w porządku. Tylko te oczy. O'Pull nie mógł znieść ich spojrzenia. Spoglądały na niego z niemą prośbą i cichym wyrzutem. Nie wytrzyma ani chwili dłużej. Potknął sie i upadł na kolana. Nie czuł bólu. Tylko ten wzrok - przygniatał, rozpłaszczał go, miażdżył...
- Za chwile zwariuje - pomyślał zupełnie spokojnie. - Zwariuje, jeśli się stąd nie wydostane.
Wycofał się tyłem, nie spuszczając wzroku ze skurczonych w dziwnej pozie zwłok. Wreszcie wypadł na korytarz. Włączył automat zamykający drzwi i popędził przed siebie.
- Givens! Giiv!L.
Brał stopnie po trzy, cztery, potknął się na ostatnim i wyrżnął twarzą w chłodny metal. Dalej, dalej...
Dopadł do kabiny Givensa i załomotał pięściami.
- Otwórz! To ja, otwieraj szybko!
Słyszał jak w środku ktoś zrywa się. Trzask przewracanego stolika zabrzmiał równocześnie ze szczekiem otwieranego zamka. Zaspana twarz Givensa ukazała się w drzwiach. O'Pull odepchnął go i wbiegł do wnętrza kabiny.
- Co się stało? Awaria?
- Zamykaj! Szybko zamykaj!
Szara tafla oddzieliła ich od korytarza.
- Mów, co się stało - Givens chwycił O'Pulla za ramiona i potrząsnął nim. Dopiero teraz dojrzał krew na jego twarzy i włosy stanęły mu dęba. Błyskawicznie oprzytomniał.
- Co się z tobą dzieje? - spytał zdławionym głosem.
- Byłem w chłodni.
- Gdzie?
- W chłodni, tam gdzie Manc...
- Po co?
- Nie wiem. Tak jakoś... Wiesz, on się poruszał!
- Kto, Manc?!
O'Pull skinął głową, ręce mu drżały.
- Jak to, poruszał się przy tobie?
- Właściwie nie... zresztą, sam zobacz.
- Powoli. Najpierw pozwól, że zrobię ci opatrunek - Givens wygrzebał z szafki medykamenty. Przemył twarz rannego i założył klamry na rozciętej brodzie.
- A teraz uspokój się i mów.
O'Pull, dygocąc cały, zaczął coś plątać. Givens niewiele z tego zrozumiał.
- Pójdziemy tam zaraz obaj - postanowił.
- Nie mogę, nie chce - O'Pull skulił się w fotelu - gdybyś zobaczył jego oczy...
- Wiec co, będziesz tak siedział z założonymi rekami? - Givens wstał i przeszedł kilka kroków. Z szuflady wyjął miotacz. O'Pull obserwował go bardzo uważnie.
- Do kogo chcesz strzelać? - spytał z drwiną.
Givens wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz- Nie wierzył w historyjkę O'Pulla, ale chciał się osobiście o wszystkim przekonać. Miotacz wziął tak... na wszelki wypadek.
- Młodzik przejął się za bardzo wypadkiem Manca i stąd cały kłopot - myślał schodząc w dół po metalowych stopniach. A swoją drogą jakim cudem przeszedł on w Bazie testy na odporność psychiczną? Trzeba się będzie tym zainteresować po powrocie.
Minął ostami załom korytarza i stanął przed drzwiami chłodni. Na moment zawahał się, prawa ręka ujęła mocno kolbe miotacza. Dotyk chłodnego metalu uspokoił go. Puścił broń i przekroczył próg pomieszczenia. Poczuł nagłe uderzenie lodowatego powietrza i ujrzał otwarty pojemnik z martwym ciałem Manca, leżącym dokładnie tak, jak je zostawiły automaty - wyprostowane, z rękoma przyciśniętymi do tułowia. Podszedł bliżej. Oczy rzeczywiście były otwarte. Wpatrywały się nieruchomo w sklepienie pojemnika.
- Szczeniak narobił niezłego szumu - pomyślał gniewnie Givens. Wyciągnął rękę, żeby zamknąć powieki zmarłego i aż krzyknął. Ciało było ciepłe.

IV

Tej nocy nie dane było Givensowi zasnąć. Najpierw z trudem nakłonił O'Pulla, żeby ten położył się w swojej kabinie, łyknąwszy uprzednio tabletkę nasenną. Potem wezwał automaty, aby przetransportowały ciało Manca do stacji medycznej i następne dwie godziny spędził na analizach. Wyszedł stamtąd zupełnie uspokojony - śmierć Manca nie podlegała dyskusji. Tego jednego przynajmniej był pewien w stu procentach. Pozostawało tylko złudzenie dotyku ciepłych powiek - wtedy, w chłodni. Czy aby na pewno złudzenie? Igraszka zmysłów? Niemożliwe. Wiec jeśli to była prawda, znaczyłoby, że działają tu nieznane siły, których natury nie rozumiał. Tylko dlaczego O'Pull twierdzi, że ciało było poruszone?
Givens należał do gatunku ludzi, którzy nie budują różnych nieprawdopodobnych hipotez na podstawie paru przypadkowych faktów. Uznał po prostu, że ma za mało danych, by postawić rozsądną diagnozę. Ale właściwy mu spokój opuścił go. Stał się nieswój. Stacja, w której było dotąd bezpiecznie, wszystkie otaczające go przedmioty - mogły stać się narzędziem obcej siły. Jakiej? tego na razie nie próbował dociekać.
Jak zwykle w sytuacjach, w których nie wiedział co robić, postanowił poradzić się komandora Korna. Łączność z Axelem-156 nie istniała, uznał wiec, że poleci tam osobiście. I tak za parę godzin planowali powrót na orbitę. Wystartuje wiec wcześniej i porozmawia ze starym w cztery oczy.
Zostawił w kabinie O'Pulla informacje i po upewnieniu się, że chłopak śpi jak zabity, zaczął przygotowania do odlotu. W pół godziny później cumował już w doku ziemskiego kolosa. Widok macierzystego statku, w którym spędził kilka ostatnich lat poprawił mu humor. Przywitał się z obsługą doku i od razu został zarzucony serią pytań o losy pozostałej dwójki. Uspokoiwszy znajomych (nie miał zamiaru nikogo poza Kornem informować o śmierci Manca) zagadnął o komandora i otrzymawszy odpowiedź, że na pewno znajdzie go w sterowni, udał się w tamtą stronę. Minęło parę minut nim szybkobieżna winda zaniosła go na właściwy poziom. Axel-156 to nie byle łupinka rzucona na pastwę próżni, lecz potężny krążownik, mogący pomieścić z łatwością do tysiąca osób załogi, gdyby zaistniała taka potrzeba. I trzeba dodać, że wcale nie byłoby ciasno.
W obliczu tego ogromu zbudowanego ludzkimi rekami wszelkie obawy, jakie Givens przywiózł ze sobą wydawały się niedorzeczne.
Komandora nie było w sterowni. Zostawił tam tylko dyżurnego nawigatora. Zmianę miał akurat Turley, z którym przesiedział ostami rok studiów w jednej ławce. Po krótkim, acz krzykliwym powitaniu Givens usłyszał lawinę słów - Turley pytał jak zwykle o wszystkich i o nic.
- Przykro mi, stary, ale spieszę się - przerwał mu Givens. - Wiec mówisz, że Kom jest u siebie?
- Tak. Zły jak wszyscy diabli. Lepiej do niego teraz nie podchodzić.
- Dlaczego?
- Cała starszyzna jakby ostatnio powariowała. Nikt nie może sie połapać, o co chodzi. Ciągle siedzą i debatują. Wiem, niewiele, jak zwykle trzymają wszystko w tajemnicy. Ale czuje, że coś się stanie. A nos mam niezły, musisz mi przyznać. Zawsze pierwszy wyczuwałem, jak się coś szykowało. Obyśmy wynieśli cało skórę.
- Wiesz coś konkretnego?
- Konkretnego nic, same plotki. Ale mam oczy i staram się robić z nich użytek. Takich numerów dawno nie widziałem. Zresztą, pogadaj sobie z komandorem. W końcu tu jesteś większą szyszką Ode mnie, wiec powinien cie uświadomić. Niedawno skończyła się narada wszystkich

„głównych”. Miny mieli niewesołe. Stary pewno równo ich obsztorcował, a teraz śpi. Masz zamiar ryzykować i budzić go?
- Musze.
- Twoja sprawa. Jak już skończysz, wpadnij. Posiedzę tu jeszcze z godzinę, a po wachcie znajdziesz mnie w mesie. Połamania. Kabina komandora oddalona była od sterowni zaledwie o kilka kroków. Givens energicznie zastukał do drzwi, które uchyliły się, a potem rozsunęły na całą szerokość. Kom zamrugał ze zdziwienia.
- Tu tutaj? Przecież mieliście wrócić dopiero rano.
- Musimy porozmawiać, komandorze. To ważne, tak mi sie przynajmniej wydaje.
Kom przepuścił Givensa przez próg i zamknął drzwi.
- Coś nie gra? - spytał, wskazując ręką na jeden ze skórzanych foteli.
- Mniej więcej - odparł Givens sadowiąc się ostrożnie, jakby w obawie, że jakimś nieostrożnym ruchem mógłby uszkodzić zabytkowy mebel. Zawsze zastanawiało go, jakim cudem udało sie komandorowi przemycić te starocie. Jego miejsce było raczej w muzeum, niż na statku dalekiego zasięgu.
- Mógłbyś jaśniej?
W czasie całej opowieści komandor chodził po kabinie, z rekami wbitymi w kieszenie kombinezonu. Czasami przystawał przed fotelem Givensa, świdrując jego twarz przenikliwym spojrzeniem. Na koniec usiadł.
- Wspomniałeś o tym komukolwiek? - spytał.
- Nie.
- Na pewno?
- Ani słowa.
- To dobrze. Bo widzisz, to co mówisz, jest tak nieprawdopodobne, że aż trudno uwierzyć.
- Ja nie kłamie - obruszył się Givens. - Tak było... Zresztą - dodał
- wszystko można sprawdzić na miejscu.
- Prawie wszystko - poprawił go Kom. - Zrozum człowieku, nie mówię, że kłamiesz. Stwierdzam tylko, że to brzmi dziwnie. Ale ostatnio dzieje się tu tyle dziwnych rzeczy...
- Na przykład? - podchwycił Givens.
- Ot, chociażby wczoraj. Przychodzi do mnie szef szpitala i mówi, że miał kilkudziesięciu pacjentów, którzy narzekali na niemal identyczne dolegliwości. Otóż wydaje im się, iż są pod ciągłą obserwacją. W każdej sytuacji towarzyszy im uczucie czyjejś obecności. Żeby to był jeden, albo kilku ludzi, można by machnąć ręką. Ale ich jest wielu. I co gorsza, ja też się do nich zaliczam.
- O’Pull wspominał o czymś takim - wtrącił Givens.
- Tak, ale on oprócz tego twierdzi, że widział poruszone zwłoki. Ty zaś znalazłeś je nietknięte, ale ciepłe. Nie mamy podstaw, żeby mu nie wierzyć. Tobie tym bardziej. A teraz powiedz: czy to możliwe, aby trup, leżący przez dwanaście godzin w kostnicy poruszał się i był ciepły?
- Chyba nie.
- Na pewno nie. Są tu jeszcze ciekawe rzeczy, powiedziałbym ogólniejszej natury. Bo twoje spostrzeżenia dotyczą pojedynczych przypadków. My tutaj mieliśmy okazje obserwować problem całościowo. Otóż układ Deneb wykazuje pewne anomalie magnetyczne. Do tego dochodzą solidne skrzywienia pól siłowych, metryka przestrzeni jest zupełnie spaczona. Wszystko jakby drwiło sobie z praw natury. Astrofizycy twierdzą, że gwiazda powinna się w tej sytuacji dawno rozsypać. Zaobserwowaliśmy zmiany biegunowości całego systemu planetarnego. Na to potrzeba ogromnych ilości energii. Ale skąd miałaby się brać? Nikt nie wie. A jednak bieguny skaczą sobie, raz w górę, raz w dół. Ciekawe, czemu to może służyć.
- Inżynieria gwiazdowa?
- Możliwe. Tyle tylko, że tu nie ma żadnej cywilizacji. Była, ale bardzo dawno. Jakieś trzysta, czterysta tysięcy lat temu. Widba odkrył ślady na drugiej, a Nikodes na czwartej planecie. Wy też znaleźliście jakieś podziemia. Badałeś wiek?
- Nie. Nie było kiedy.
- Sądzę, że wyniki będą się pokrywać. W każdym razie dawno temu, gdy ludzkość jeszcze skakała po drzewach, kwitła tu potężna cywilizacja. I przepadła, jak kamień wrzucony w wodę.
- Skąd ta pewność?
- Każda cywilizacja musi przecież posiadać jakąś bazę materialną. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Niczego innego w obrębie dotychczas poznanego Kosmosu nie odkryto.
- To wcale nie znaczy, że innych możliwości nie ma, komandorze.
- Nie przybyliśmy tu po to, aby zajmować się filozofią. Brak zagospodarowanych globów, brak komunikacji międzyplanetarnej. Chyba nie sądzisz, że można by to wszystko schować tak na zawołanie?
- A jednak coś się tutaj dzieje, wbrew nasze] logice.
Kom milczał dłuższą chwile, przebierając palcami po blacie stołu.
- Masz racje - powiedział - ale co ja mogę na to poradzić? Mam rozrzucić bazy naukowe wraz z personelem w wyznaczonych systemach. Zostawimy ludzi na trzech planetach układu: drugiej, trzeciej i czwartej. Zamontujemy stacje łączności podprzestrzennej gdzieś na peryferiach i na tym nasza rola się skończy. Reszta zostanie w rekach naukowców, którzy będą tu grzebać.
- Wiec zasadniczo plany nie uległy zmianie? - spytał Givens. Komandor pokręcił przecząco głową.
- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak wracać na Deneb III.
- Poczekaj - Kom powstrzymał go ruchem dłoni. - Wszystkie prace już ukończone?
- Tak jest.
- To dobrze. Nowa załoga zejdzie na dół w godzinach rannych. A przedtem obejrzę sobie z bliska te waszą stacje.

V

Z zakamarków nieograniczonej czerni począł wyłaniać sie drżący promień światła. Niepewnie musnął jałową i pustą powierzchnie Praoceanu. Jakby pod wpływem tego dotknięcia w martwej dotychczas przestrzeni począł tworzyć się ruch - początkowo chaotyczny, potem coraz bardziej zorganizowany. Cząsteczki materii łączyły się ze sobą, budując coraz bardziej skomplikowane kompleksy, by wreszcie wybuchnąć utajoną dotąd siłą życia. Nad martwym światem podniósł się gwar bilionów molekuł ożywionej substancji. Rozpoczął się Wielki Ruch.
Zorganizowane formy materii tworzyły nowe, coraz bardziej skomplikowane struktury. Życie rozkrzewiło się bujnie, przenosząc swą siedzibę z jednych form w inne. Całą martwą przez miliardy lat materie ogarnął gorączkowy pośpiech. Jakby gorliwością chciała zrównoważyć dotychczasowe trwanie w odwiecznym letargu.
Obdarzona życiem materia szturmowała zaciekle nieznaną jej tajemnice istnienia. Powstawały nowe generacje, bogatsze o doświadczenia poprzedników. Po nich przychodziły następne. I nie było już skrawka globu, do którego nie dotarłaby nowa siła. Wydawałoby się, że nic już więcej powstać nie może. Świat ożywionej materii osiągnął wszelkie przejawy doskonałości. Dostosował się do środowiska, w którym powstał, w sposób idealny. Ale raz posiane ziarno Przemiany ciągłe dawało nowe owoce. Pojawiły się pierwsze, nieśmiałe zalążki świadomości. Kolejny etap nieustającego Rozwoju. Trzeci komponent istnienia dołączył do dwóch poprzednich i zaczął nabierać coraz większego znaczenia. Świadomość, zrazu pokorna, okazała się najbardziej ekspansywna. Nie wystarczało jej bierne dostosowywanie sie do środowiska, w którym powstała. Zaczęła w to środowisko ingerować, zmieniając je w sposób bardziej dla siebie odpowiedni. Powierzchnia globu przeistoczyła się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Obdarzona świadomością materia dokonywała szokujących przemian. W miejscach odwiecznie dzikich, ukształtowanych powolnymi przemianami natury, pojawiły sie wytwory nowej potęgi. I gdy już cała planeta podporządkowana została jej woli, nastąpił kolejny krok. Świadomość uwolniła się z krepujących więzów materii i rozpoczęła samodzielną egzystencje.
Z pędzącego w czarnej ciszy globu, otoczonego nieprzeniknioną zasłoną chmur, poczęły wydobywać się opary niematerialnego, ale świadomego życia, tworząc coraz większy i potężniejszy obłok, który otulił macierzystą planetę. Czerpiąc energie z promieni centralnej gwiazdy począł rozrastać się jeszcze bardziej. Był coraz bliżej. Poszczególne zwoje falującej chmury zasnuwały już wszystko. Nie było ani jednego skrawka wolnej przestrzeni. W przebiegających wirach pojawił się jakiś niewyraźny zarys. Postać rosła, ale O’Pull w dalszym ciągu nie mógł rozpoznać twarzy. Była zbyt zamazana, zbyt rozmyta. Raz po raz zasłaniały ją strzępy gigantycznej chmury. Wiedział jednak, że to może być tylko on.
- Tak, to ja - potwierdził Manc z oddali.
- Co z tobą?
- Wszystko w porządku.
- Wiec żyjesz? - ucieszył się O’Pull. Chwila milczenia.
- Dlaczego nic nie mówisz?
- Zastanawia mnie, czy stan, w jakim się znajduje, można nazwać życiem? Chyba nie. Przynajmniej w waszym, ludzkim znaczeniu tego słowa. Ale ja jestem zadowolony. Z początku chciałem wrócić, jednak po namyśle zrezygnowałem.
- Mogłeś wrócić i nie zrobiłeś tego? - zdziwił się O’Pull. Manc skinął potakująco głową.
- Może ci się wydać to dziwne - powiedział - ale gdybyś był na moim miejscu...
- I co się z tobą stanie?
- Zostanę cząstką potężnej świadomości, intelektu, przekraczającego ludzką możliwość pojmowania, władającego czasem i przestrzenią.
- Ludzkość też kiedyś do tego dojdzie.
- Obraliście zupełnie inną drogę rozwoju. Związek z ciałem uniemożliwia wam oderwanie się od materialnych wad cywilizacji. Skrępowani konstrukcją organizmu nigdy nie dojdziecie do granic Wszechrzeczy.
- Dlaczego mówisz w ten sposób, jakbyś... Jesteś przecież człowiekiem.

- Byłem nim - twarz Manca uśmiechnęła się - Teraz jestem już wolny. Potrafisz to zrozumieć? Nie związany z tym konglomeratem białek, który warunkuje wasze istnienie...
Sylwetka otoczona kłębami mgły zaczynała się powoli rozpływać. Głos, który docierał do O'Pulla był coraz słabszy, jakby mówiący oddalał się.
- Wiesz już tyle, że możesz dokonać wyboru. Masz wolną wole, powinieneś sam zadecydować.
- Ale można przecież nawiązać kontakt! - próbował oponować.
- Zbyt duże różnice... brak płaszczyzny... - głos zanikał coraz bardziej, aż wreszcie umilkł zupełnie. Postać w skafandrze rozpłynęła się.
- Nic z tego nie rozumiem - powiedział O'Pull. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w sufit kabiny. Wzrok zaczynał wyłuskiwać z półmroku zarysy sprzętów. Na ścianie jaśniał prostokąt czytnika.
- Przecież pamiętam, że był wyłączony. Przeczytał informacje zostawioną przez Givensa.
- Wynika z tego, że jestem na razie sam - pomyślał. - To sie nawet dobrze składa. Będę mógł spokojnie wszystko przeanalizować.
Od czasu kiedy zażył środek nasenny minęły ledwie cztery godziny. Poza tym człowiek poddany działaniu takiego środka nie miewa marzeń sennych. Zresztą budząc się z reguły zapominamy treść snów, a on pamiętał każdy szczegół zaobserwowanej wizji i każde słowo, jakie padło w rozmowie. A zatem - rozumował logicznie - nie mogło to być jakieś widziadło, tylko realne zdarzenie. Manc rzeczywiście nawiązał z nim kontakt. A wiec to, co mówił, musiało się zdarzyć naprawdę. Niesamowita historia. Rozmyślania przerwał brzęczyk interkomu. Włączył klawisz odbioru. Komputer stacji zameldował, że Spestakos podchodzi do lądowania.
O'Pull zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim Givensowi. W zasadzie nie miał żadnych dowodów na poparcie swoich słów. Ale nawet jeśli uda mu się przekonać Givensa pozostaną inni cała ludzkość. A poza tym taka informacja nie miałaby praktycznie żadnego znaczenia, skoro i tak nawiązanie kontaktu - jak mówił Manc - jest nieosiągalne. Może wiec lepiej milczeć? Na ekranach centrali widoczna była sylwetka Spestakosa, siadającego nie opodal stacji. Długi, wrzecionowaty kształt dotknął powierzchni planety. W chwile później, gdy grunt w miejscu lądowania ostygł już nieco, z wnętrza statku wyjechał łazik. W polu siłowym powstała luka, przez którą pojazd dostał się pod osłonę energetycznego pęcherza.
- Wielkie nieba - przeraził się nagle O'Pull. - Przecież on natychmiast sobie przypomni, że powinienem jeszcze spać.
Łazik stał jeszcze w hangarze stacji. Wysiadł z niego Givens, a za nim jeszcze jeden człowiek, w którym O'Pull poznał komandora. Szli prosto do centrali - ich odziane w pomarańczowe kombinezony sylwetki były widoczne na coraz to innym ekranie, w miarę jak zbliżali się do celu. Na powrót do kabiny nie było już czasu. Zresztą, po co ta maskarada? Zaczeka na nich tutaj i powie wszystko, a potem - niech się dzieje co chce. Tamci dwaj skręcili w boczny korytarz i po żelaznych stopniach zeszli na najniższą kondygnacje stacji.
- Czyżby szli do chłodni?
Wybiegł z centrali i, starając się stąpać jak najciszej, zszedł za nimi. Komandor z Givensem znikli w środku. O'Pull bezszelestnie stanął w progu akurat w momencie, gdy ten drugi otworzył właśnie ciężką pokrywę pojemnika i oczom całej trójki ukazała sie... pustka.
- Ładne rzeczy - mruknął komandor. Givens odwrócił się powoli.
- Nic nie rozumiem - wymamrotał. - Przecież sam... Dostrzegł postać stojącą w drzwiach.
- Co się tu dzieje! - krzyknął. - Mów!
- Tylko bez histerii - głos Korna był beznamiętny. - Czy potrafisz to wyjaśnić? - zwrócił się do O'Pulla.
- On odszedł.
- Dokąd?!
- Do NICH.
Cisza, jaka nastąpiła po tych słowach była tak przeraźliwa, że aż bolesna. O'Pull cofnął się i poczuł pod plecami metalową ścianę korytarza. Givens postąpił krok naprzód.
- Nie zbliżaj się, to nie ma sensu. I tak nic nie zrozumiecie.
- A ty? Zrozumiałeś?
- Powiedziałem ci, żebyś się nie zbliżał. On odszedł dobrowolnie. I ja... też odejdę.
- Oszalałeś!
- Chwileczkę - wmieszał się komandor - jeżeli było tak, jak mówisz, to... Nie mógł przecież odejść zupełnie bez słowa, po prostu wziąć i odejść.
- To właśnie jest jego ostatnie słowo - O'Pull wskazał na pusty pojemnik.
Było w tej scenie coś niesamowitego... Korn aż zadrżał.
- Przypuśćmy, że ci wierze. Że Manc istotnie odszedł. Ale przecież nie mogę zezwolić, abyś ty zrobił to samo. Zastanów się.
- Już się zastanowiłem.
Givens skoczył, lecz O'Pull był szybszy. Uchylił się w bok i z całych sił wyrżnął napastnika kantem dłoni w kark. Usłyszał za sobą krzyk komandora, ale nie czekał ani chwili dłużej. Wiedział już, co ma robić. Musiał dostać się do hangaru, wziąć łazik i opuścić stacje. Był w połowie drogi, gdy w uszach zabrzmiał mu głuchy łoskot. Za następnym zakrętem natknął się na gładką ścianę, przegradzającą korytarz w poprzek. Widocznie komandor dotarł już do centrali i śledząc na ekranach trasę jego ucieczki odgradzał mu drogę hermetycznymi grodziami. Chwile stał niezdecydowany. Powietrze przeszył drugi trzask; to było gdzieś blisko. Rzucił sie wstecz i skręcił w boczny korytarz. Kolejny łoskot. O'Pull znalazł się przy śluzie wyjściowej, osaczony ze wszystkich stron. Każdy korytarz był zamknięty hermetyczną ścianą. Nie miał już żadnej drogi odwrotu, z wyjątkiem jednej. Odbezpieczył mechanizm blokujący wejście do komory ciśnień. Jeszcze klapa zewnętrzna. Przez moment jakby się zawahał, ale po chwili droga była otwarta. Trująca atmosfera Deneb III wtargnęła do wnętrza śluzy. Poczuł muśnięcie wiatru na twarzy i ruszył prosto przed siebie. Biegł lekko, długimi susami, zostawiając ślady na oszronionym gruncie. Spojrzał w dal, gdzie za przymglonym horyzontem oczekiwali go ONI. Potem w dół, gdzie stopy uderzały rytmicznie o powierzchnie planety. Lecz nie dojrzał swoich stóp i wtedy pojął, że TO już się stało.

VI

Spestakos mknął w przestrzeni, wiedziony sygnałem idącym z Axela-156. Z tyłu - za rufą - pozostała, otoczona całunem nieprzeniknionych chmur, trzecia planeta układu Deneb. W kabinie statku siedział tylko jeden człowiek.
Ciche buczenie aparatury pokładowej działało uspokajająco, jednak w głowie Givensa myśli kotłowały się jak schwytane w klatkę ptaki. Przebiegał w pamięci wszystko to, co zaszło na powierzchni planety w ciągu ostatnich dwóch godzin. Od momentu, w którym obudził się w centrali stacji, aż do chwili obecnej. .
Pierwsze wspomnienie nie było najprzyjemniejsze. Ostry dźwięk sygnału alarmowego zmieszał się z uczuciem bólu, które towarzyszyło powolnemu otwieraniu powiek. Miał wrażenie, że ktoś zasypał mu oczy piaskiem. Pokonując zmęczenie, jednym skokiem znalazł się przy pulpicie. Mrugający pomarańczową barwą prostokąt na obudowie bloku informował, że automatyczny nadzorca stacji ma coś ważnego do powiedzenia. Włączył kanał translatora.
- Szybko! Co się dzieje, do cholery?! - wyrzucił z siebie zdławionym głosem.
- Mam do przekazania materiał nagrany w bloku pamięci przez komandora Korna.
- I do tego jest ci potrzebny sygnał alarmowy, ty durny automacie?! - zirytował się.
- Wykonuje wszystko zgodnie z programem.
Zdziwienie pojawiło się na twarzy Givensa. Ale trwało to tylko krótką chwile. Skoro Korn postąpił w ten sposób, widocznie nie było innego wyjścia. Ale co go do tego skłoniło - na pewno okaże sie po odtworzeniu zapisu.
Uruchomił urządzenie pamięciowe. Po ekranie przebiegały błyski, towarzyszyły temu różne dziwne odgłosy. Potem obraz ściemniał, a z głośnika popłynął równy głos Korna.
- Wybacz Givens, że traktuje cie właśnie w ten sposób, ale doskonale znasz moją naturę asekuranta. Łubie się zabezpieczać przed wszystkimi ewentualnymi komplikacjami, nawet tymi, których nie jestem w stanie sobie wyobrazić. Ta cecha pozwoliła mi przez długi czas dowodzić Axelem bez żadnych poważniejszych kłopotów podczas tylu wypraw. Ale nie o tym chciałem tutaj z tobą rozmawiać.
Głos umilkł, przez chwile było słychać tylko spokojny, równy oddech komandora. Givens siedział w fotelu cały napięty, oczekując na kontynuacje tego dziwnego monologu.
- Widzisz Givens - odezwał się po dłuższej przerwie Korn - Deneb III to nie jest zwykła sobie planeta, jakich poznaliśmy już setki. Dzieje się tu coś dziwnego. Wszystko na to wskazywało od samego początku, tylko my, w swoim zaślepieniu, nie potrafiliśmy tego dostrzec. Wypadek Manca można by odrzucić, gdyby był odosobniony. Rachunek prawdopodobieństwa dopuszcza istnienie pojedynczych odstępstw od praw poznanych przez naukę. Ale zdublowanie się fenomenów, które nastąpiło za sprawą O'Pulla, w połączeniu z innymi anormalnymi zjawiskami, jakie dają się zaobserwować w całym układzie Alfy Łabędzia, skłoniły do wniosku, że coś tu nie gra. Zaczęło to do mnie docierać dopiero wtedy, gdy wyruszyliśmy w pościg za O'Pullem, który dosłownie rozpłynął się we mgle. Zrobił to tak dokładnie, że nie byliśmy w I stanie odnaleźć najmniejszego nawet śladu jego obecności. Analizowałem te fakty bardzo długo, obracałem je na wszystkie możliwe strony. Nie, Giv, to nie trzymało się kupy! I gdy już miałem tego galimatiasu po dziurki w nosie, przyszło nagłe olśnienie. Nie wiem, co je spowodowało, ale przyszło. W najbardziej odpowiednim momencie. To nie są żadne cuda! To po prostu logiczna konsekwencja. Potrzebna jest tylko odrobina odwagi, aby uwolnić swoją osobowość. Manc zrobił to przypadkiem, O'Pull pod wpływem nagłego impulsu.

Ja - z czystego wyrachowania. Znowu przerwa. Givens zacisnął zęby, nie czując bólu zagryzionych warg.
- To wariat, kompletny wariat - przebiegło mu przez głowę.
- Zrozum, ja musze tak postąpić - mówił dalej Korn. - Możesz nazwać mnie dezerterem, zdrajcą, czy jak sobie chcesz. Nic na to nie poradzę. Całe życie szukałem. Właśnie tego. Jesteś za bardzo człowiekiem, żeby to wszystko pojąć. Nie, nie traktuje cie jak głupca, wcale nie. Tylko za dobrze cie znam. Ty nie potrafiłbyś sie wyrzec swojego człowieczeństwa. I to jest w pewnym stopniu jakaś zaleta. Dlatego wiem, że powierzam dowództwo wyprawy właściwej osobie.
Milczenie.
- Moja decyzja jest ostateczna i nieodwołalna - podjął głos komandora. - Zabezpieczyłem się. Nie zdołasz przeszkodzić mi w jej realizacji. Przede wszystkim zadbałem o to, abyś się za wcześnie nie obudził. Potem przygotowałem sobie jeden ze stojących w hangarach poduszkowców. Na koniec uruchomiłem system autolikwidacji stacji. Nie było to może potrzebne, ale musze mieć pewność, że opuścisz planetę i wrócisz na pokład Axela. System ten, jak o tym dokładnie wiesz, nie może zostać wyłączony, jeśli już raz ktoś się zdecydował na jego .uruchomienie. Stacja przestanie istnieć za półtorej godziny. Jest to wystarczający czas, abyś mógł wystartować i wrócić na orbitę.
Krótka przerwa, a potem:
- Komandorze Givens, już czas. Nagranie dobiegło końca. To było wszystko.
Cisza i oszałamiające, beznadziejne uczucie pustki w głowie. Cała galeria głupawo mrugających, bezmózgich światełek na pulpitach. Siedział w fotelu, nie próbując nawet ruszyć się z miejsca.
- Czas do realizacji programu autolikwidacji siedemdziesiąt dwie minuty - odezwał się metaliczny głos automatu.
- Zamknij pysk, ty durna maszyno! - wrzasnął Givens.
- Polecenie niezrozumiałe. Proszę inaczej sformuł... Uderzenie pieści w pulpit wyłączyło kanał traslatora. W centrali zaległa martwa cisza. Givens z trudnością opanował drżenie rąk.
- Spokój, spokój - powtarzał przez zaciśnięte zęby. Struga zimnego potu spływała mu na twarz.
- Co robić?.- myślał gorączkowo. - Co mam teraz robić? Włączył pamięć komputera, przeszukując błyskawicznie ten okres, kiedy spał. Ale bloki monotronu były wykasowane do czysta. Kompletna pustka.
- Na pewno robota Korna - pomyślał. - Faktycznie, zabezpieczył sie z każdej strony. Wyzerował całą pamięć, z wyjątkiem własnego nagrania.
Zaczął krążyć nerwowo po centrali zastanawiając się nad sytuacją. O jednym był przekonany w stu procentach. Ze na pewno nie uda mu się powstrzymać komandora od realizacji tego, co zamierzał. Bez względu na to, jak groteskowy i absurdalny byłby ten plan. Co on, Givens, powie ludziom po powrocie na pokład Axela? Jak wytłumaczy im znikniecie dowódcy wyprawy i swoich dwóch towarzyszy z grupy zwiadowczej? Te myśli błądziły mu po głowie także teraz, kiedy od potężnego cielska krążownika dzieliło go zaledwie kilkanaście minut lotu. Axel-156 był już na optycznej. Wynurzył się z bezdennej czerni milczący i dostojny. Ozdobiony girlandami świateł, pozycyjnych zdawał się swoim istnieniem urągać milczącej zmowie gwiazd. Givensowi zrobiło się trochę raźniej. Z czułością niemalże oglądał każdy szczegół ziemskiego kolosa. Był pewien, że dokonał właściwego wyboru. Tu było jego miejsce. Tu, a nie w tym obcym, pełnym niesamowitych pułapek świecie, jaki pozostał za rufą. Automaty wykonały manewr cumowania i wprowadziły statek zwiadowczy do wnętrza Axela. Givens odczekał, aż hala lądowiska wypełni się na nowo powietrzem. Nie trwało to długo. Zapłonął zielony sygnał oznajmiając, że można już wychodzić. Jednocześnie do wejścia leżącego w startowym łożysku Spestakosa podtoczył się ruchomy trap.
Idąc w stronę szybu komunikacyjnego Givens spotkał paru ludzi z obsługi technicznej.
- Kiedy odlatujemy, komandorze? - zapytał jeden z nich. Givens wymamrotał coś niewyraźnie i powlókł się ze spuszczoną głową do windy. Przebył sam kilka kondygnacji. Na dziesiątej kabina zatrzymała się z głuchym sapnięciem i do środka wszedł Turley.
- Witam, szefie. Jak się udała przejażdżka? Givens wzruszył ramionami.
- Słuchaj, Turley. Powiedz mi, kto ja naprawdę jestem.
- Jak to, kto? Komandor Al Givens, dowódca Axela-156.
- A czy pamiętasz, kiedy mnie zobaczyłeś po raz pierwszy?
- W bazie na Ganimedzie, jakieś pół roku przed odlotem z Układu Słonecznego
- A przedtem nigdy mnie nie spotkałeś? Zastanów się dobrze, to bardzo ważne.
Turley zmarszczył brwi, myśląc intensywnie. Givens pamiętał dokładnie ten charakterystyczny dla niego wyraz twarzy jeszcze ze studenckich czasów. Pojawiał się on zawsze wtedy, gdy wykładowca zadawał im jakiś problem, wymagający dokładnej analizy. Ale od tego czasu dzieliło ich przecież kilkanaście lat, a nie durne pół roku!
- Nie, na pewno nie spotkaliśmy się wcześniej - oświadczył zdecydowanie Turley.
Givens zadumał się.
- A dlaczego pan pyta, komandorze?
- Nie, nie. Tak tylko... Miałem wrażenie, że gdzieś się już przedtem widzieliśmy.
- Wykluczone - winda zastopowała. - Ja już tutaj - Turley opuścił kabinę. Drzwi zasunęły się i Givens został sam.
- Jeżeli nawet on mnie nie pamięta, to znaczy, że cały świat stanął na głowie - pomyślał.
Wysiadł z windy i poszedł w stronę sterowni. Wszystko wydawało mu się takie dziwne, ściany wibrowały, podłoga falowała jak powierzchnia wzburzonej wody.
- Coś jest ze mną nie tak - przebiegło mu przez głowę. Zatrzymał się na moment i wykonał kilka głębokich wdechów. Trochę lepiej. Idąc dalej w stronę sterowni minął kabinę dowódcy statku. Na drzwiach dostrzegł tabliczkę z napisem: „KOMANDOR GIVENS”.
Przystanął. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, oczy zaszły mgłą. Oparł się ciężko o ścianę.
- Komandorze Givens! Może panu w czymś pomóc? Pan się chyba źle czuje.
Z trudem podniósł powieki. Stał przed nim jakiś człowiek, którego widział po raz pierwszy w życiu. Naszywki na kombinezonie świadczyły jednak o tym, że należał on do załogi krążownika.
- Skąd pan wie, kim ja jestem? - spytał cicho Givens.
- Chyba powinienem wiedzieć, kto jest moim szefem - odparł tamten lekko zdziwionym głosem. - Czy pomóc panu?
- Nie, nie trzeba.
- Wydawało mi się, że pan jest chory.
- Już mi przechodzi.
- Może wezwać kogoś z bloku medycznego?
- Nie, sam sobie poradzę.
Nieznajomy odszedł. Givens odprowadził go długim spojrzeniem.
- Chyba będę musiał pogodzić się z tym obłędem - pomyślał. Rzucił okiem na drzwi i jeszcze raz przeczytał wiszącą na nich tabliczkę. Potem wyciągnął rękę w kierunku identyfikatora.
- Ciekawe, czy mnie wpuści? - zastanowił się.
Drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Zabłysły lampy, oświetlając silnym strumieniem całą kabinę. Givens chciał wejść do środka, ale po namyśle zrezygnował, skręcając od razu w stronę sterowni. Ogromna sala, w której schodziły się wszystkie zmysły gwiazdowego kolosa, była pusta. Zajął fotel dowódcy i wywołał główny mózg krążownika.
- Proszę o dane dotyczące stanu załogi i statku.
- Uszkodzenie usunięte, uzupełniony zapas paliwa, możliwość natychmiastowego kontynuowania podróży. Ekipy remontowe ściągnięto już z powrotem. Na pokładzie znajduje się komplet. Givens słuchał tego z wyraźnym zdumieniem na twarzy. Przecież Axel nie miał żadnych uszkodzeń, zapasy paliwa były nienaruszone. Najbardziej jednak poruszyła go druga cześć otrzymanego komunikatu. Ta, która mówiła o stanie załogi.
- Nikogo nie brakuje? Na pewno?
- Na pokładzie komplet - powtórzył sztucznym głosem automat.
- Gdzie jest komandor Korn, gdzie Manc i O’Pull?! Lampki na pulpicie zamigotały bezładnie.
- Brak danych. Osób tych nie ma na liście załogi. Zero.
- Ciebie też udało im się przerobić?? - wrzasnął Givens.
- Nie rozumiem. Proszę o powtórzenie pytania.
Trzasnął ręką w wyłącznik i opadł na fotel. Wszyscy dali się oszukać: ludzie, maszyny. Trzech członków załogi przepadło bezpowrotnie i nikt nawet tego nie zauważył.
- Komplet na pokładzie, brak danych... - mamrotał bezładnie. Ogarnął go gniew - tym większy, że bezsilny. Wzrok zwrócił w stronę głównego ekranu, na którym widniała biała kula Deneb III.
- Pokonałaś mnie - wyszeptał. - Przewidziałaś wszystko na wiele posunięć naprzód. Każdy szczegół twojego planu idealnie pasuje do innych fragmentów układanki.
Wpatrywał się z nienawiścią w obraz planety.
- Dlaczego to zrobiłaś! - krzyknął nagle. - Odpowiedz!!! Cisza.
Jednym uderzeniem zerwał bezpieczniki i przesunął dźwignie. Statek wypełnił się jękiem syren, zamigotał sygnał alarmu bojowego.
Pewnym ruchem naprowadził celownik miotacza antymaterii. Na ekranie biała kula przecięta została siatką krzyża nitek. Lecz nim palec zdążył zbliżyć się do czerwonego guzika, obraz planety zafalował i tam, gdzie przed chwilą widniał potężny glob, była już tylko nieskazitelna pustka Kosmosu.

(Koszalin 24 VII 1981)

Marek Hemerling

Tadeusz Śliwiak

* * *

więzień własnej wyobraźni
zakładnik wieczności
kto wykupi go z tej niewoli
i za co?
za soczewki za lasery
za kalendarze z radioaktywnego
węgla?
wsłuchuje się w cisze
patrzy w gwiazdy i poza gwiazdy
czyta Biblie - próbuje
dociec tajemnicy białka
ale nie umie pojąć niczego co
nie ma granic
człowiek który stanął na po-
wierzchni księżyca
wie o wieczności tyle samo
co brnący przez piaski Sahary
albo pasażer podziemnej kolejki
jak ułoży się z nieistnieniem
jeśli przyszłością ma być to
co nazywane jest: wieczność

W zmowie z poezją

co komu do tego
czy wierze czy nie wierze
w dźwigającego kule ziemską
Atlasa
albo że jest nim ruda wiewiórka
obracająca w łapkach złoty orzech

kiedy stoję przed wysokim
murem jestem w zmowie z poezją
ona mi pokazuje
ukryte w nim przejście

Metafory

o jaskółce mówić że jest powietrznym pstrągiem
o tęsknocie - że to rażony kolcem serca głóg o
lustrze przestraszonego że górskim potokiem
jest o sekundzie - że obraża wieczność

myśl szuka bliźniaczych sensów
owocuje drzewo wyobraźni
a w milionach ludzkich mózgów
nie ma nawet jednakowo pomyślanej ryby

Czytelnicy. Zespół miał w tej sprawie podzielone opinie. Niektórzy twierdzili, że sama science fiction operuje specyficznym językiem, dostosowanym do treści jakie niesie, po cóż więc jeszcze dodatkowa mowa poezji. Inny argument przeciwników: wiersze w magazynach SF to unikaty. Prawie ich w tym gatunku nie uświadczysz. O fałszywości tego mniemania przekonał nas jednak nasz konkurs, na który nadeszło sporo wierszy. Niektóre z nich ukażą się na łamach „Fantastyki".
Pragniemy jednak zacząć od utworów znanych już poetów. A także sięgnąć do tradycji poetyckich fantastyki. Stąd w tym numerze Tadeusz Śliwiak ze swoimi wierszami z pogranicza fantastyki, zaś w następnym wiersze klasyka Leśmiana. Nie traktujemy poezji na naszych łamach odświętnie. Chcemy, żeby stała się chlebem codziennym miłośników SF.

(Red.)

J&M

Dzień przed zagładą

najpierw przebrzmią dźwięki niskie
te najbliższe ziemi
i wolno ruszy ludzki pochód
unosząc druciane klatki
wyfruną z nich ptaki
duże i czarne z mocnymi dziobami
obsiada gałęzie drzew
małe lżejsze cieszące się wiatrem
znajdą wśród liści świetliste witraże nieba
i na promiennej pajęczynie słońca
kołysać się będą
aż do znieruchomienia
w kamieniejących
starszych od baśni
lasach

Próżny robot

Henry Kuttner

(Proud Robot)

Galleghеrowi zdarzały się różne rzeczy. Jak sam często mawiał, był geniuszem z przypadku. Czasami, mając do dyspozycji jedynie kawałek drutu, kilka baterii i zwykły haczyk, potrafił zmajstrować nowy typ agregatu chłodniczego.





W tym momencie akurat leczył się z kaca. Niezdarny, chudy, jak gdyby pozbawiony kości mężczyzna z pasmem ciemnych włosów niesfornie opadającym na czoło, leżał na kanapie w swoim laboratorium i obsługiwał mechaniczny barek alkoholowy. Wytrawne martini sączyło się powoli z końcówki przewodu do jego spragnionych ust.
Usiłował sobie coś przypomnieć, ale nie tak znów bardzo. Miało to oczywiście coś wspólnego z robotem. A zresztą wszystko jedno.
- Hej, Joe - odezwał się.
Robot stał dumny przed lustrem i podziwiał swoje wnętrzności. Miał przezroczysty tułów, wewnątrz którego szybko obracały sie różne tryby.
- Kiedy się do mnie tak zwracasz - rzekł - to mów szeptem. I zabierz stąd tego kota.
- Nie masz aż tak dobrego słuchu.
- Owszem, mam. Słyszę, jak się skrada kot.
- A jaki to jest dźwięk? - zainteresował się Gallegher.
- Jak dudnienie bębnów - odparł robot z niewzruszoną miną. - A jak ty mówisz - grzmot.
Głos Joego przypominał nieharmonijny zgrzyt tak, że Gallegher zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś na temat szklanych domów, rzucając w ten sposób pierwszy kamyk. Tymczasem, nie bez wysiłku, skoncentrował uwagę na oszklonych drzwiach wejściowych, za którymi wyrósł cień - znajomy cień - pomyślał Gallegher.
- Brock - oznajmił zapowiadacz. - Harrison Brock. Proszę mnie wpuścić!
- Drzwi są otwarte - Gallegher nawet się nie ruszył. Patrzył i wytężał pamięć. Brock był człowiekiem miedzy czterdziestką a pięćdziesiątką, miał wymasowaną i dokładnie ogoloną gładką twarz, a na niej wyraz udręki i nietolerancji. Prawdopodobnie Gallegher go znał; nie był pewien. Mój Boże.
Brock rozejrzał się po dużym, niechlujnym laboratorium, mrugnął w stronę robota i poszukał wzrokiem krzesła, którego nie znalazł. Podparłszy się wiec pod boki i huśtając się na pietach wlepiał wzrok w rozwalonego na kanapie wynalazcę.
- No i cóż?
- Nie należy nigdy zaczynać w ten sposób - wymamrotał Gallegher wstrzykując sobie do ust kolejną porcje martini. - Dość miałem dzisiaj kłopotów. Niech pan siada i się odpręży. Tam za panem stoi dynamo. Mam nadzieje, że nie jest zbytnio zakurzone.
- Ma pan to dla mnie czy nie? - warknął Brock. - Tylko tyle chce wiedzieć. Dałem panu tydzień. Mam w kieszeni czek na dziesięć tysięcy. Interesuje to pana?
- Jasne - Gallegher wyciągnął dużą zachłanną reke.
- Poproszę.
- Caveat emptor, niech czuwa nabywca. A co ja za to dostane?
- Nie wie pan? - zapytał uczony, szczerze zakłopotany. Brock, stropiony, zaczął podskakiwać.
- O Boże - jęknął. - A powiedzieli mi, że pan jeden mógłby mi pomóc. No tak, ale jednocześnie uprzedzili, że wyegzekwowanie od pana czegokolwiek będzie przypominało wyrywanie zębów. Czy jest pan wynalazcą, czy bredzącym kretynem? Gallegher zastanowił się.
- Chwileczkę. Coś mi zaczyna świtać. W ubiegłym tygodniu rozmawiałem z panem, prawda?
- Owszem, rozmawiał pan... - okrągła twarz Brocka poczerwieniała.
- Leżał pan na kanapie, żłopał wódę i deklamował jakąś poezje. Śpiewał pan „Frankie i Johnnie”. Ale wreszcie przyjął pan moje zlecenie.
- Prawdę powiedziawszy - rzekł Gallegher - byłem pijany. Zresztą często bywam. Zwłaszcza podczas urlopu. Alkohol wyzwala moją podświadomość i wtedy mogę pracować. Najlepsze spośród moich wynalazków - ciągnął zachwycony - powstały, kiedy byłem zapruty. Wszystko wydaje się wtedy takie jasne. Jasne jak słońce. Miałem na myśli słońce, prawda? Tak czy siak... - stracił wątek i był wyraźnie zakłopotany. - Tak czy siak o co panu chodzi?
- Czy ty się wreszcie zamkniesz? - zapytał robot ze swojego miejsca przed lustrem.
Brock podskoczył. Gallegher machnął ręką od niechcenia.
- Niech pan się nie przejmuje Joem. Skończyłem go właśnie wczoraj wieczorem i musze powiedzieć, że żałuje.
- Robota?
- Robota. Ale on jest do niczego. Zbudowałem go po pijanemu i nie mam zielonego pojęcia ani jak, ani po co. Nic nie robi tylko sterczy przed lustrem i podziwia siebie. I śpiewa. Wyje jak upiór. Zaraz go pan usłyszy.
Z pewnym wysiłkiem Brock skupił uwagę na tym, co trzymał w reku.
- Niech pan posłucha, Gallegher. Jestem w kropce. Obiecał mi pan pomóc. Jeśli pan mi nie pomoże, będę zrujnowany.
- Ja jestem zrujnowany od lat - zauważył uczony. -1 zupełnie sie tym nie przejmuje. Po prostu pracuje na utrzymanie, a w wolnych chwilach robie różne rzeczy. Najróżniejsze. Gdybym miał studia, byłbym drugim Einsteinem. Tak mi przynajmniej mówią. Ale moja podświadomość jakimś cudem zdobyła pierwszorzędne naukowe przygotowanie. Może dlatego nigdy się nie przejmowałem wykształceniem. Kiedy jestem pijany albo chociażby wystarczająco roztargniony, potrafię rozwiązywać najbardziej cholerne problemy.
- I teraz też pan jest pijany - zarzucił mu Brock.
- Osiągałem już w życiu przyjemniejsze stany. Jakby się pan czuł, gdyby pan się obudził i stwierdził, że z jakiegoś nieświadomego powodu skonstruował pan robota nie wiedząc o tym stworze dosłownie nic?
- No cóż...
- W każdym razie zupełnie nie czuje się pijany - bąknął Gallegher.
- Najprawdopodobniej bierze pan życie zbyt serio, Brock. Wino to szyderca; mocniejszy alkohol budzi pragnienie. Przepraszam bardzo, właśnie je odczuwam. - Wypił jeszcze trochę martini.
Brock zaczął się przechadzać po zagraconym laboratorium, lawirując wśród niechlujnych przedmiotów o niejasnym przeznaczeniu.
- Jeżeli pan jest uczonym, to niech Bóg ma naukę w swojej opiece.
- Jestem Larrym Adlerem nauki - wyjaśnił Gallegher. - Larry Adler był muzykiem i wydaje mi się, że żył jakieś kilkaset lat temu. Ja jestem podobny do niego. W życiu nie wziąłem ani jednej lekcji. Co ja na to poradzę, że moja podświadomość płata mi figle?
- Czy pan wie, kim ja jestem? - zapytał Brock.
- Tak szczerze mówiąc, to nie. A powinienem wiedzieć? W głosie Brocka zabrzmiała gorycz.
- Mógłby pan się zdobyć przynajmniej na tyle uprzejmości, żeby chociaż to zapamiętać, mimo że byłem tu tydzień temu. Harrison Brock. Jestem właścicielem wytwórni filmowej Vox-View.
- Nie - powiedział nagle robot. - To nie ma najmniejszego sensu. Najmniejszego sensu. Brock.
- Co do...
Gallegher westchnął ze znużeniem.
- Zapominam, że ten cholernik jest żywy. Panie Brock, pan pozwoli, Joe. Joe, pan Brock z Vox-View.
Joe odwrócił się ukazując posczepiane ze sobą kółka zębate w przezroczystej czaszce.
- Miło mi pana poznać, Brock. Proszę przyjąć gratulacje: trafiło sie panu wyjątkowe szczęście słuchania mojego cudownego głosu.
- Mhm... - bogacz wydał nieartykułowany dźwięk. - Jak sie masz.
- Marność nad marnościami i wszystko marność - wtrącił Gallegher sotto voce. - To jest cały Joe. Paw. Nie ma co z nim dyskutować.
Robot zignorował te dygresje.
- Ale to naprawdę nie ma najmniejszego sensu - podjął skrzekliwie.
- Mnie pieniądze nie interesują. Zdaje sobie sprawę jakim szczęściem byłoby dla wielu, gdybym się zgodził wystąpić w pańskich filmach, ale sława nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Żadnego. Wystarczy mi świadomość piękna.
Brock zagryzł wargę.
- Nie przyszedłem tu - powiedział wściekły - proponować ci roli w filmie. Rozumiesz? Czy ja ci proponuje kontrakt? Co za bezczelność! Phi! Zwariowałeś chyba.
- Twoje intrygi są zupełnie przejrzyste - zauważył robot zimno.
- Widzę przecież, że jesteś oczarowany moją pięknością i moim urzekającym głosem, jego wspaniałymi możliwościami modulacyjnymi. Nie musisz wcale udawać, że mnie nie chcesz po to tylko, żeby obniżyć moją cenę. Powiedziałem już: nie interesuje mnie to.
- Oszalałeś! - wrzasnął Brock, rozwścieczony ponad wszelką wytrzymałość. Joe spokojnie odwrócił się do lustra.
- Nie mów tak głośno - ostrzegł Brocka. - Dysharmonia mnie ogłusza. A poza tym jesteś brzydki i nie mam ochoty na ciebie patrzeć. - Kółka i tryby zabrzęczały w obudowie z transplastyku. Joe wystawił oczy na słupkach i oglądał siebie z wszelkimi oznakami podziwu.
Gallegher chichotał cicho na kanapie.
- Joe ma wysoki współczynnik drażliwości - powiedział-Już sie o tym przekonałem. Musiałem go wyposażyć również w całkiem bystre zmysły. Jakąś godzinę temu dosłownie konał ze śmiechu. Bez żadnego wyraźnego powodu. Robiłem sobie coś do jedzenia. W dziesięć minut później pośliznąłem się na ogryzku od jabłka i nieźle wyrżnąłem. Joe tylko na mnie spojrzał. „Otóż to”, powiedział. „Logika prawdopodobieństwa. Przyczyna i skutek. Wiedziałem, że upuścisz ten ogryzek i że się na nim pośliźniesz, tędy będziesz szedł po pocztę”. Jak Biała Królowa. Kiepska ta pamięć, która nie działa w dwie strony.
Brock usiadł na małym dynamo - były tam dwa: większe o nazwie monstrum i mniejsze, które służyło Gallegherowi za bank i westchnął głęboko.
- Roboty to żadna nowość.
- Z wyjątkiem tego. Nienawidzę tych jego trybów. Zaczynam popadać w kompleks niższości. Żałuje, że nie wiem, po co go zrobiłem - westchnął Gallegher. - Zaraz, może się pan napije?
- Nie. Przyszedłem tutaj w interesach. Czy pan rzeczywiście chce powiedzieć, że zamiast zajmować się powierzonym przeze mnie zadaniem cały ubiegły tydzień spędził pan na konstruowaniu tego robota? -
- A może da mi pan forsę i weźmie sobie robota? On jest wart tej sumy.

Niech go pan weźmie di jednego ze swoich filmów.
- Nie ma mowy o żadnych filmach, dopóki pan nie odpowie na moje pytanie - warknął Brock. - Już to panu dokładnie wyjaśniłem.
- Ale ja byłem wtedy pijany - odparł Gallegher. - Moja pamięć została wytarta do czysta jak gąbka. Jestem jak małe dziecko. A wkrótce bede jak pijane małe dziecko. Gdyby pan tymczasem zechciał mi jednak wyjaśnić wszystko od początku...
Brock przełknął wściekłość, wziął z półki na chybił-trafił jakieś pismo ilustrowane, wyjął stylo.
- No wiec dobrze, moje najlepsze akcje stoją na dwadzieścia osiem, dużo poniżej wartości... - zaczął bazgrać jakieś cyfry.
- Gdyby pan wziął ten średniowieczny foliał, który stoi tuż obok, drogo by to pana kosztowało - powiedział leniwie Gallegher. Aha, pan jest z tych facetów, co to piszą na obrusach, tak? Niech pan da sobie spokój z tymi akcjami i tak dalej. I do rzeczy. Kogo pan chce wykantować?
- Szkoda zachodu - odezwał się robot sprzed lustra. - Nie podpisze kontraktu. Ludzie mogą tu przychodzić i mnie podziwiać, jeśli mają ochotę, ale muszą w mojej obecności mówić szeptem.
- Dom wariatów - mruknął Brock, usiłując nad sobą zapanować.
- Niech pan posłucha, Gallegher, wszystko to panu mówiłem tydzień temu, ale...
- Ale nie było wtedy robota. Niech pan udaje, że pan mówi do niego.
- Mmmm. Mam nadzieje, że słyszał pan przynajmniej o wytwórni Vox-View?
- Jasne. Najważniejsza i najlepsza sieć telewizyjna. Sonatone to chyba jedyna pańska konkurencja.
- Sonatone wypiera mnie z rynku. Gallegher był zaskoczony.
- A jak to jest możliwe? Pan ma przecież największe możliwości. Trójwymiarowy obraz, kolor, wszelkie najnowocześniejsze urządzenia, najlepsi aktorzy, muzycy, piosenkarze...
- Szkoda zachodu - wtrącił robot. - Nie podpisze.
- Zamknij się, Joe. Jest pan w tej dziedzinie najlepszy, Brock. Recze panu. I zawsze słyszałem, że postępuje pan etycznie. Co takiego Sonatone może mieć do pana?
Brock wykonywał bezradne gesty.
- Och, to wszystko polityka. Dzikie kina. Nie mogę sobie z nimi poradzić. Sonatone poparła w wyborach obecne władze i kiedy sie domagam likwidacji dzikich kin, policja patrzy na to przez palce.
- Dzikie kina? - zapytał Gallegher marszcząc nieznacznie czoło. Coś słyszałem...
- Dawna sprawa. Sięga jeszcze czasów filmu dźwiękowego. Telewizja wyparła film dźwiękowy i duże kina. Ludzie byli specjalnie warunkowani, by nie siedzieli i nie patrzyli w ekran w dużych grupach. Za najlepsze uważano telewizory. Przyjemnie było oglądać program siedząc sobie w fotelu i popijając piwko. Wtedy telewizja nie była jeszcze hobby bogatych ludzi. System liczników obniżył cenę do poziomu osiągalnego dla klas średnich. Każdy o tym wie.
- Z wyjątkiem mnie - powiedział Gallegher. - Nie interesuje sie tym, co dzieje się poza moim laboratorium, chyba że musze. Alkohol i pamięć selektywna. Ignoruje wszystko, co nie dotyczy mnie w sposób bezpośredni. Niech pan mi to wyjaśni szczegółowo, żebym miał pełny obraz. Nic nie szkodzi, że pan się będzie powtarzał. No wiec co z tymi pańskimi licznikami?
- Telewizory instaluje się za darmo. My ich nie sprzedajemy, my je po prostu wypożyczamy. Ludzie płacą w zależności od tego, ile godzin telewizor jest włączony. Program leci na okrągło - sztuki teatralne, filmy, opery, występy orkiestr, śpiewaków, wodewile wszystko. Jeśli ktoś używa telewizora często płaci proporcjonalnie. Raz na miesiąc przychodzi nasz człowiek i odczytuje stan licznika. Jest to uczciwy system. Każdy może sobie pozwolić na Vox-View. Sonatone i inne sieci robią to samo, ale Sonatone stanowi dla mnie jedyną poważną konkurencje. A przynajmniej jedyną, która jest nieuczciwa jak wszyscy diabli. Reszta to drobne płotki, ale ja im nie wchodzę na odciski. Jeszcze nigdy nikt nie nazwał mnie świnią - zakończył Brock ponuro.
- No i co z tego?
- To, że Sonatone zaczęła ostatnio stosować oddziaływanie zbiorowe. Do niedawna było to niemożliwe; chce powiedzieć, że nie można było powiększyć trójwymiarowego obrazu do wymogów dużego ekranu bez pasków czy odbić. Dlatego w domowych telewizorach były zawsze standardowe ekrany trzy na cztery. Wyniki mieliśmy wspaniałe. Ale Sonatone wykupiła mnóstwo kinwidm w całym kraju.
- A co to jest takiego kina-widma? - zapytał Gallegher.
- Otóż zanim padły filmy dźwiękowe, ludzie strasznie wydziwiali. Wydziwiali jak wszyscy diabli. Słyszał pan kiedy o Radio City Musie Hallu? Czego tam nie było! Nadchodziła telewizja i rywalizacja była ostra. Budowano coraz większe i coraz wymyślniejsze kina. To były po prostu pałace. Ogromne. A kiedy telewizja została udoskonalona, pies z kulawą nogą nie chciał chodzić do kina, a rozbiórka budynków była często zbyt kosztowna. To są właśnie kina-widma, kapuje pan? Duże i małe. Oni je odnowili i pokazują w nich programy Sonatone. Oddziaływanie zbiorowe to bardzo potężny czynnik. Bilety są drogie, ale ludzie walą drzwiami i oknami. Nowość, no i owczy pęd. Gallegher zamknął oczy.
- A kto panu broni robić to samo?
- Patenty - odparł krótko Brock. - Wspomniałem, że do niedawna trójwymiarowy obraz telewizyjny był nie do przeniesienia na duży ekran. Dziesięć lat temu Sonatone podpisała ze mną urnowe, że wszelkich udoskonaleń powiększających będziemy używać wspólnie. Wycofali się z tej umowy. Powiedzieli, że była nieważna. I sąd ich poparł. A oni popierają sądy, pan rozumie, polityka. W każdym razie personel techniczny Sonatone opracował metodę przeniesienia obrazu telewizyjnego na duży ekran. Ogłosili patenty - dwadzieścia siedem patentów przewidujących praktycznie każdy wariant tej metody. Moi ludzie głowili sie dzień i noc nad wynalezieniem rozwiązania podobnego, które by jednak nie było plagiatem, ale Sonatone wykorzystała wszystkie możliwości. Opracowali system, który nazwali Magna. Można go zastosować w każdym telewizorze, ale oni pozwalają go eksploatować tylko w swoich aparatach, rozumie pan?
- To nieetyczne, ale zgodne z prawem - rzekł Gallegher. - Ale pan i tak daje klientom więcej za ich pieniądze. Ludzie wolą coś dobrego. Wielkość obrazu nie ma znaczenia.
- Tak - odparł z goryczą Brock. - Ale to nie wszystko. Wiadomości są pełne O.Z. - to nowe hasło. Oddziaływanie Zbiorowe. Instynkt stadny. Ma pan racje, że ludzie chcą mieć coś dobrego, ale czy kupiłby pan szkocką whisky po cztery kwarta, gdyby pan mógł ją mieć za połowę tej ceny?
- To zależy od jakości. No i co dalej?
- Dzikie kina - odparł Brock. - Są już w całym kraju. - Wyświetlają programy Vox-View, stosując opatentowany przez Sonatone system powiększający Magna. Cena biletu jest bardzo niska, niższa niż koszt posiadania Vox-View w domu. No i oddziaływanie zbiorowe. Dreszczyk przeżywania czegoś niezupełnie legalnego. Ludzie na prawo i lewo pozbywają się swoich aparatów VoxView. I wiem już dlaczego. Bo mogą sobie iść do dzikiego kina.
- I to jest nielegalne... - powiedział Gallegher w zamyśleniu.
- Tak jak nielegalne bary w okresie prohibicji. Sprawa ochrony gangsterskiej, nic więcej. Przez sądy nie mogę zdziałać dosłownie nic. Próbowałem. Ja już robie bokami. W końcu zupełnie mnie zrujnują. A nie mogę obniżyć opłat abonamentowych za aparaty domowe Vox-View, bo one i tak są już nominalne. Dochód miałem tylko z ilości. W tej chwili koniec z dochodami. A co do tych dzikich kin, to przecież jasne, kto za nimi stoi.
- Sonatone?
- Naturalnie. Cisi wspólnicy. Ich dochody płyną z kas kinowych. Dlatego chcą mnie wyprzeć z rynku - żeby mieć monopol. I zaraz potem zaczną dawać publiczności szmirę, a artystom płacić głodowe honoraria. Ze mną jest inna sprawa, ja płace moim ludziom tyle, na ile zasługują, to znaczy bardzo dużo.
- A mnie pan zaproponował zakichane dziesięć tysięcy - zauważył Gallegher.
- To tylko zaliczka - wyjaśnił pośpiesznie Brock. - Proszę, niech pan sam wymieni sumę. Oczywiście w granicach rozsądku dodał.
- Wymienię. Astronomiczną. Czy ja mówiłem w ubiegłym tygodniu, że przyjmę prowizje?
- Tak.
- To znaczy, że musiałem mieć jakąś koncepcje rozwiązania pańskiego problemu. - Gallegher zamyślił się. - Zobaczymy. Ale nie mówiłem nic konkretnego, prawda?
- Mówił pan o marmurowych płytkach i...hmm...swojej miłej.
- Aha, to znaczy, że śpiewałem - wyjaśnił Gallegher znacząco. „Szpital Świętego Jakuba”. Śpiew uspokaja moje nerwy, a jeden Bóg wie, jak bardzo one tego czasami potrzebują. Muzyka i alkohol. Często się zastanawiam, co takiego kupują winiarze...
- Co takiego kupują?
- W połowie tak cennego, jak to, co sprzedają. Nieważne. Cytuje Omara. To nic nie znaczy. Czy ma pan dobrych fachowców?
- Najlepszych. I najlepiej płatnych.
- I nie mogą wymyśleć żadnego systemu powiększającego, który by nie naruszał praw patentowych Sonatone?
- Mówiąc w skrócie, mniej więcej tak to wygląda.
- Bede chyba musiał przeprowadzić jakieś badania – rzekł ze smutkiem Gallegher. - A nienawidzę tego jak trucizny. Ale tak czy siak, suma części równa się całości. Czy rozumie pan coś z tego? Bo ja nie. Mam kłopoty ze słowami. Jak już coś powiem, zaczynam się zastanawiać, co powiedziałem. Ale lepsze to niż oglądanie sztuk - zakończył Gallegher raptownie. - Boli mnie głowa. Za dużo gadania, za mało alkoholu. Zaraz, do czego to wszystko prowadziło?
- Do domu wariatów - burknął Brock. - Gdyby pan nie był moją ostatnią deską ratunku...
- Nic z tego - wtrącił zgryźliwie robot. - Może pan podrzeć kontrakt, Brock. Ja go i tak nie podpisze. Sława nie ma dla mnie żadnego znaczenia, absolutnie żadnego.
- Jeśli się nie zamkniesz - ostrzegł go Gallegher - bede ci wrzeszczał w same uszy.

- Proszę bardzo - zaskrzeczał robot. - Bij mnie! No proszę, bij! Im będziesz dla mnie podlejszy, tym szybciej mój system nerwowy sie rozleci i umrę. Nie zależy mi. Nie mam instynktu samozachowawczego. Bij mnie. Zobaczysz, czy mi zależy.
- Wie pan co, on ma racje - rzekł po chwili uczony. -Jest to jedyna logiczna reakcja na szantaż czy groźby. Im prędzej, tym lepiej. Z Joem nie ma żadnego stopniowania. Wszystko, cokolwiek jest dla niego naprawdę bolesne, może go zabić. A jemu nie zależy.
- Mnie też nie - mruknął Brock. - Mnie zależy na tym, żeby...
- Tak. Wiem. Połażę trochę i zobaczę, co się ze mną stanie. Czy mógłbym obejrzeć pańskie studia?
- Proszę, oto przepustka. - Brock nabazgrał coś na odwrocie wizytówki. - Czy od razu wziąłby się pan do roboty?
- Naturalnie - zełgał Gallegher. - Niech pan sobie spokojnie idzie i się nie przejmuje. Proszę się uspokoić. Wszystko będzie dobrze. Albo znajdę rozwiązanie pańskiego problemu bardzo szybko, albo...
- Albo co...?
- Albo nie znajdę - zakończył uczony łagodnie i zaczął przebierać palcami po klawiaturze koło kanapy. -Już mam wyżej uszu martini. Dlaczego ja nie zaprojektowałem tego robota jako mechanicznego barmana, skoro go w ogóle zrobiłem. Czasami nawet wysiłek wybierania i naciskania klawiszy jest okropny. Tak, zabieram się do roboty, Brock. Niech pan się nie martwi. Magnat telewizyjny zawahał się.
- No cóż, pan jest moją ostatnią deską ratunku. Nie musze chyba mówić, że jeśli mógłbym panu w czymkolwiek pomóc...
- Blondyna - mruknął Gallegher. Ta pańska wspaniała gwiazda Silver O'Keefe. Niech pan mi ją przyśle. Poza tym nie chce nic.
- Do widzenia, Brock - powiedział robot zgrzytliwie. - Przykro mi, że nie doszliśmy do porozumienia w sprawie kontraktu, ale przynajmniej miał pan niewątpliwą rozkosz słyszenia mojego pięknego głosu, nie mówiąc już o przyjemności oglądania mnie. Niech pan nie rozpowiada za bardzo o tym, jaki jestem wspaniały. Nie chce tłumów, po co mają mi zawracać głowę. Ludzie są tacy hałaśliwi.
- Dopóki człowiek nie porozmawia z Joem, nie wie, co to jest dogmatyzm. No to cóż, do zobaczenia.. I niech pan nie zapomina o blondynce.
Brockowi zadrżały wargi. Przez chwile szukał słów, ale uznał, że to strata czasu, i odwrócił się do wyjścia.
- Do widzenia, ty paskudny człowieku - pożegnał go Joe.

Gallegher skrzywił się na odgłos trząśnięcia drzwi, chociaż dla superwrażliwych uszu robota ten dźwięk był znacznie gorszy. - Dlaczego się tak zachowujesz? - zapytał. - Przecież facet mało nie dostał apopleksji. - Chyba nie uważa, że jest piękny - odparł Joe.
- Pojecie piękna jest subiektywne.
- Co za głupota. Ty też jesteś paskudny.
- A ty jesteś kupą zgrzytających trybów, tłoków i kółek zębatych.
- I masz robaki - powiedział Gallegher myśląc oczywiście o pewnych mechanizmach w ciele robota.
- Jestem rozkoszny. - Joe, oczarowany, gapił się w lustro.
- Może dla ciebie. Zastanawiam się, dlaczego zrobiłem cie przezroczystym.
- Żeby i inni mogli mnie podziwiać. Ja mam naturalnie wzrok rentgenowski.
- I kółka w głowie. Ciekawe, dlaczego ten radioatomowy mózg umieściłem ci w brzuchu. Czyżby dla bezpieczeństwa?
Joe nie odpowiedział. Nucił coś koszmarnie skrzeczącym głosem, ostrym i denerwującym. Gallegher wytrzymywał to przez chwile krzepiąc się dżinem z sokiem z syfonu.
- Podnieś częstotliwość głosu! - wrzasnął w końcu. - Twój głos przypomina starą kolej podziemną na zakręcie.
- Jesteś po prostu zazdrosny - zakpił Joe, ale posłusznie podniósł głos do poziomu ultradźwięków. Na pół minuty zaległa cisza. A , potem zaczęły wyć psy w całej okolicy.
Znużony Gallegher dźwignął z kanapy swoje chude ciało. Uznał, że w laboratorium nie zazna spokoju. W każdym razie nie z tą animowaną kupą szmelcu, która się obnosi bez przerwy ze swoim ja. Joe zaczął chichotać fałszywym głosem. Gallegher skrzywił się.
- No i co?
- Zobaczysz.
Logika związków przyczynowo-skutkowych, wspierana przez rachunek prawdopodobieństwa, wzrok rentgenowski i inne bliżej nie określone zmysły, w które bez wątpienia wyposażony był Joe. Gallegher zaklął cicho, znalazł zdefasonowany czarny kapelusz i ruszył do drzwi. Kiedy je otworzył, wszedł niski, gruby mężczyzna, który boleśnie odbił się od brzucha gospodarza.
- Uff! Och. Co za prostackie poczucie humoru ma ten osioł. O, pan Kennicott. Dzień dobry, miło mi pana widzieć. Szkoda, że nie mogę zaproponować panu drinka.
- Ja tam nie potrzebuje żadnego drinka. Chce swoje pieniądze. Niech pan mi je odda. No, jak będzie z moją forsą?
- Szczerze mówiąc, szedłem właśnie zrealizować czek.
- Ja panu sprzedałem brylanty. Miał pan z nich coś zrobić. Pan mi dał czek. Ale ten czek ni diabła nie ma pokrycia. Co to wszystko ma znaczyć? ^
- Ze czek jest po prostu bez pokrycia - wyjaśnił słabym głosem Gallegher. - Nigdy nie śledzę stanu swego konta.
- Pan mi odda moje brylanty!
- Ale ja je wykorzystałem do pewnego eksperymentu. Niestety zapomniałem do jakiego. Wie pan co, panie Kennicott, musiałem być trochę pijany, kiedy je kupowałem.
- Jak diabli - zgodził się mały człowieczek. - Zalany w trupa. Ale co dalej? Dłużej nie czekam. Już i tak mnie pan dosyć zwodził. Płaci pan teraz czy nie?
- Wynoś się, ty brudasie - odezwał się Joe z głębi pokoju. -Jesteś ohydny.
Gallegher pospiesznie wypchnął Kennicotta z mieszkania i dokładnie zamknął drzwi.
- Papuga - wyjaśnił. - Ale już wkrótce ukręcę jej łeb. A teraz co do tych pieniędzy. Przyznaje, że jestem je panu winien. Dostałem właśnie poważne zlecenie i jak mi tylko zapłacą, zaraz zwrócę dług.
- Bzdura - odparł Kennicott. - Ma pan chyba jakąś posadę do licha, no nie? Pracuje pan jako technik w jakimś dużym towarzystwie, no nie? Niech pan poprosi, żeby panu wypłacili a conto.
- Prosiłem - westchnął Gallegher. - Wybrałem swoje zarobki na pół roku naprzód. Ale niech pan posłucha: za parę dni będę miał dla pana te forsę. Może nawet dostane zaliczkę od klienta, okay?
- Nie.
- Nie?
- A zresztą, niech będzie. Czekam jeden dzień. Może dwa. I dość tego. Jak pan dostanie forsę, to w porządku. A jak nie, to pan idzie do paki.
- Dwa dni to kupa czasu - powiedział Gallegher z ulgą. - Niech mi pan powie: czy tu gdzieś w okolicy są jakieś dzikie kina?
- Lepiej niech pan się bierze do roboty i nie traci czasu.
- To jest właśnie moja robota. Dokonuje rozeznania. W jaki sposób mogę znaleźć takie dzikie kino?
- Bardzo łatwo. Jedzie pan do śródmieścia i jak pan zobaczy w bramie faceta sprzedającego bilety, to będzie właśnie tam. Gdziekolwiek. Wszędzie.
- Wspaniale - rzekł Gallegher i pożegnał małego człowieczka. Po co on kupił od Kennicotta te brylanty? Musi sobie chyba amputować podświadomość. Płata mu najdziwniejsze figle! Działa na zasadzie sztywnej logiki, a ta logika jest kompletnie obca świadomemu umysłowi Galleghera. Skutki są często zdumiewająco korzystne, ale z reguły zaskakujące. I właśnie na tym polega wada tego, że się jest uczonym bez nauki, uczonym grającym ze słuchu.
W retorcie w laboratorium był jakiś pył, pozostały po jakimś doświadczeniu, wykonanym przez podświadomość. Ciekawe. A może... ach tak. Poszły do Joego. Łożyska czy coś w tym rodzaju. Rozebranie robota nic by nie dało, ponieważ brylanty z pewnością zostały zmielone. Dlaczego do diabła nie użył diamentów przemysłowych - wystarczyłyby w zupełności - zamiast kupować brylanty najczystszej wody? Ale dla podświadomości Galleghera nie istniały rzeczy za dobre.
Gallegher błąkał się jak Diogenes w poszukiwaniu prawdy. Był wczesny wieczór i neony pulsowały mu nad głową jak jasne sztabki światła na tle ciemności. Nad wieżowcami Manhattanu płonęła niebieska reklama. Taksówki powietrzne śmigały na różnych poziomach, zatrzymując się przy platformach wind. I tak dalej.
W śródmieściu Gallegher zaczął zwracać uwagę na bramy. Wreszcie dostrzegł w jednej z nich mężczyznę, który jednak sprzedawał karty pocztowe. Gallegher podziękował i czując niedosyt udał się w kierunku najbliższego baru. Był to bar ruchomy, łączący najgorsze cechy wesołego miasteczka z Coney Island i banalnych cocktail-barów i Gallegher zawahał się na progu. W końcu jednak złapał krzesło, które akurat koło niego śmignęło i odprężył się, na ile to było możliwe. Zamówił trzy dżiny z sokiem i wypił je szybko jeden po drugim. Potem wezwał barmana i zapytał o dzikie kina.
- No jasne - odrzekł mężczyzna wyjmując z kieszeni fartucha plik biletów. - Ile?
- Jeden. A gdzie to jest?
- Dwieście dwadzieścia osiem. To znaczy ulica. Niech pan pyta o Ton'ego.
- Dziękuje - powiedział Gallegher i zapłaciwszy wygórowany rachunek wygramolił się z krzesła i pożeglował w stronę drzwi. Bary ruchome były wynalazkiem, za którym Gallegher nie przepadał. Uważał, że należy pić w pozycji stabilnej skoro i tak osiąga sie w końcu stan chwiejny.
Do wejścia schodziło się po schodach, a w drzwiach znajdowała sie kratka. Gdy Gallegher zapukał, zapłonął ekran, najwyraźniej obwód jednokierunkowy, ponieważ portier pozostał niewidoczny.
- Czy zastałem Tony'ego? - zapytał Gallegher.
Drzwi otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna o znużonym wyrazie twarzy, w spodniach pneumatycznych, które zupełnie nie spełniały swego zadania, którym było nadanie jego chudej sylwetce pełniejszego wyglądu.



- Ma pan bilet? Proszę pokazać. Okay, koleś. Prosto przed siebie. Właśnie idzie program. Alkohol w barze na lewo. Gallegher przepchnął się przez dźwiękoszczelne zasłony na końcu niewielkiego korytarza i znalazł się w czymś, co wyglądało na foyer starożytnego kina z roku mniej więcej 1980, gdy ostatnim krzykiem mody był plastyk. Wyczuł bar, wziął kosztownego taniego drinka i wzmocniony w ten sposób wszedł do kina. Sala była prawie pełna. Wielki ekran systemu Magna - jak się można było domyślać - roił się od ludzi, chwiejących się przy statku kosmicznym. Był to albo film przygodowy, albo wiadomości.

Tylko urok zakazanego owocu mógł ściągać ludzi do dzikich kin. Panował tu smród. Widać było, że organizatorzy angażują minimalne środki; obywali się nawet bez bileterów. Ale” interes był nielegalny, a zatem korzystał z dobrej ochrony. Gallegher w zamyśleniu patrzył na ekran. Żadnych pasków, żadnych odbić. System Magna został dostosowany do nierejestrowanego telewizora Vox-View i jedna z największych gwiazd Brocka dawała właśnie wzruszający popis na użytek nielegalnej widowni. Normalny rabunek. Tak.

Po chwili Gallegher wyszedł, dostrzegając koło przejścia mundurowego policjanta. Uśmiechnął się ironicznie. Gliniarz z pewnością wszedł na gapę. Polityka jest zawsze taka sama.

Dwie przecznice dalej świetlista reklama głosiła: „Sonatone Bijou”. To było naturalnie jedno z zalegalizowanych i odpowiednio drogich kin. Gallegher rozrzutnie przeznaczył okrągłą sumkę na dobre miejsce. Chciał porównać poziomy projekcji. Na ile potrafił ocenić, Magna w „Bijou” i w dzikim kinie były identyczne. Obie idealnie spełniały swoje zadania. Trudny próg, polegający na powiększeniu ekranu telewizyjnego został pokonany.

W „Bijou” jednak wszystko miało charakter pałacowy. Wytworni portierzy kłaniali się w pas. W barach serwowano za darmo drinki w rozsądnych ilościach. Była też turecka łaźnia. Gallegher wszedł w drzwi z napisem „Mężczyźni” i wyszedł oszołomiony przepychem. Jeszcze co najmniej przez dziesięć minut czuł sie jak sybaryta.

Wszystko to oznaczało, że do legalnych kin chodzili tylko ci, co mogli sobie na to pozwolić; reszta do dzikich. Reszta - z wyjątkiem garstki domatorów, którzy nie ulegli urokom nowinek. W końcu Brock musiałby zostać wyparty z rynku z powodu nierentowności. Cała ta gałąź rozrywki wpadnie w ręce Sonatone, która będzie nieustannie podbijała ceny dbając jedynie o zyski. Rozrywka jest niezbędnym elemen-

tem życia, a ludzie zostali przyzwyczajeni do oglądania telewizji. Nie mają nic w zamian. Kiedy wiec Sonatone już opanuje rynek, ludzie będą płacili coraz więcej za coraz marniejsze programy.

Gallegher wyszedł z „Bijou" i zatrzymał taksówkę powietrzną. Podał adres studio Vox-View na Long Island z mglistą nadzieją, że wymusi na Brocku otwarcie konta. Zamierzał też naturalnie dalej badać sprawę. Wschodnie biura Vox-View rozrzucone były bezładnie po Long Island. Ciągnąc się wzdłuż Soundu stanowiły rozległe zbiorowisko budynków o najróżniejszych kształtach. Gallegher instynktownie znalazł kantynę, gdzie wchłonął kolejną porcje alkoholu. Jako środek zapobiegawczy. Jego podświadomość miała przed sobą ciężkie zadanie; poza tym Collins był dobry.
Po pierwszym drinku uznał, że na razie ma dość. Nie był supermenem, chociaż jego pojemność i tak była niemal niewiarygodna. Akurat wystarczająca dla uzyskania obiektywnej jasności i subiektywnego wyzwolenia...
- Czy studio jest zawsze otwarte w nocy? - zapytał kelnera.
- Jasne, w każdym razie niektóre sceny. Program idzie na okrągło.
- Kantyna jest pełna.
- Przychodzą tu do nas z lotniska. Jeszcze jednego? Gallegher potrząsnął głową i wyszedł. Wizytówka, którą mu dał Brock, upoważniała do wejścia przez bramę i Gallegher skierował się od razu do budynku dyrekcji. Nie było tam Brocka, ale dobiegały go głośne rozmowy - przenikliwe kobiece głosy. Sekretarka powiedziała: „chwileczkę", połączyła się przez wewnętrzny wideofon i po chwili dodała:
- Zechce pan wejść?
Gallegher zechciał. Biuro było przytulne, funkcjonalne i zarazem luksusowe. W niszach wzdłuż ścian wisiały trójwymiarowe fotosy największych gwiazd Vox-View. Przy biurku siedziała mała, podniecona, ładna brunetka, a po drugiej stronie stała wściekła blondyna typu anielica. Gallegher poznał w niej Silver 0'Keefe. Postanowił skorzystać z okazji.
- Halo, panno O'Keefe. Czy mógłbym poprosić panią o autograf? Na kostce lodu. Oczywiście w whisky.
Silver robiła wrażenie drapieżnej kotki.
- Bardzo mi przykro, mój drogi, ale ja pracuje. I jestem w tej chwili zajęta.
Brunetka zapaliła papierosa.
- Załatwimy to później, Silver. Tata powiedział, że chce się zobaczyć z tym facetem. To ważna sprawa.
- Owszem, załatwimy - odparła Silver. - I to szybko. - Z tymi słowy wyszła. - Gallegher gwizdnął w zamyśleniu w stronę zamkniętych drzwi.
- Nic z tego - skomentowała brunetka. - Sprawa jest zawarowana kontraktem. A ona chce zerwać kontrakt, żeby móc podpisać urnowe z Sonatone. Szczury uciekają z tonącego okrętu. Od chwili, kiedy odebrała sygnały nadchodzącej burzy, dosłownie szaleje.
- O?
- Niech pan siada i zapali czy co. Jestem Patsy Brock. Tata prowadzi interes, ale ja obejmuje stery ilekroć on zaczyna tracić głowę. Stary zupełnie nie wytrzymuje kłopotów. Uważa je za osobisty afront.
Gallegher znalazł sobie krzesło.
- Aha, to znaczy, że Silver chce zdradzić, tak? Ile osób poza nią?
- Niewiele. Większość jest lojalna. Ale oczywiście, jeśli splatujemy... - Patsy Brock wzruszyła ramionami. Albo będą pracowali dla Sonatone za ich szmal, albo jakoś inaczej sobie poradzą.
- No, dobra, musze się zobaczyć z waszymi technikami. Chciałbym się zorientować, co zrobili w sprawie tego systemu powiększającego.
- Proszę bardzo - powiedziała Patsy. - Ale niewiele panu z tego przyjdzie. Po prostu nie sposób wymyślić nic takiego, co by w jakiś sposób nie naruszało jednego z patentów Sonatone.
Nacisnęła guzik, mruknęła coś do wideofonu i w otworze w biurku ukazały się dwie wysokie szklanki.
- Panie Gallegher?
- No, jeśli to jest Collins...
- Poznałam po pana oddechu - powiedziała Patsy enigmatycznie. - Tata mówił mi, że się z panem widział. Trochę go zdenerwował ten pański nowy robot. Ale, właściwie to jaki ten robot jest?
- Och, nie wiem - odparł Gallegher bezradnie. - Jest wyposażony w różne możliwości... chyba nowe zmysły... ale nie mam zielonego pojęcia, do czego on może służyć. Poza podziwianiem siebie samego w lustrze.
Patsy skinęła głową.
- Chciałabym go kiedyś zobaczyć. Ale co do tej sprawy z Sonatone. Czy sądzi pan, że mógłby pan znaleźć jakieś rozwiązanie?
- Możliwe. Prawdopodobnie.
- Ale nie na pewno.
- A wiec na pewno. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Absolutnie żadnych.
- Bo to dla mnie ważne. Facet, który jest właścicielem Sonatone, nazywa się Elia Tonę. To pirat i łobuz. Robi dużo krzyku. I ma syna Jimmy'ego. A Jimmy, może mi pan wierzyć albo nie, przeczytał „Romea i Julie".
- Fajny chłopak?
- Gnojek. Duży osiołek i gnojek. Chce, żebym wyszła za niego za mąż.
- „Dwie rodziny, obie jednakowo w"...
- Może mi pan tego oszczędzić - przerwała mu Patsy. - Zawsze uważałam Romea za głupka. I gdyby kiedykolwiek w mojej głowie powstała myśl, że mogłabym chodzić z Jimmym Tone'em, to bym się chyba sama zgłosiła do czubków. Nie, panie Gallegher, ta sprawa wygląda zupełnie inaczej. Tu nie ma mowy o żadnym kwiecie róży, nic z tych rzeczy. Owszem, Jimmy mi się oświadczył, ale oświadczyny w jego wykonaniu polegają na tym, że zakłada dziewczynie nelsona i tłumaczy jej, jakie to dla niej szczęście.
- Ach - powiedział Gallegher i dał nura w swojego Collinsa.
- Cała ta historia z patentami i dzikimi kinami to pomysł Jimmy'ego. Jestem przekonana. Jego stary oczywiście kupił ten numer, ale wymyśliło go cudowne dziecko Jimmy.
- Dlaczego tak pani sądzi?
- Chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Sonatone uważa, że zyska monopol, a Jimmy Tonę, że zdobędzie mnie. Jest wściekły. Nie może uwierzyć, że ja go naprawdę nie chce i, czeka, że się w pewnym momencie złamie i powiem tak. Czego nie mam zamiaru zrobić, niezależnie od tego, co się stanie. Ale to sprawa osobista. Nie mogę dopuścić do tego, żeby nam to zrobił. Chciałabym mu zetrzeć z gęby ten zadowolony uśmieszek.
- Nie przepada pani za nim, co? - zauważył Gallegher. - Trudno zresztą mieć to pani za złe, skoro jest taki, jak pani mówi. No cóż, zrobię, co się da. Ale potrzebna mi będzie zaliczka.
- Ile?
Podał wysokość. Patsy wypisała czek na znacznie mniejszą sumę. Gallegher robił wrażenie urażonego.
- Nic z tego - Patsy uśmiechnęła się krzywo. - Słyszałam o panu, panie Gallegher. Jest pan zupełnie nieodpowiedzialny. Gdyby pan dostał więcej, uznałby pan, że to panu wystarczy i zapomniał o całej sprawie. Wypisze panu więcej czeków, kiedy to będzie naprawdę potrzebne, ale musi pan dokładnie wyspecyfikować wydatki.
- Krzywdzi mnie pani - rzekł Gallegher uśmiechając się. - Zamierzałem właśnie zaprosić panią do nocnego lokalu, ale naturalnie nie chciałbym, żeby to była speluna. A eleganckie lokale są drogie. Gdyby wiec pani zechciała wypisać jeszcze jeden czek... Patsy roześmiała się.
- Nie.
- A może kupi pani robota?
- W każdym razie nie takiego.
- No to jestem zrujnowany - westchnął Gallegher. - A co z...
W tym momencie zaterkotał wideofon. Na ekranie pojawiła sie przezroczysta, pozbawiona wyrazu twarz. Wewnątrz okrągłej kulistej głowy obracały się szybko kółka zębate. Patsy krzyknęła i cofnęła się gwałtownie.
- Powiedz Gallegherowi, ty szczęściaro, że mówi Joe - odezwał sie zgrzytliwy głos. - Będziesz się delektować dźwiękiem mojego głosu i widokiem aż do śmierci. Muśnięcie piękna w świecie szarzyzny...
Gallegher obszedł biurko i spojrzał na ekran.
- Co do diabła, skądżeś się wziął?
- Mam problem do rozwiązania.
- A skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?
- Wysensowałem cie-odparł robot.
- Co zrobiłeś?
- Wysensowałem, że jesteś w studio Vox-View z Patsy Brock.
- Co to znaczy wysensować? - chciał wiedzieć Gallegher.
- To jest jeden z moich zmysłów. Nie masz nic, co by choć trochę to przypominało, dlatego nie mogę ci wytłumaczyć. Coś w rodzaju kombinacji sagrazi i przewidywania.
- Sagrazi?
- Ach, sagrazi też nie masz. Nie zawracaj mi głowy. Ide do lustra. Szkoda mojego czasu.
- Czy on zawsze tak gada? - wtrąciła Patsy.
- Prawie zawsze. Czasem jest w tym jeszcze mniej sensu. Okay, Joe, no wiec o co ci chodzi?
- Ty już nie pracujesz dla Brocka - odparł robot. - Pracujesz dla Sonatone.
Gallegher zaczerpnął tchu.
- No, mów, chociaż jesteś stuknięty.
- Nie podoba mi się Kennicott. Drażni mnie. Jest za brzydki. Jego wibracje grają mi na sagrazi.
- Nie przejmuj się nim - powiedział Gallegher, który nie życzył sobie omawiania sprawy zakupu diamentów przy dziewczynie. Wróć do...
- Ale ja wiedziałem, że Kennicott będzie przychodził, aż dostanie swoje pieniądze, wiec kiedy się zjawili Elia i James Tone'owie wziąłem od nich czek.
Patsy złapała Galleghera za ramię.
- Chwileczkę! Co tu się właściwie dzieje? Normalne oszustwo. Tak?

- Nie. Niech pani zaczeka. Musze dotrzeć do sedna sprawy. Joe, niech szlag trafi twoją przezroczystą skórę, coś ty najlepszego narobił? W jaki sposób dostałeś od Tone'ów czek?
- Udawałem ciebie.
- No jasne - rzekł Gallegher z gryzącą ironią. - Naturalnie. Jesteśmy bliźniakami. Podobnymi jak dwie krople wody.
- Zahipnotyzowałem ich - wyjaśnił Joe. - Zrobiłem tak, żeby myśleli, że jestem tobą.
- A ty jesteś zdolny do czegoś takiego?
- Tak. Sam byłem trochę zdziwiony. Ale gdybym się zastanowił, to bym wysensował, że mam takie zdolności.
- Ty... aha, no tak. Sam bym to wysensował. Ale jak to było?
- Tone'owie musieli podejrzewać, że Brock się zwrócił do ciebie o pomoc. Zaproponowali kontrakt na zasadzie wyłączności: pracujesz tylko dla nich i dla nikogo innego. Kupa forsy. No wiec udałem, że jestem tobą i zgodziłem się. Wobec tego podpisałem urnowe - miedzy nami mówiąc jest to twój podpis - i dostałem od nich czek, który posłałem Kennicottowi.
- Cały czek? - zapytał Gallegher słabym głosem. - Na ile on opiewał?
- Na dwanaście tysięcy.
- 1 to wszystko, co mi zaoferowali?
- Nie - odparł robot. - Oni zaoferowali sto tysięcy i po dwa tysiące miesięcznie przez pięć lat, ale ja wziąłem tylko tyle, żeby spłacić Kennicotta i mieć pewność, że nie wróci i nie będzie mi więcej zawracał głowy. Tone'owie byli zadowoleni, jak im powiedziałem, że dwanaście tysięcy wystarczy.
Z głębi gardła Galleghera wydarł się nieartykułowany bulgot. Joe w zamyśleniu skinął głową.
- Pomyślałem, że będzie lepiej, jak cie zawiadomię, że pracujesz teraz dla Sonatone. No, wracam do lustra i trochę pośpiewam.
- Chwileczkę, Joe - powiedział uczony. - Zaczekaj jedną chwileczkę. Tymi dwiema rekami porozrywam twoje tryby i podepcze nogami.
- Ale taka umowa nie ma żadnej mocy prawnej - powiedziała Patsy przełykając nerwowo.
- Ma - odrzekł radośnie Joe. - No, proszę, może pani jeszcze raz rzucić na mnie okiem i musze iść. - Odszedł.
Gallegher łyknął całego Collinsa na raz.
- Tak mną to wstrząsnęło, że natychmiast wytrzeźwiałem poinformował dziewczynę. - Co ja do tego robota wsadziłem? W jakie ja go wyposażyłem zmysły? Hipnotyzuje ludzi, żeby wierzyli, że jest mną - że ja jestem nim - już zupełnie nie wiem, co mówię...
- Szykuje pan jakiś numer? - spytała po chwili Patsy lakonicznie.
- Zastanawiam się, czy przypadkiem rzeczywiście nie podpisał pan umowy z Sonatone i nie kazał zadzwonić tu swojemu robotowi, żeby zapewnił panu alibil
- Niepotrzebnie się pani zastanawia. To Joe podpisał urnowe, nie ja. Ale niech pani tylko pomyśli: jeżeli tamten podpis stanowi wierną kopie mojego podpisu, jeżeli Joe zahipnotyzował Tone'ów tak, że myśleli, że zamiast jego widzą mnie, jeżeli podpis został złożony przy świadkach... a przecież dwaj Tone'owie są naturalnie świadkami... och, do diabła!
Oczy Patsy zwęziły się.
- Zapłacimy panu tyle, ile zaoferowała Sonatone. Na zasadzie ryczałtu. Ale pracuje pan dla Vox-View, to chyba jasne?
- Oczywiście
Gallegher tęsknie patrzył na swoją pustą szklankę. Oczywiście. Pracuje dla Vox-View. Ale według litery prawa obowiązuje go umowa z Sonatone, na mocy której oferował im swoje wyłączne usługi na okres pięciu lat za sumę dwunastu tysięcy! Cholera! Zaraz, a oni ile mu proponowali? Od razu sto tysięcy i...i... Nie chodziło zresztą o zasadę, chodziło o pieniądze. Gallegher był załatwiony. Jeżeli Sonatone wygra sprawę w sądzie to należy do nich przez pięć lat. Bez dalszych honorariów. Musi się jakoś wyplątać z tego kontraktu i jednocześnie rozwiązać problem Brocka.
A dlaczego właściwie nie Joe? To przecież on ze swoimi niezwykłymi talentami nawarzył mu tego piwa. Powinien teraz go z tego wyciągnąć. I lepiej niech to zrobi, bo już niedługo, próżna bestia, będzie podziwiał siebie w kawałkach.
- Tak, tak zrobię - rzekł Gallegher po cichu. - Porozmawiam z Joem. Patsy, daj mi szybko coś do picia i zaprowadź mnie do działu technicznego. Chce zobaczyć te ich opracowania. Dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie.
-Dobrze, ale jeśli spróbuje pan nas sprzedać...
- Sam zostałem sprzedany. Załatwiony okrutnie. Boje się tego robota. Wsensował mnie w sytuacje nie do pozazdroszczenia. Tak, tak, w porządku, Collins. - Gallegher pił długo i łapczywie. Zaraz potem Patsy wzięła go do działu technicznego. Zapoznanie sie z trójwymiarowymi odbitkami było ułatwione dzięki czytnikowi - urządzeniu selekcyjnemu, które eliminowało pomyłki. Gallegher studiował plany długo i z namysłem. Były tam również kopie patentów Sonatone. O ile mógł się zorientować, wyczerpali problem całkowicie. Nie zostawili żadnych szczelin,.
Jeżeli nie wymyśli zupełnie innego systemu... Ale nowych systemów nie wyczarowuje się z powietrza. A zresztą to i tak nie rozwiąże sprawy do końca. Nawet gdyby VoxView wszedł w posiadanie powiekszacza nowego typu nie naruszającego praw patentowych Sonatone do Magny, to przecież i tak dzikie kina będą nadal istniały i uprawiały swój proceder. O.Z. - oddziaływanie zbiorowe było teraz cynnikiem decydującym. Należało to wziąć pod uwagę. Zagadka nie miała charakteru jedynie naukowego. Niebagatelną role odgrywał tu także element ludzki.
Gallegher magazynował niezbędne informacje, szufladkując je w głowie. Później wykorzysta to, co mu będzie potrzebne. Na razie był całkowicie oszołomiony. Coś go niepokoiło. Ale co?^
Sprawa Sonatone.
- Chciałbym się skontaktować z Tone'ami - powiedział do Patsy.
- Masz jakiś pomysł?
- Mogę się z nimi połączyć przez wideofon. Gallegher potrząsnął głową.
- Psychologicznie niekorzystne. Za łatwo się wyłączyć.
- No cóż, jeżeli panu się spieszy, złapie ich pan na pewno w jakimś nocnym lokalu. Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. Patsy wyszła pospiesznie a zza ekranu ukazała się SilwerOKeefe. Jestem bezwstydna - oznajmiła. - Zawsze podsłuchuje przez dziurkę od klucza. Czasem dowiaduje się w ten sposób ciekawych rzeczy. Jeśli chce się pan zobaczyć z Tone'ami, to ich pan zastanie w klubie Castle. Chyba pana tam zaproszę na drinka. Gallegher powiedział:
- Okay, niech pani zamówi taksówkę. A ja powiem Patsy, że idziemy.
- Nie będzie tym zachwycona - zauważyła Silver. - Za dziesięć minut spotykamy się przed stołówką. Niech pan się przez ten czas ogoli.

Patsy Brock nie było w biurze, ale Gallegher zostawił jej wiadomość. Następnie wpadł do części usługowej lokalu, posmarował twarz niewidocznym kremem do golenia, zostawił go na kilka minut, a następnie starł ręcznikiem Zarost zszedł razem z kremem Lekko odświeżony Gallegher spotkał się z Silver i zatrzymał taksówkę powietrzną. Siedzieli rozparci wygodnie i paląc papierosy przyglądali sie sobie czujnie.
- No i? - zagadnął Gallegher.
- Jimmy Tonę usiłował dziś umówić się ze mną na wieczór. Stąd wiem, gdzie jest.
- No i?
- Chodziłam dzisiaj i wszystkich rozpytywałam. Praktycznie nie zdarza się, żeby ktoś z zewnątrz dostał się do biur Vox-View. „Kto to jest ten Gallegher" - pytałam.
- No i czego się pani dowiedziała?
- Wystarczająco dużo, żeby się pewnych rzeczy domyśleć. Brock pana wynajął, tak? Domyślam się dlaczego.
- Ergo, co?
- Mam zwyczaj spadać na cztery łapy -powiedziała Silver wzruszając ramionami. A potrafiła wzruszać ramionami. - Vox-View splajtuje. Na rynku zostanie Sonatone. Chyba że...
- Chyba że rozwiąże ten problem.
- Właśnie. Chciałabym wiedzieć, po której stronie mam się ustawić. I pan jest tyfn, który mógłby mi prawdopodobnie powiedzieć. Kto zwycięży?
- Aha, bo pani zawsze trzyma z tymi, co wygrywają, tak? - rzekł Gallegher. - Czy ty, dziewczyno, nie masz żadnych zasad? Czy nie ma w tobie żadnej uczciwości? Czy nie słyszałaś nigdy o etyce i skrupułach?
Silver spytała z promiennym uśmiechem:
- A pan?
- Owszem, słyszałem. Ale zazwyczaj jestem zbyt pijany, żeby zrozumieć, co one znaczą. Problem polega na tym, że moja podświadomość jest kompletnie amoralna i kiedy ona obejmuje nade mną władze, jedyną zasadą, jaką się kieruje, jest logika. Wyrzuciła papierosa do East River.
- Czy może mnie pan uprzedzić, która strona zwycięży?
- Zatryumfuje prawda - oznajmił Gallegher uroczyście. - Jak zawsze Aczkolwiek w tym wszystkim jest ona zmienną czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. W porządku, kołeczku. Odpowiem na to pytanie: jeśli chcesz być bezpieczna, trzymaj ze mną.
- A ty jesteś po czyjej stronie?
- Bóg jeden wie - odparł Gallegher. - Świadomie jestem po stronie Brocka, ale moja podświadomość może być w tej sprawie innego zdania. Zobaczymy.
Silver robiła wrażenie niezadowolonej, ale nie odezwała się słowem. Taksówka opadła na dach klubu Castle i wylądowała z pneumatyczną miękkością. Sam klub mieścił się na dole, w obszernej sali, przypominającej kształtem odwróconą do góry nogami połówkę melona. Każdy stół znajdował się na przezroczystej platformie, podnoszonej przez siłownik teleskopowy na dowolną wysokość. Małe służbowe windy umożliwiały kelnerom podawanie napojów. System ten nie miał właściwie żadnego uzasadnienia w funkcjonalności, ale przynajmniej stanowił nowość i tylko bardzo pijący goście spadali ze swoich stołów. Ostatnio ze względów bezpieczeństwa pozawieszano pod platforma-

mi przezroczyste siatki.
Tone'owie, ojciec i syn, siedzieli wysoko, blisko dachu i popijali z dwiema ciziami. Silver zaholowała Galleghera do windy służbowej i uczony zamknął oczy, kiedy śmignęli pod niebo. Alkohol w jego żołądku wrzeszczał na znak protestu. Rzuciło nim do przodu, złapał się wiec łysej głowy Elii Tone'a i upadł na krzesło obok niego. Łapczywym ruchem wymacał szklaneczkę Jimmy'ego i opróżnił ją spiesznie.
- Co jest do diabła - powiedział Jimmy.
- To jest Gallegher - oznajmił Elia. - I Silver. Co za miła niespodzianka. Usiądziecie z nami?
- Tylko towarzysko - odparła Silver.
Gallegher, pokrzepiony już przez alkohol, przyglądał się mężczyznom. Jimmy Tonę był dużym, ogorzałym, przystojnym gburem z wydatną szczęką i bezczelnym uśmiechem. Jego ojciec łączył w sobie najgorsze cechy Nerona i krokodyla.
- Mamy tu małą uroczystość - powiedział Jimmy. - Dlaczego zmieniłaś zdanie? Mówiłaś, że dziś wieczorem pracujesz.
- Gallegher chciał się z wami zobaczyć, nie wiem dlaczego. Zimne oczy Elii zrobiły się jeszcze bardziej lodowate.
- W porządku. No wiec dlaczego?
- Podobno podpisałem z panem jakąś urnowe - powiedział uczony.
- Owszem. Proszę, tu jest fotokopia. Co pan na to?
- Chwileczkę. - Galleeher zaczął przyglądać się dokumentowi. To najwyraźniej był jego podpis. Przeklęty robot!
- To jest podpis podrobiony - powiedział w końcu -Jimmy roześmiał się głośno.
- Rozumiem. Akt gwałtu. Niestety, bracie, jesteś kompletnie zalany. Podpisałeś to w obecności świadków.
- No cóż - rzekł ze smutkiem Gallegher. - Pewnie mi nie uwierzycie jeśli powiem, że robot sfałszował mój podpis...
- Ha! - wykrzyknął Jimmy.
- A przedtem was zahipnotyzował tak, żeście uwierzyli, że to jestem ja.
Elia głaskał się po swojej lśniącej łysinie:
- Szczerze mówiąc, nie. Roboty nie są zdolne do takich rzeczy.
- Mój jest.
- Niech pan udowodni. Niech pan to udowodni w sądzie. O ile pan może oczywiście... - Elia zachichotał. - Wtedy pogadamy. Oczy Galleghera zwęziły się.
- Nie pomyślałem o tym. Ale słyszałem, że zaoferowaliście mi z góry sto tysięcy, nie licząc tygodniowego wynagrodzenia.
- Jasne, głupku - rzekł Jimmy - ale powiedziałeś, że ci dwanaście tysięcy wystarczy. I tyle dostałeś. Pociesze cie jednak: za każdą ł pożyteczną rzecz, jaką zrobisz dla Sonatone, dostaniesz premie Gallegher wstał.
- Nawet moja podświadomość nie znosi tych chamów - zwrócił sie do Silver. - Idziemy - Ja chyba jeszcze zostanę.
- Nie zapomnij o barykadzie - ostrzegał ją Gallegher tajemniczo.
- Ale to twoja sprawa. Ja znikam.
- Pamiętaj, Gallegher, że pracujesz dla nas - powiedział Elia. Jeżeli się dowiemy, że robisz cokolwiek dla Brocka znajdziesz sie w pudle, zanim się obejrzysz.
- Tak?
Tone'owie nie pofatygowali się nawet, żeby mu odpowiedzieć. Gallegher ze smutną miną udał się do windy i zjechał na dół. Co dalej ?Joe

Piętnaście minut później wchodził do swojego laboratorium. Płonęły tam światła i w promieniu kilku przecznic słychać było ujadanie psów. Joe stał przed lustrem podśpiewując bezgłośnie. - Wezmę na ciebie młot kowalski i tak to się skończy zapowiedział Gallegher. - No, możesz już zaczynać modlitwę, ty poroniona kupo szmelcu. Niech mnie diabli, jeśli cie nie rozwalę.
- Proszę bardzo, rozwalaj - zaskrzeczał Joe. - Przekonasz, się, czy mnie to cokolwiek obchodzi. Jesteś po prostu zazdrosny o moją urodę.
- Urodę?
- Nie dostrzegasz jej w pełni, masz tylko sześć zmysłów.
- Pięć.
- Sześć. A ja mam znacznie więcej. Oczywiście, że pełnia mojej piękności jest dostępna tylko dla mnie. Ale widzisz i słyszysz dość, by ją przynajmniej częściowo docenić.
- Skrzypisz jak zardzewiałe zawiasy - burknął Gallegher.
- Jesteś głuchy. A ja mam słuch superwrażliwy. Oczywiście, umyka ci pełne bogactwo tonalne mego głosu. Ale bądź cicho, bo to gadanie mnie tylko rozprasza. Podziwiam teraz ruch moich trybów.
- A żyj sobie w swoim raju kretynie, jak długo możesz. Ale niech ja tylko znajdę młot...
- Proszę bardzo, możesz mnie rozwalić, mnie nie zależy. Gallegher zmęczony opadł na kanapę patrząc na przezroczyste plecy robota.
- Ale mnie załatwiłeś. Po jaką cholerę podpisałeś ten kontrakt z Sonatone?
- Mówiłem ci już. Żeby Kennicott przestał tu przyłazić i zawracać mi głowę.
- Ty egoistyczny durniu... och! Ale mnie zrobiłeś na szaro. Tone'owie mogą egzekwować ode mnie warunki kontraktu co do joty, dopóki nie udowodnię, że go wcale nie podpisałem. Ale dobrze. Musisz mi pomóc. Pójdziesz ze mną do sądu i uruchomisz całą te swoją hipnozę czy co tam jest. Udowodnisz przed sądem, że potrafisz udawać mnie.
- Nie zrobię tego - oświadczył robot. - A dlaczego miałbym to zrobić?
- Boś mnie w to wpakował - warknął Gallegher. - Teraz musisz mnie z tego wyciągnąć!
- A dlaczego?
- Dlaczego, dlatego... oooch... ze zwykłej przyzwoitości!
- Ludzkie wartości nie mają zastosowania u robotów - powiedział Joe.
- Nie obchodzi mnie semantyka. Nie będę tracił czasu, który mógłbym poświecić na podziwianie mojej piękności. Zostanę tu przed lustrem na zawsze...
- A zostań sobie i niech cie wszyscy diabli - warknął Gallegher. Rozwalę cie na atomy.
- Bardzo proszę. Nic mi to nie przeszkadza.
- Nie przeszkadza ci?
- Ty z tym swoim instynktem samozachowawczym - rzekł robot, dość ironicznie. - Ale myślę, że jest ci on niezbędny. Istoty odznaczające się tak niewyobrażalną szpetotą uległyby samozniszczeniu ze zwykłego wstydu, gdyby nie miały czegoś takiego, co by je trzymało przy życiu.
- A gdybym tak zabrał ci to lustro? - rzekł Gallegher beznadziejnym głosem.
W odpowiedzi Joe wystawił swoje oczy na słupkach.
- Czy ty uważasz, że lustro jest mi niezbędne? A poza tym mogę siesensować bardzo korpulentnie.
- Wszystko jedno. Jeszcze przez chwile nie chciałbym zwariować. Posłuchaj, głupku: robot jest od tego, żeby coś robił. To znaczy coś pożytecznego.
- Ja robie. Piękno to wszystko.
Gallegher zacisnął powieki usiłując zebrać myśli.
- Załóżmy, że opracuje dla Brocka nowy system powiększający. To przecież Tone'owie go skonfiskują. Musze móc legalnie pracować dla Brocka, bo w przeciwnym razie...
- Popatrz! - wykrzyknął skrzekliwie Joe. -Jak się obracają. Och, to cudowne! - W ekstatycznym uniesieniu patrzył na swoje wirujące wnętrzności.
Gallegher zbladł z bezsilnej furii.
- Niech cie cholera! - mruknął. -Już ja znajdę na ciebie sposób. Ide spać. - Wstał i mściwie zgasił światło.
- To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia - oświadczył robot.
- Widzę również w ciemności.
Za Gallegherem zatrzasnęły się drzwi. W ciszy Joe zaczął bezdźwięcznie nucić pod nosem.

Lodówka Galleghera zajmowała w kuchni całą ścianę. Była wypełniona głównie alkoholami, które wymagały chłodzenia, łącznie z importowanym piwem w puszkach, od którego uczony zawsze rozpoczynał swoje pijaństwa. Nazajutrz rano, z podpuchniętymi oczyma i w ponurym nastroju Gallegher sięgnął po sok pomarańczowy, łyknął, skrzywił się i spłukał smak żytniówką. Ponieważ już od tygodnia pozostawał w stanie zamroczenia, piwo nie było teraz wskazane - zaprawiał się etapami. Mechaniczny kelner postawił przed nim na stole zapieczętowany zestaw śniadaniowy i Gallegher ponuro zabrał się do krwawego befsztyka. No i?
Sąd był jego ostatnią deską ratunku. Niewiele wiedział na temat psychologii robotów. Ale wierzył, że talenty Joego zrobią wrażenie na sądzie. Wprawdzie przepisy nie zezwalały na to, by roboty występowały w charakterze świadków, jednak jeśli uznać robota za maszynę obdarzoną zdolnościami hipnotycznymi, kontrakt z Sonatone jest nieważny.
Gallegher zadzwonił do Brocka i nadał sprawie bieg. Brock w dalszym ciągu miał pewne wpływy polityczne i przesłuchanie wstępne zostało wyznaczone jeszcze na ten sam dzień. Ale jaki miał być jego wynik - wiedzieli tylko jeden Bóg i robot. Gallegher spędził kilka godzin na jałowych rozmyślaniach. Nie miał pojęcia, jak zmusić Joego do zrobienia tego, na czym mu zależało. Żeby chociaż sobie przypomniał, w jakim celu zbudował robota, ale nic z tego. Jednakże... W południe wszedł do laboratorium.
- Posłuchaj, durniu - powiedział - idziesz ze mną do sądu. I to już.
- Nigdzie nie ide.
- Okay. - Gallegher otworzył drzwi i wpuścił dwóch krzepkich mężczyzn w kombinezonach, z noszami. - Kładźcie go, chłopcy.
W duchu był trochę zdenerwowany. Zdolności Joego były zupełnie nieznane, a różnorodność jego możliwości przedstawiała wartość x. Robot nie był jednak specjalnie duży, wiec chociaż wyrywał się i

wrzeszczał histerycznie zgrzytliwym głosem, bez trudu załadowali go na nosze i ubrali w kaftan bezpieczeństwa.
- Przestańcie! Nie możecie mi tego robić! Puśćcie mnie, słyszycie? Puśćcie mnie!
- Jak wyjdziemy - obiecał mu Gallegher.
Walczący dzielnie Joe został wyniesiony i załadowany do powietrznej taksówki bagażowej. Gdy się znalazł w wozie uspokoił się i patrzył tępo w przestrzeń. Gallegher usiadł na ławce koło rozciągniętego na noszach robota. Taksówka wzniosła się w górę.
- No i co?
- Twoja sprawa - odparł Joe. - Gdybyś mnie tak nie rozzłościł, to bym was wszystkich zahipnotyzował. Zresztą w dalszym ciągu mogę to zrobić. Mogę zrobić tak, że będziecie biegali i szczekali jak psy.
Gallegher skrzywił się nieznacznie.
- Lepiej nie.
- Nie bój się. To byłoby poniżej mojej godności. Bede po prostu leżał i podziwiał siebie-. Mówiłem ci już, że lustro jest mi w tym celu niepotrzebne. Mogę sensować moje piękno i bez tego.
- Posłuchaj - rzekł Gallegher. - Jedziemy do sądu. Tam będzie dużo ludzi. Wszyscy będą cie podziwiali. A podziwialiby cie jeszcze bardziej, gdybyś im zademonstrował swoje zdolności hipnotyczne. Tak jak to zrobiłeś z Tone'ami, pamiętasz?
- A co mnie to obchodzi, ile ludzi mnie podziwia? - odparł Joe. Nie potrzebuje żadnego potwierdzenia. Jak mnie zobaczą, to po prostu ich szczęście. A teraz bądź cicho. Jeśli chcesz to możesz sobie popatrzeć na moje tryby.
Gallegher obserwował tryby robota z ogniem nienawiści w oczach. Był w dalszym ciągu wściekły, kiedy taksówka podjechała pod gmach sądu. Mężczyźni, pod jego okiem, wnieśli Joego do środka i ostrożnie położyli na stole, gdzie po krótkiej dyskusji został oznaczony jako dowód rzeczowy A.

Sala sądowa była wypełniona po brzegi. Zjawiły się także strony - nieprzyjemnie pewni siebie Elia i Jimmy Tone'owie i wyraźnie niespokojni Patsy Brock z ojcem. Silver 0'Keefe, ostrożna jak zwykle, usadowiła się mniej więcej pośrodku pomiędzy przedstawicielami Sonatone i Vox-View. Przewodniczącym sądu był służbista, który nazywał sie Hansen, ale o ile Gallegher wiedział był on uczciwy. A to już było coś. Hansen spojrzał na Galleghera.
- Darujemy sobie formalności wstępne. Zapoznałem się z pańskim pismem. Cała sprawa polega zdaje się na tym czy pan podpisał, czy nie podpisał pewnego kontraktu z Telewizyjnym Towarzystwem Rozrywkowym Sonatone, tak?
- Tak jest, Wysoki Sądzie.
- A zatem technicznie jest to ex officio do potwierdzenia w drodze apelacji, gdyby któraś ze stron sobie tego życzyła. W przeciwnym razie po upływie dziesięciu dni wyrok staje się prawomocny. - Ten nowy typ wstępnego przesłuchania sądowego stał sie ostatnimi czasy dość popularny - oszczędzał czasu i pozwalał uniknąć szarpaniny. Ponadto niektóre z ostatnich skandali wpłynęły niekorzystnie na reputacje adwokatów. Ludzie byli uprzedzeni.
Sędzia Hansen wywołał Tone'ów, przesłuchał, a następnie poprosił Harrisona Brocka o zajęcie miejsca na podium dla świadków. Magnat telewizyjny robił wrażenie zatroskanego, ale odpowiadał sprawnie i szybko.
- Czy zawarł pan osiem dni temu urnowe z apelującym?
- Tak. Pan Gallegher zobowiązał się do wykonania dla mnie pewnej pracy...
- Czy spisaliście, panowie, urnowe?
- Nie. Umowa była ustna.
Hansen z namysłem spojrzał na Galleghera.
- Czy w tym czasie apelujący był nietrzeźwy? Bo, zdaje się, często bywa?
Brock przełknął.
- Nie robiliśmy żadnych prób. Trudno powiedzieć.
- A czy w pana obecności pił jakiekolwiek napoje alkoholowe?
- Nie wiem, czy to były napoje alkohol...
- Skoro pan Gallegher je pił, to znaczy, że były. Co było do dowiedzenia. Zetknąłem się z tym panem kiedyś przy okazji pewnej sprawy... Nie ma jednak żadnego ważnego dowodu na to, że łączyła pana jakakolwiek umowa z panem Galleghereme. Oskarżony, Sonatone, jest w posiadaniu umowy sporządzonej na piśmie. Autentyczność podpisu została stwierdzona.
Hansen dał Brockowi znak, że może opuścić podium.
- A teraz poprosimy pana Galleghera. Pan zechce zająć tu miejsce. Kontrakt, o którym mowa, został podpisany wczoraj wieczorem mniej więcej o godzinie ósmej. A pan utrzymuje że pan go nie podpisywał, tak?
- Właśnie. Nawet nie było mnie wtedy w laboratorium.
- A gdzie pan był?
- W śródmieściu.
- Czy może pan przedstawić na to świadka? Gallegher zastanowił się. Nie mógł.
- Dobrze. Oskarżony utrzymuje, że wczoraj około ósmej wieczorem podpisał pan pewien kontrakt. Pan kategorycznie temu zaprzecza. Twierdząc, że dowód rzeczowy A, dysponując zdolnościami hipnotycznymi, podał się za pana i z powodzeniem sfałszował pański podpis. Zasięgałem opinii ekspertów, którzy utrzymują, że roboty nie mają takich możliwości.
- Ale to jest robot nowego typu.
- W porządku. Niech zatem pański robot zahipnotyzuje mnie tak, bym uwierzył, że jest albo panem, albo w ogóle jakąkolwiek istotą ludzką. Innymi słowy, niech zademonstruje swoje zdolności - przedstawiając mi się w dowolnej postaci.
Gallegher powiedział „spróbuje" i opuścił podium dla świadków. Podszedł do stołu, na którym leżał robot w kaftanie bezpieczeństwa i odmówił w myśli krótką modlitwę.
- Joe.
- Tak?
- Słyszałeś?
- Tak.
- Czy zahipnotyzujesz sędziego Hansena?
- Wynoś się - warknął Joe. - Jestem zajęty podziwianiem siebie.
Na Galleghera uderzyły siódme poty.
- Posłuchaj, nie chce od ciebie wiele. Wystarczy, że tylko...
Joe przeniósł wzrok na Galleghera i odezwał się słabym głosem:
- Ja cie nie słyszę. Ja sensuję
W dziesięć minut później sędzia Hansen powiedział:
- No cóż, panie Gallegher...
- Wysoki Sądzie! Proszę mi dać trochę czasu. Jeśli tylko Wysoki Sąd da mi szanse, jestem przekonany, że ten rozklekotany Narcyz dowiedzie mojej racji.
- Sąd jest sprawiedliwy - podkreślił sędzia. - W każdej chwili, kiedy pan zdoła udowodnić, że dowód rzeczowy A posiada zdolności hipnotyczne, wrócimy do sprawy. A tymczasem kontrakt ma moc obowiązującą. Pracuje pan dla Sonatone, a nie dla VoxView. Rozprawa zakończona.

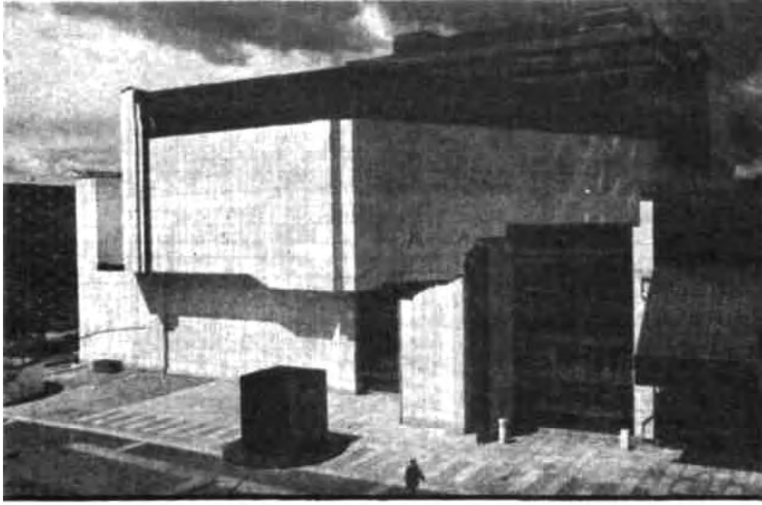
Godzinę później Gallegher leżał rozciągnięty na kanapie w laboratorium zachłannie popijając whisky. Łypał spodnie łba na robotą który stał przed lustrem, podśpiewując zgrzytliwie. Zapowiadało się monumentalne pijaństwo. Gallegher nie był pewien, jak to wytrzyma, jednak zdecydował się nie przestawać, aż znajdzie odpowiedź albo aż urwie się mu film.
Jego podświadomość znała te odpowiedź. Przede wszystkim: dlaczego do diabła ciężkiego zbudował tego robota? W każdym razie nie z powodu kompleksu Narcyza! Gdzieś w alkoholowych głębinach tkwiła ukryta przyczyna, oczywista w swej logiczności. Czynnik X. Gdyby czynnik X był znany, mógłby mieć władze nad Joem. Miałby ją. X stanowiło jak gdyby główny wyłącznik. Dotychczas robot był, jakby to można określić, puszczony na żywioł. Gdyby mu polecić wykonanie zadania, do którego został stworzony, osiągnąłby równowagę psychiczną. X to katalizator, który przywróci Joemu zdrowy rozsądek.
Bardzo dobrze. Gallegher pił teraz mocne Drambuie. Brrrr! Marność nad marnościami i wszystko marność. Ale jak tu znaleźć X? W drodze dedukcji? Osmozy? Kąpieli w Drambuie? - Gallegher usiłował okiełznać rozszalałe myśli. Co się stało tamtego wieczoru tydzień temu?
Pił piwo. Przyszedł Brock. Wyszedł Brock. Gallegher zaczął budować robota... hmmm. Stan upojenia alkoholowego piwem różni sie od wszystkich innych stanów upojenia. Może pił nie to, co trzeba? Bardzo możliwe. Wstał, otrzeźwił się zażywając tiamine i zaczął wyjmować z lodówki dziesiątki puszek importowanego piwa. Wstawił je do chłodziarki stojącej przy kanapie. Piwo strzyknęło aż do sufitu, kiedy je zaatakował otwieraczem. A teraz zobaczymy.
Czynnik X. Robot oczywiście wie, czym jest, ale przecież nie powie. Stał oto, idiotycznie przezroczysty i patrzył jak się obracają jego tryby. -Joe.
- Nie przeszkadzaj mi. Jestem pogrążony w kontemplacji piękna.
- Wcale nie jesteś piękny.
- Jestem. Czy nie podziwiasz mojego tarzeelu?
- A co takiego jest ten tarzeel?
- Och, zapomniałem - odparł Joe z żalem. - Nie czujesz go, co? Mówiąc szczerze, sam dodałem tarzeel, jak już mnie skończyłeś. Jest wspaniały.
- Hmmm - liczba pustych puszek po piwie rosła. Istniała już tylko jedna firma, gdzieś w Europie, która produkowała piwo w puszkach, zamiast używać wszechobecne plastykowe butelki. Gallegher wolał puszki - piwo puszkowane miało zupełnie inny smak. Ale co z tym Joem? Joe wiedział, po co został stworzony. Zaraz... czy rzeczywiście wiedział? Gallegher też wiedział, tylko, że jego podświadomość...-
Och! Ale co z podświadomością Joego?
Czy w ogóle robot ma podświadomość? W każdym razie ma mozg...
Gallegher zadumał się nad niemożliwością zaaplikowania Joemu sko-

polaminy. Do diabła. Jak wyzwolić podświadomość robota? Hipnoza.
Ale Joego nie sposób zahipnotyzować. Jest za bystry. Chyba że... Autohipnoza?
Gallegher pospiesznie wyjął jeszcze jedno piwo. Zaczynał odzyskiwać jasność myślenia. Czy Joe widzi przyszłość? Nie. Jest wyposażony w różne dziwne zmysły, które jednak działają na zasadzie sztywnych praw logiki i rachunku prawdopodobieństwa. Co więcej - Joe miał swoją pietę achillesową w postaci kompleksu Narcyza.
Zaraz... zaraz... może znajdzie się sposób. Gallegher powiedział:
- Dla mnie wcale nie jesteś ładny, Joe.
- A co mnie obchodzi twoje zdanie na ten temat? Jestem piękny i widzę to. To mi wystarczy.
- Tak. Moje zmysły są ograniczone, jak sądzę. Nie jestem w stanie w pełni docenić twoich możliwości. Ale i tak zobaczyłem cie teraz w innym świetle. Jestem pijany. Moja podświadomość zaczyna się wyzwalać. Mogę oceniać zarówno moją świadomością, jak i podświadomością. Rozumiesz?
- To masz szczęście - wyraził swoją aprobatę robot. Gallegher zamknął oczy.
- Ty widzisz siebie pełniej niż ja ciebie. Ale i tak niekompletnie, prawda?
- Jak to? Ja widzę siebie takim, jakim jestem.
- I potrafisz całkowicie zrozumieć i ocenić siebie?
- No, naturalnie - odparł Joe. - Oczywiście. A czyż nie?
- Świadomie i podświadomie? Twoja podświadomość może mieć inne zmysły. Może ostrzejsze. Wiem, że w moich ocenach jest różnica zarówno ilościowa, jak i jakościowa, kiedy jestem pijany, zahipnotyzowany, czy kiedy w jakiś inny sposób panuje nad swoją podświadomością.
- Och. - Robot w zamyśleniu patrzył w lustro. - Och...
- Szkoda, że nie możesz się upić.
Głos Joego zabrzmiał jeszcze bardziej zgrzytliwie niż zwykle.
- Moja podświadomość... nigdy tak nie podziwiałem swojej piękności. Może coś w ten sposób tracę.
- Nie ma co sobie zawracać tym głowy - powiedział Gallegher. - I tak nie możesz wyzwolić swojej podświadomości.
- Owszem, mogę - odparł robot. - Mogę się zahipnotyzować. Gallegher nie miał odwagi otworzyć oczu.
- Naprawdę? Skutecznie?
- Oczywiście. Właśnie zamierzam to zrobić. Może dostrzegę w sobie niewyobrażalne piękno, jakiego dotychczas nawet nie podejrzewałem. Ku większej chwale, no zaczynam.
Joe wysunął oczy na słupkach, ustawił jedno naprzeciwko drugiego i zaczął się intensywnie jednym w drugie wpatrywać. Zaległo długie milczenie. Nagle Gallegher powiedział: -Joe! Cisza. -Joe! Dalej cisza. Zaczęły wyć psy.
- Mow tak, żebym mógł cie słyszeć.
- Dobrze - odparł Joe, a w jego zgrzytliwym glosie pojawiła sie jakaś odległa nuta.
- Czy jesteś zahipnotyzowany?
- Tak.
- Czy jesteś uroczy?
- Bardziej, niż kiedykolwiek mogłem marzyć. Gallegher puścił to mimo uszu.
- Czy twoja podświadomość ma nad tobą władze?
- Tak.
- Po co cie stworzyłem?
Brak odpowiedzi. Gallegher oblizał usta i spróbował jeszcze raz.
Brak odpowiedzi.
- Zastanów się. Wróć myślą do chwili, w której cie zbudowałem. Co się wtedy wydarzyło?
- Piłeś piwo - rzekł Joe słabym głosem - Miałeś kłopoty z otwieraczem do puszek. Powiedziałeś, że zrobisz większy i lepszy. 1 to właśnie jestem ja.
- Co takiego?
Robot odszedł do niego, wziął jedną z puszek i otworzył z niewiarygodną wprost zręcznością. Nie trysnęła ani kropla piwa. Joe był idealnym otwieraczem do puszek.
- Takie są skutki - mruknął Gallegher pod nosem - jak się zna naukę ze słyszenia. Zbudowałem najbardziej skomplikowanego jak dotąd robota... - nie dokończył.
Joe drgnął budząc się z transu.
- Co się stało? - zapytał. Gallegher spojrzał na niego spode łba.
- Otwórz te puszkę! - warknął.
- Aha, wiec już na to wpadłeś. No cóż, od tej chwili jestem twoim niewolnikiem.
- Trafiłeś w dziesiątkę. Znalazłem katalizator. Główny wyłącznik. Mam cie teraz w garści, ty głupcze. Będziesz musiał robić to, do czego zostałeś stworzony.
- No cóż - rzekł Joe z filozoficznym spokojem - przynajmniej będę mógł podziwiać swoje piękno wtedy, kiedy nie będziesz potrzebował moich usług.
- Ty przerośnięty otwieraczu do puszek! - mruknął Gallegher. Posłuchaj: powiedzmy, że wezmę cie do sądu i każe ci zahipnotyzować sędziego Hansena. Będziesz musiał to zrobić , prawda?
- Tak, już nie jestem wolnym strzelcem. Jestem zaprogramowany. Zaprogramowany do tego, żeby cie słuchać. Do tej pory byłem zaprogramowany tylko w jednym kierunku: żeby robić to do czego zostałem stworzony. Wiec dopóki nie kazałeś mi otwierać puszek, byłem wolny. Teraz winien ci jestem całkowite posłuszeństwo.
- Mhm - mruknął Gallegher. - Dzięki Bogu. Gdyby nie to, to w ciągu tygodnia bym chyba zwariował. Przynajmniej mogę sie jakoś wyplątać z kontraktu z Sonatone. A potem pozostanie mi już tylko rozwiązanie problemu Brocka.
- Ale przecież go już rozwiązałeś - powiedział Joe. -Ja?
- W tym momencie kiedy mnie zbudowałeś. Z Brockiem rozmawiałeś wcześniej i rozwiązanie jego problemu zawarłeś we mnie. Być może podświadomie.
Gallegher sięgnął po piwo.
- Mów szybko. Jakie jest to rozwiązanie?
- Poddźwięki - odparł Joe. - Wyposażyłeś mnie w pewien sygnał poddźwiękowy, który Brock musi nadawać w nieregularnych odstępach podczas swoich programów telewizyjnych. Poddźwięków się nie słyszy, ale się je czuje. Początkowo jako lekki niepokój, który się stopniowo nasila przybierając w końcu postać ślepej, bezsensownej paniki. Ten stan nie trwa długo, ale kiedy sie na niego nałoży O.Z. - oddziaływanie zbiorowe...

Ci, którzy korzystali z domowych telewizorów VoxView, na ogół nie mieli kłopotów. Była to sprawa akustyki. Koty miauczały, psy wyły ponuro. Ale ludzie siedzący w salonach i podziwiający produkcje Vox-View nie zdawali sobie sprawy, że coś jest nie tak. Przede wszystkim nie było wystarczającego wzmocnienia. Ale w dzikich kinach, gdzie do nielegalnych telewizorów Vox-View zastosowano system Magna... na początku dał się odczuć lekki, niezrozumiały niepokój. Ten niepokój wzrastał. Ktoś krzyknął. Tłum rzucił się do drzwi. Publiczność czegoś się bała, ale nikt nie wiedział, czego. Ludzie wiedzieli jedynie, że muszą się stamtąd wydostać.
W przeciągu kilku tygodni pies z kulawą nogą nie zajrzał do dzikiego kina. Domowe telewizory okazały się znacznie bezpieczniejsze! Akcje Vox-View wzrosły niesłychanie... Nie tylko nikt nie chciał chodzić do dzikich kin, ale ludzie unikali również i zalegalizowanych kin Sonatone. Zaczął działać odruch warunkowy. W przeciągu czterech miesięcy dzikie kina przestały istnieć, a wytworne kina Sonatone zostały pozamykane z braku publiczności. Tone'owie, ojciec i syn, nie byli specjalnie szczęśliwi. Odwrotnie niż wszyscy w jakikolwiek sposób związani z VoxView.
Wszyscy z wyjątkiem Galleghera. Otrzymał od Brocka czek na zawrotną sumę i natychmiast zatelegrafował do Europy, by mu przysłano niewiarygodne ilości puszkowanego piwa. Obecnie, rozpamiętując swoje troski, leżał w laboratorium na kanapie i wstrzykiwał sobie do ust whisky z wodą. Joe, stał jak zwykle przed lustrem i podziwiał obracające się w nim kółka.
- Joe - powiedział Gallegher.
- Tak? Czy mogę coś dla ciebie zrobić?
- Och, nie. - I na tym właśnie polegał kłopot. Gallegher wyłowił z kieszeni zgnieciony świstek i ponuro jeszcze raz odczytał treść telegramu. Producent piwa postanowił dokonać pewnych zmian. Od tej chwili, informował telegram, spełniając życzenia klientów i szanując powszechnie panujący obyczaj będzie sprzedawał piwo w normalnych bańkach plastykowych. Koniec z puszkami.
W naszych czasach już nic się nie puszkuje. A od teraz nawet i piwa.
Co wiec za pożytek z robota, który został zbudowany i zaprogramowany do tego, żeby być otwieraczem do puszek? Gallegher westchnął i przygotował sobie następną whisky z wodą, tym razem prawie bez wody. Joe dumnie pozował przed lustrem.
W pewnym momencie wypuścił oczy na słupkach , ustawił je naprzeciwko siebie i w drodze autohipnozy szybko uwolnił swoją podświadomość. W ten sposób podziwiać mógł się lepiej. Gallegher znów westchnął. Dokoła w promieniu kilku przecznic rozszczekały się psy.
No cóż.
Wypił jeszcze jednego drinka i poczuł się lepiej. Czas najwyższy, pomyślał, zaśpiewać „Frankie i Johnnie". A może by tak stworzyli z Joem duet - jeden baryton i jeden niesłyszalny nad-czy poddźwięk. Idealna harmonia.
W dziesięć minut później Gallegher śpiewał w duecie ze swoim otwieraczem do puszek.

Przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 9/83



W labiryntach Domu Cankariewa

Andrzej Wójcik

występy baletowe przygotowane przez delegację Węgier. Słowem - zwyczajny kongresowy młyn. Młyn, w którym kręciło się około 2 500 Osób! Tak, tak! Gości tych z pewnością byłoby więcej, gdyby organizatorzy na tydzień przed rozpoczęciem spotkania nie zaprzestali sprzedaży kart wstępu. I to kart wcale nie takich tanich.



Europeiskie Kongresy Science Fiction odbywały się w najróżniejszych miejscach w szkole technicznej, w miasteczku akademickim, w turystycznym schronisku, w gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej. Toteż gdy delegacja Jugosławii zaproponowała, by ósmy kongres odbył się w nowo otwartym Domu Kultury imienia Cankariewa w Lublanie nikt specjalnie nie zwrócił uwagi na lokalizację miejsca imprezy. Wręcz przeciwnie - w gronie Komitetu Europejskiego rozgorzała dyskusja, czy wobec olbrzymiej imprezy przygotowywanej przez Anglię w 1984 roku ma sens nadawanie „jakiemuś peryferyjnemu festiwalowi" rangi Euroconu. Jeszcze na przełomie lutego i marca 1983 r. decyzja nie została definitywnie podjęta. Trwały przetargi. Ale napływające z Jugosławii informacje o przygotowaniach i wizyty członków Komitetu Europejskiego w Lublanie przekonały wszystkich. Hotel, restauracje, bary, dom towarowy, dwa kina i kilkanaście pięknych sal przeznaczono na spotkanie. W maju zapadła ostatecznie decyzja by lublańskiemu festiwalowi „Fantazjia" przyznać rangę Kongresu Europejskiego. Gospodarze spisali się na medal. I z pewnością byłby to najlepiej zorganizowany i najlepszy z wszystkich dotychczasowych kongresów, gdyby nie bezustanny, prześladujący organizatorów pech. Najpierw zostali zmuszeni do przesunięcia terminu imprezy. I to nie jak zazwyczaj na termin późniejszy, lecz na wcześniejszy, pokrywający się z terminem odbywającej się w USA konwencji światowej. Wyeliminowało to z uczestnictwa w imprezie pisarzy z Anglii, ZSRR i Skandynawii, którzy zostali zaproszeni w charakterze gości przez organizatorów konwencji amerykańskiej. Później światek SF obiegły wiadomości o dwóch wypadkach samochodowych, które unieruchomiły koordynatora Komitetu Europejskiego Pierre'a Barbeta i wielokrotnego laureata Europejskich Konwencji, przedstawiciela największego branżowego wydawnictwa - Wolfganga Jeschkego. I jakby nie dość tych przykrych przypadków, z uczestnictwa w imprezie wycofała się ze względu na wprowadzone ograniczenia dewizowe delegacja francuska z sekretarzem generalnym ESSF dla krajów Europy Zachodniej Jeanem-Paulem Cronimusem na czele.

Sympatyczni działacze ruchu SF z Lubiany nie załamali jednak rąk. Cankariew Dom witał gości przybywających ze wszystkich stron Jugosławii i z 11 krajów Europy w pełnej gali. Trzy kondygnacje olbrzymiego gmachu na czas trwania spotkania zostały opanowane przez SF. W dwóch kinach non stop wyświetlano dwa zestawy filmów: tych najnowszych i tych najstarszych - jednych i drugich w żadnym wypadku nie można by obejrzeć poza przeglądem. Luki w programie kin wypełniały pokazy z magnetowidów. Przeglądy filmów towarzyszą wszystkim niemal kongresom. Ale jugosłowiański pokonał zdecydowanie wszystkie dotychczasowe. Czterdzieści jeden pełnometrażowych filmów w przeciągu trzech dni tego nawet nie sposób obejrzeć. W podziemiach spora wystawa książek i wydawnictw SF - od amatorskich fanzinów po prezentacje specjalistycznych serii wydawniczych. Szczególnie imponująco przedstawiała się w tym gronie ekspozycja KAW, która obok wystawianych książek, zeszytów i komiksów zapewniła (jako jedyne wydawnictwo) zwiedzającym drukowane po serbochorwacku foldery, informujące o działalności wydawnictwa. Tłumnie była również oblegana, mimo że skromna ilościowo, ekspozycja „Fantastyki". Nic też dziwnego, że obie te instytucje znalazły się na liście nominatów do europejskich nagród.

Na parterze duża wystawa malarstwa i grafiki SF. Ciekawe collage z Włoch, kilka interesujących obrazów, sporo grafiki. Zwiedzaliśmy tę ekspozycję z żalem. Prace Janusza Giniewskiego i Ryśka Wojtyńskiego z pewnością nie pozostałyby w tym gronie nie zauważone. W pozostałych salach - spektakle teatralne, spotkania autorskie, promocje książek, występy muzyczne, gry elektroniczne, a nawet

Sama przyjemność obejrzenia filmów kosztowała bowiem 20 dolarów. Nic też dziwnego, że po wejściu do kompleksu domu Cankariewa nikomu nawet nie przychodziło do głowy wyściubienie nosa na zewnątrz. Toteż przez przypadek jedynie dowiedzieliśmy się, że i tej konwencji towarzyszył plusk padającego na zewnątrz deszczu. Oczywiście, wszystkie te imprezy to jedynie otoczka towarzysząca spotkaniu przedstawicieli ruchu i profesjonalistów SF z całej Europy. Trochę przetrzebiony przez zbieg okoliczności, ale pełen inicjatyw Komitet Europejski odbył dwa posiedzenia. Rozpatrzone zostały na nich sprawy organizacyjne ESSF i przyznane doroczne nagrody. Przyjęto nowych członków - ruch klubowy z CSRS i Bułgarii, ustalono zasady działania w nadchodzącym roku. Rozpatrzono również i zaakceptowano propozycję przyjęcia do Stowarzyszenia w charakterze obserwatora Kuby. Szczególnie burzliwe było posiedzenie dotyczące nagród. W pięciu kategoriach o nagrody ubiegały się wydawnictwa, pisma profesjonalne, pisma amatorskie, pisarze i najlepsze utwory ubiegłego roku. Wyniki głosowania podaliśmy w numerze październikowym. Czas pędził jak szalony i ani obejrzeliśmy się, jak trzeba było żegnać przesympatycznych gospodarzy i zbierać się do domu. A po drodze w Wiedniu jeszcze robocze spotkania z Franzem Rottensteinerem na temat pozyskiwania praw autorskich dla „Fantastyki" i wydawnictw oraz ze Stanisławem Lemem, który przebywa tam z wykładami. Przez pięć dni próbowaliśmy dogonić czas. I jak zwykle bez powodzenia. Dziesiątki rozmów, spotkań, wymiana książek, materiałów, videokaset, pozyskiwanie zgody autorów na polskie przekłady. Wymiana adresów i informacji. Zmęczeni i przytłoczeni nieco wielkością imprezy przywieźliśmy materiały dla Was i wspomnienia dla siebie. A za rok - za rok spotkanie w Brighton, na które organizatorzy zapraszają podobno 4000 osób na trzy dni!

Colin KAPP

Formy Chaosu

(The Patterns of Chaos)

przełożył Tadeusz Markowski

Colin KAPP

urodził się w 1929 roku. Z zawodu jest technikiem elektronikiem i na co dzień pracuje w instytucie prowadzącym badania związane z rozwojem techniki. Jako autor SF zadebiutował w 1958 roku na łamach magazynu „New Worlds”. Swój pierwszy, niezbyt zresztą udany utwór „The TransGnite Man” opublikował w 1963 roku i zniechęcony brakiem powodzenia na dłuższy czas przestał zajmować się pisaniem. Dopiero w 1973 roku ukazała się drukiem powieść „Formy Chaosu” (The Patterns of Chaos). Długa przerwa w pisaniu okazała się zbawcza. „Formy Chaosu” zdobyły znaczny rozgłos, zaś autorowi przyniosły uznanie i pieniądze niezbędne do kontynuowania pracy pisarskiej. Zachęcony sukcesem („Formy Chaosu” przełożono na wiele jeżyków, m.in. niemiecki, francuski i włoski) Kapp w krótkim czasie opublikował kilka powieści, spośród których największy rozgłos zdobyły „The Survival Gamę” (1976), The Chaos Weapon” (1977), „The Wizard of Anharitte” (1973) i „The Dark Mind”.

Rozdział I

Tysiące miedzianych promieni ciśnieniowych rozrywały noc żądląc teren pod monstrualnym kadłubem, wiszącego nad centrum miasta statku. Zielone i fioletowe promienie Yagi wgryzały się w budynki, a nieprzerwanie stukoczące działa laserowe wzniecały tysiące pożarów. Miasto Ashur na planecie Onaris, unicestwiane dzikim atakiem, przygotowywało się do kapitulacji. Dalsza obrona byłaby samobójstwem. Nawet poddanie się nie gwarantowało przeżycia.

„Zaczęło się to chyba szeptem w ogromie śnieżnej białości; chorobliwą skargą złamanego ciała, usypianego mrozem i krzyczącego nieśmiałą skargę ulotnemu wiatrowi.

Nie wiesz, że Bóg umiera?”

Wśród niewyraźnych cieni, snujących się wzdłuż popękanego muru, leżał młody mężczyzna. Był ledwie świadom koszmaru, który narastał wokół niego. W najgłębszych zakamarkach jego mózgu toczyła się. równie desperacka walka. Jej stawką były resztki rozsądku.

„Być może w ohydnych ciemnicach jakiejś nieludzkiej inkwizycji, czyjś umysł oszalał; nie przez tortury czy słabość ducha, ale pod wpływem o wiele głębszej rany...

Nie wiesz, że Bóg umiera?... umiera?...”

Mężczyzna podniósł się z jękiem i usiadł, trzymając się za głowę. Zielony promień Yagi trafił w stojący opodal budynek, który rozpadł się, sypiąc wokół deszczem cegieł. Mężczyzna upadł na ziemie, niezdolny do ucieczki.

„Być może jakiś okaleczony męczennik wyprostował się na swoim krzyżu, by podnieść głowę i wykrzyczeć w niebo:

Panie! Czemu mnie opuściłeś?

I nigdy nie usłyszał odpowiedzi. Była to zdrada najwyższa: niepokalane bluźnierstwo...

Czyż nigdy ci nie mówiono?

Podobno Bóg umarł.”

Mężczyźnie udało się podnieść na nogi. Powoli, po omacku, posuwał się miedzy gruzami. Niepewne kroki doprowadziły go w pobliże zielonego słupa promienia Yagi, ale instynkt kazał mu go ominąć. Gwałtownie uderzył w popękany mur i znowu bezwładnie upadł w cieniu zrujnowanych drzwi. Czoło miał zakrwawione.

„Bron! Bron! Proszę cie. Czemu się nie odzywasz?”

Nie odpowiadał. Krew spływała mu po skroniach, zostawiając na wargach słony smak. Wkrótce ból wyrwał go z apatii i zaczął sobie zdawać sprawę z tego, co się wokół niego działo. Przez przymknięte powieki oglądał z przerażeniem rujnowane miasto.

„Bron! Błagam cie, odezwij się!”

Promienie Yagi skupiły się nagle na jakimś arsenale i całe niebo zajaśniało oślepiającą zielenią. Huk wybuchu odbił się echem wśród ruin i mężczyzna, ulegając wreszcie instynktowi, skoczył do przodu, sekundę przedtem nim zwalił się mur, pod którym siedział.

„Bron! Odbierasz mnie? Bron!”

- Odbieram - odezwał się w końcu.

Zatrzymał się na środku placu i walczył z nadchodzącym kryzysem nerwowym, usiłując mówić głośno i wyraźnie.

- Odbieram, ale nie widzę!

- „Boże! Żartujesz? Trzeba było sześciu lat pracy i ćwierci budżetu Komanda, żeby cie tu umieścić... a ty bawisz się w amnezje? Bron! Zgrywasz się?”
- Nigdy nie byłem mniej skłonny do żartów. Jestem chory... Kim jesteś?... Tworem wyobraźni... „Spokojnie. Pierwsza fala musiała cie wpędzić w szok. Sądząc po głosie, musisz być w złej formie.
Musiałem użyć wyzwalacza semantycznego, żeby wyciągnąć cie z tej śpiączki. Naprawdę nic sobie nie przypominasz?!
- Niczego, nie wiem kim, ani gdzie jestem. Mam wrażenie, że mówisz wewnątrz mojej głowy. Czy to halucynacja?
- „Wprost przeciwnie. To wszystko ma racjonalne wytłumaczenie. Po prostu masz kłopoty z pamięcią”.
- Gdzie jestem?
„Miasto Ashur na planecie Onaris. W pełni ataku Niszczycieli”.
- A ty mnie słyszysz? W jaki sposób? Gdzie jesteś?
„To coraz poważniejsze! Nie mamy czasu na wyjaśnienia. Musisz przede wszystkim opuścić to miejsce, znaleźć schronienie i odpocząć. Porozmawiamy później, jeżeli nie wróci ci pamięć. Na razie musisz wierzyć na słowo”.
- A jeżeli nie?
„Nie prowokuj mnie. Stawka jest zbyt wysoka. Jeżeli przypomniałbyś sobie powód twojej obecności na tej planecie i naszą obecność, to nie zadawałbyś takich pytań. Nie zmuszaj mnie do demonstracji siły”.
Przez kilka sekund Bron trzymał się rękoma za głowę. Później opanował się.
- Dobrze. Chce wam wierzyć. Na razie. Co mam zrobić?
„Oddal się od śródmieścia. Na peryferiach zniszczenia są mniejsze. Prosto przed tobą, po drugiej stronie placu jest przejście. Idź tam, dopóki nie powiem, byś skręcił. Nie opuszczam cie”.
Bron wykonał polecenie, wzruszając z rezygnacją ramionami. Był teraz” w pełni świadom niszczącego huraganu, który uderzał z nieba. Olbrzymi statek najwyraźniej szykował się do lądowania i przygotowywał sobie pole stabilizujące, eliminując jednocześnie wszelki opór. Wydawało się, że ludność uciekła, co by oznaczało, że została uprzedzona o ataku. Od wschodu dobiegły go odgłosy lądowania innego krążownika kosmicznego. Rozwój operacji odpowiadał jakiemuś planowi, co pobudziło w jego umyśle mgliste wspomnienie, które jednak zaraz prysnęło.
Ostrożnie okrążał plac, dziwiąc się własnemu instynktowi, zmuszającemu do przeskakiwania pod morderczym ogniem promieni Yag od kryjówki do kryjówki. Znalazł się wreszcie w miejscu, w którym znajdowała się kiedyś najpiękniejsza aleja Ashur. Teraz były tam tylko ruiny i dymiące zgliszcza.
- Hej tam, w mojej głowie. Słyszycie mnie? „Nigdy nie przestaliśmy cie odbierać”
- Jak to?
„Wszczepiono ci w mózg przekaźnik biotroniczny. Gdziekolwiek byś był, zawsze możemy cie słuchać i rozmawiać z tobą”. Bron zastanawiał się przez chwile, po czym zapytał:
- Kim jesteście?
„Twoimi kolegami. Jestem doktor Veeder. Nic ci to nie mówi?”
- Nie.
„To minie. Przypomnisz sobie mnie, a także Jaycee i Ananiasa. Będziemy zawsze twoimi niewidzialnymi towarzyszami, jak w przeszłości. Należymy przecież do tego samego zespołu”.
- Jakiego zespołu?
„Oddział Zadań Specjalnych Komanda Gwiezdnego”.
- Wiem, że należę do jakiegoś Komanda... ale nie tutaj. Na Ziemi. Tak, przypominam sobie. Delhi i Europa... Ale od odjazdu z Europy niczego nie pamiętam.
„To symptomatyczne Bron. Właśnie po odlocie z Europy wstąpiłeś do oddziałów specjalnych. Nie dziwie się, że twoja podświadomość wybrała właśnie ten moment... Uwaga!”
Ostrzeżenie zbiegło się idealnie z jego refleksem. Rzucił się w bok, a promień Yagi trafił w jezdnie zaledwie parę centymetrów przed nim. Podmuch odrzucił go jeszcze dalej, ale podniósł się prawie natychmiast. Był poobijany, jednak na pierwszy rzut oka, nietknięty. Promień znowu uderzył, tnąc na idealne połówki dotychczas nie zniszczoną kolumnę.
- Hej! Jesteście tam?
„Co jest, Bron? Jesteś ranny?”
- Widzieliście zbliżający się promień... Jak?
„Widziałem. Chciałem ci to wyjaśnić spokojnie, żeby uniknąć zbyt dużego wstrząsu”.
- Przestańcie bajdurzyć. A ja? Mnie też widzicie?
„Nie widzę cie naprawdę... Właściwie widzę przez twoje oczy, Bron. Słyszę przez twoje uszy. Dzień i noc. Śledziliśmy każdy etap tej misji. Na tym polega nasza praca. Jaycee, Ananiasa, i moja. Możemy do ciebie mówić, ale ty nie możesz nas wyłączyć. Nasze głosy docierają bezpośrednio do twojego mózgu. Możemy jeszcze więcej, ale wytłumaczymy ci to później. Na razie musisz tylko wykonywać moje polecenia. Poszukamy ci schronienia”.
- Bardzo dobrze - zgodził się zrezygnowany Bron.
Nie potrafił się sprzeciwić temu, mówiącemu wewnątrz jego czaszki, głosowi. Fizycznie był wykończony, złamany i bardzo potrzebował odpoczynku. Postanowił wiec zamknąć się w sobie i mechanicznie wykonywać polecenia, wciskając się. szybko w cienie ulicy, unikając zbyt zaognionych miejsc. W końcu głos umilkł. Bron nie był w stanie posuwać się dalej z własnej woli. Zatrzymał się. Kilkoma kopniakami rozsunął parę cegieł, rzucił się w kurz i gruz i natychmiast zasnął.

Rozdział II

Co z Bronem? Dziewczyna, która zapytała, jako jedyna z całej trójki była ubrana po cywilnemu. Nosiła obcisły, czarny kombinezon, który nie zasłaniał nic z jej kobiecości. Twarz o czystych, ale zdecydowanych rysach była otoczona kruczoczarnymi włosami przetykanymi złotymi, podobnymi do gwiazd ziarnkami.
Pytanie zostało zadane pułkownikowi medycyny, który właśnie odchodził od zespołu ekranów. „Doc” Veeder był wysokim, siwiejącym mężczyzną, robiącym wrażenie kogoś, kto poznał najgorsze strony życia i przyzwyczaił się do nich. Skończył właśnie swój długi dyżur przed ekranami, ale jego mundur, podobnie jak włosy, był pognieciony tylko w stopniu dopuszczalnym surową dyscypliną. Wciąż nie wrócił do siebie, Jaycee, ale wydaje mi się, że śpi normalnie. Spojrzał uważnie na swoich kolegów i dodał:
- Możemy mu bez ryzyka zezwolić na godzinę snu.
- Niech go szlag trafi. Jeżeli rozchrzani te akcje, to pożałuje, że jego matka nie pozostała dziewicą.
- Nie mecz go zbytnio po przebudzeniu. Mocno oberwał zeszłej nocy. Nie sądzę zresztą, żeby ci na to pozwolił. I nie zapominaj, że tu chodzi o współprace, a nie o przymus. Jeżeli będziesz go prowadzić jak zwykle, to odpowie ci przyjęciem postawy defensywnej.
- Nie przeżyje tego. Możesz na mnie liczyć.
- On m u s i przeżyć, jeżeli chcemy uzyskać informacje, o którą nam chodzi. Jaycee przytaknęła niechętnie skinieniem głowy. Veeder zabrał swój koc i dodał:
- Zostawiam ci go. Idę się przespać. Zawołaj mnie, jeżeli wydarzy się coś niezwykłego.
- Przyjęte.
Jaycee ułożyła się w fotelu naprzeciw ekranów. Zaciągnęła zasłony, żeby światło nie odbijało się w monitorach i przystąpiła do rutynowego sprawdzania aparatury.
Kiedy tylko Veeder opuścił pomieszczenie, trzeci członek zespołu odszedł od konsoli komputera, przy której dotąd siedział w milczeniu, choć jego oczy przez cały czas obserwowały Jaycee. Stanął nieruchomo za jej fotelem i przyglądał się poszczególnym ekranom w miarę, jak je regulowała. Lśniące galony munduru odpowiadały stopniowi generała brygady, co kontrastowało bardzo z jego młodzieńczą twarzą, bladą karnacją i jasnymi włosami. Oczy świeciły mu nienormalnie, a wargi wciąż oblizywał jeżykiem.
- Doc ma racje, wiesz o tym, dupeńko? - powiedział spokojnie. - Niczego nie wyciągniesz z Brona denerwując go w tym stanie. Nie zrozumie i zatnie się. Wiesz, że jest wariatem, gdy się nie kontroluje.
Pochylił się nad nią i dotknął rękoma jej ramion.
- Tylko nie to, Ananias - powiedzała zmęczonym głosem. - Jeżeli będę potrzebowała twojej rady przy poskramianiu Brona, to cie powiadomię.
- Nie wątpię, dupeńko. Rób jak ci się żywnie podoba. Pomyślałem sobie po prostu, że być może czujesz potrzebę pozbycia się tej całej frustracji emocjonalnej, którą przelewasz na Brona...
Miękkim i naturalnym ruchem jego ręce spoczęły na nagiej szyi dziewczyny. Zesztywniała.
- Czego ty naprawdę chcesz, Ananias? Żebym ci złamała

ręce?

- Piękna ladacznica... Nie odważysz się.

Z jego tonu przebijała zamaskowana groźba.

- Odważę się. Za trzy sekundy, jeżeli ich zaraz nie zabierzesz.

- Żartujesz, laleczko.

Uderzyła jak kobra, ale przewidział to na czas. No i miał przewagę pozycji. Unieruchomił jej ramiona pod fotelem.

- Boże! Musiałaś spróbować, co? - krzyknął zaskoczony. - Co za demon!

- Powinieneś o tym wiedzieć. Znamy się od dawna.

- Zbyt długo może. Właśnie dlatego podtrzymuje propozycje. Nie przetrzymasz życia z Bronem. Załamiesz się.

Jaycee obserwowała główny ekran, na którym pojawiał się obraz widziany przez Brona na jawie. Na razie był ciemny. Ale słychać było oddech i bicie serca, a także dalekie odgłosy ataku na Onaris. Różne czujniki filtrowały te głosy i poddawały je analizie w celu określenia ich źródła i pochodzenia. Elektronicznie przesyłane dane odpowiadały maksymalnej ilości informacji, którą był w stanie dostarczyć żywy organizm za pośrednictwem tak niedoskonałego instrumentu, jak kanał biotroniczny.

Miedzy Bronem, agentem Oddziałów Specjalnych, a Jaycee, operatorką, istniała jednak silniejsza wieź. Była to wieź utkana przez dwa umysły zbliżone do siebie dzięki wspólnie przeżytym doświadczeniom. Kiedy agent łączył się psychicznie z operatorką, tworzyli razem coś w rodzaju nowej osoby. Byli absolutnie zjednoczeni. Czasem aż nie do wytrzymania.

Jaycee obróciła się w stronę Ananiasa.

- Wiesz dobrze, co czuje... żyjąc... właśnie tak... poprzez niego? Nie puścił jej.

- Oczywiście. Właśnie dlatego wiem, że nadejdzie moment, w którym dojrzejesz do maleńkiego kryzysiku emocjonalnego... Trzeba będzie wtedy ulec lub paść...

- I chcesz poczekać, aż ci samo spadnie pod nogi...

- Jasne... Jestem koneserem. Ty masz co dawać. Wyrobiony smak. Pewną dozę bezprzykładnej na tym marnym świecie złości, którą musisz koniecznie na kimś wyładować. Daje słowo... człowiek może za tym szaleć do tego stopnia, że stanie się w końcu całkowicie więźniem tego nałogu.

- A ty sądzisz, że możesz pretendować do specjalnych przywilejów?

- Zawsze byłem w zgodzie ze zwyczajami.

- Słuchaj, Ananias, wykorzystałeś moje zmieszanie, kiedy Bron mnie rzucił. Ale stało się to wyłącznie dlatego, że byłeś pierwszą żywą istotą, którą spotkałam w korytarzu. To mógłby być ktokolwiek.

- Nie mówisz tego poważnie, maleńka, prawda?...

- Przysięgam ci, że tak. Kiedy jestem w takim stanie, nie obchodzi mnie, kogo znajdę, pod warunkiem, że umie się ruszać. Nie odpowiadam na zaloty. Nie szukam kochanka, ale czegoś, co mi pozwoli ponownie uczepić się życia. Ci, których wybieram nie muszą mieć imienia - nawet lepiej, jeżeli go nie mają. Chce tylko mieć wtedy z sobą jakąś istotę, w ciemnościach.

Z impasu wyrwał ich sygnał z pomocniczego stanowiska łączności.

- Radio, Jaycee! Raport z Antares. Mówcie Antares, słucham. Tutaj Ananias.

- Halo, generale. Rząd Onaris ogłosił przez radio, że przyjmuje bez zastrzeżeń warunki kapitulacji w celu uniknięcia dalszego rozlewu krwi. Niszczyciele przerwali atak.

- Bardzo dobrze. Czy poprosili kogoś o pomoc?

- Od początku ataku. Próbowali używać nadajników podświetlnych. Oczywiście mogli liczyć tylko na przypadkową obecność jakiegoś statku w tej okolicy.

- Macie z nimi łączność radiową?

- Nie. Nasze instrukcje zabraniały tego. Nie mogliby zrozumieć, w jaki sposób udało nam się przechwycić ich sygnały.

- Nikt im nie odpowiedział?

- Niczego nie odebraliśmy. W każdym razie zakres podświetlny był cały czas wolny.

- Kontynuujcie podsłuch na zakresie awaryjnym. Jeżeli ktokolwiek wykaże jakiekolwiek zainteresowanie ich sygnałami, zagłuszcie rozmowę. Nie może dojść do żadnej interwencji, dopóki Niszczyciele nie dostaną tego, czego chcą i nie odlecą.

Ananias wyłączył się i ponownie odwrócił do Jaycee.

- Jak dotąd, wszystko przebiega zgodnie z planem. Z wyjątkiem Brona - przymknął oczy, obserwując główny ekran. Niszczyciele zaatakowali. Onaris się poddaje. Cała flota Komanda jest w stanie alarmu żółtego, a najdroższy i najlepiej wyszkolony agent w całej historii Komanda, umieszczony w strategicznej pozycji chrapie, jak jakiś pieprzony śpioch.

- Nie pogłaszczą cie za to, co?

- Nie przejmuj się mną... Wiesz dobrze, że zawsze w końcu wygrywam. A jeżeli musze trochę poczekać, to zdobycz jest tylko słodsza.

- Jesteś naprawdę biednym kretynem, Ananias! Bez cienia skrupułów, ale jednak kretynem.

Jaycee całą uwagę skupiła na ekranach, zwłaszcza tych, które informowały o czynnościach biologicznych Brona. Ananias ponownie zbliżył się do fotela. Powstrzymał się jednak od dotykania Joycee, ustawiającej mikrofon i po raz kolejny starającej się uzyskać kontakt z agentem Komanda, który wciąż spał na planecie Onaris odległej o pół galaktyki.

„Być może w podłych ciemnicach jakiejś nieludzkiej Inkwizycji..."

Rozdział III

Natrętny głos wdzierał się w jego sen. „...nie przez tortury bądź słabość ducha, ale w boleściach potwornej rany..."

- Przestańcie! Zamknijcie sie!

„Wstawaj, Bron. Sądziłeś, że pozwolimy ci spać przez cały dzień?"

Podniósł się z gruzu. Ziąb wgryzał się w każdą jego kość. Na pooranym horyzoncie pojawiał się pierwszy różowy blask świtu. Bolała go głowa. Dotknął dłonią skroni i poczuł, że cała jest w skrzepłej krwi. Wstał z trudem, zadrżał i spróbował uporządkować myśli.

- Hej ty... w mojej głowie. To nie ty rozmawiałeś ze mną wczoraj?

„Boże! Czyżbyś naprawdę miał szczęście mnie zapomnieć?" - w głosie czuć było okrutnie przesadzone niedowierzanie. „Nie, Bron. To ja, Jaycee" - elektroniczny transmitor nie był w stanie ukryć kobiecości tego głosu. „Doc mówił, że dostałeś. Co sobie przypominasz?"

- Nic lub prawie nic. Co to za historia z bolesnym podrygiem i umierającym Bogiem, którą zanudzasz mnie w kółko?

„Do diabła! Doc miał racje... naprawdę nie jesteś w formie. Te słowa są częścią wyzwalacza semantycznego umieszczonego w twojej podświadomości. W momencie, kiedy poziom świadomości obniża sie od snu do głębokiej komy, odpowiadasz na ich wymawianie. Zdania wyzwalacza są zgrane z hipnotyczną syntezą twojej osobowości, którą utrwalono ci w mózgu".

- To staje się coraz bardziej idiotyczne. Co to znowu za historia z tą hipnosyntezą osobowości

„Wtłoczono ci fałszywą osobowość za pomocą ultra głębokiej hipnozy. Po to, żebyś mógł dać sobie rade z Niszczycielami".

- Ależ ja nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywam!

„Fakt, że odpowiedziałeś na zdania wyzwalacza semantycznego świadczy o tym, że synteza jest wciąż silna. Będziesz reagował poprawnie na bodźce, nawet jeżeli nie masz pojęcia o swoim własnym działaniu. Twoja czasowa amnezja jest w pewnym sensie zbawienna. Osłabia możliwość konfliktu między syntezą, a twoim rzeczywistym ja. Boże! Kiedy pomyśle, że znowu będziesz się uważał za świętego..."

Dotknął go jej sarkazm.

- Mam nim być, Jaycee?... Świętym?

„Powiedzmy raczej elektronicznym Koniem Trojańskim. Ale weź się w garść. Mamy robotę. Wokół miasta wylądowały trzy statki Niszczycieli, których pierwszym zadaniem będzie ustanowienie ich praw. Całkowity zakaz poruszania się i totalne posłuszeństwo. Musisz się dostać do miejsca, w którym powinieneś się znajdować od zeszłej nocy".

- Dlaczego Niszczyciele mieliby mnie ścigać?

„Bo masz zająć miejsce człowieka, po którego przylecieli na Onaris. Będę ci musiała wyjaśnić kilka szczegółów. Ale najpierw zapamiętaj sobie jedno: musisz grać role, którą każemy ci grać. Ufaj syntezie. Nie działaj z własnej inicjatywy, bo oznacza to dla ciebie śmierć. Straciliśmy wystarczającą ilość ludzi, żeby cie umieścić tam gdzie jesteś. Rozumiesz?"

- Gdzie mam teraz iść?

Niebo rozjaśniało się szarawymi pasemkami oznajmiającymi nadejście prawdziwego dnia.

„Musisz odnaleźć nazwy kilku ulic. Kiedy tylko komputer zlokalizuje twoją pozycje, otrzymasz dokładne wskazówki. Teraz znajdź lustro, żebym cie mogła obejrzeć. Musisz być do końca w swojej roli, jeżeli chcemy wygrać".

Bron wzruszył ramionami oglądając popękany mur, pod któ-

rym spędził noc. Kilka metrów dalej znajdował się w miarę nienaruszony budynek, do którego wszedł. Miejsce było wyludnione, a potworny bałagan w pokojach i korytarzach świadczył o panice towarzyszącej ewakuacji. Bron wkrótce znalazł oszklone drzwi, które ustawił tak, żeby dało się coś zobaczyć w panującym półmroku.

- A wiec tak wyglądam?

„Nie pamiętasz nawet swojej twarzy?"

- Nigdy nie potrafiłbym jej sobie przypomnieć. No jak, ujdę?

- „Nie bardzo. Musisz zlikwidować te ranę na czole. Nie możesz teraz ryzykować najmniejszej infekcji".

- Spróbuje. Co jeszcze?

„Nic. Nie licząc tego, że nie mogę się przyzwyczaić do twego nowego wyglądu. Przeklęty anioł. Jest to psychosomatyczny skutek syntezy osobowości".

- Co mogę na to poradzić? - zapytał poirytowany jej złośliwym tonem.

„Przede wszystkim nie zniszcz go. Zniknie sam. Nie wierze, aby istniała synteza na tyle silna, żeby na długo zamaskować twoje prawdziwe ja".

Nie musiał długo szukać kilku tabliczek z nazwami ulic, które pozwoliły Jaycee go zlokalizować. Odkrył również cysternę z wodą, przemył ranę i jakoś zmył błoto i krew, osiadłe na pelerynie. Potem wrócił do lustra, żeby ocenić efekt tych zabiegów.

Nie pamiętał, skąd pochodziło jego ubranie. Peleryna była uszyta z grubo tkanego materiału. Pod spodem nosił bieliznę równie spartańską. Na piersi błyszczał złoty krzyż, finezyjnie zdobiony i zawieszony na cienkim łańcuszku. W szerokiej kieszeni peleryny odkrył Biblie. Kiedy przyglądał się swojej twarzy, przypomniały mu się słowa Jaycee, Rzeczywiście miał twarz anielską, umęczoną i drżącą, a jednocześnie młodzieńczą. Długo przyglądał się szczegółom swoich rysów. Zbudziło to w nim niewyraźne wspomnienie, ale nie potrafiłby powiedzieć, jak wyglądała jego twarz przed syntezą. Kształt skroni i czoła wskazywał z pewnością na silny charakter. Wzbudzało to w nim uczucie spokojnej dumy, ale w jego wzroku było cos diabelskiego, cos, co fascynowało i przerażało.

„Kiedy skończysz z tą narcystyczną orgią, pozwolę sobie wskazać ci dalszą drogę".

Wstrząsnął się zaskoczony. Jaycee szpiegowała go jego własnym wzrokiem. Było w tym coś niesamowitego, co wywoływało gniew. W głębi duszy czuł ogromne pragnienie wolności, dzikie pragnienie zwierzęcia zamkniętego zbyt długo w nazbyt ciasnej klatce. Jaycee musiała to wyczytać z jego spojrzenia, które stało się nagle twardsze, bo powiedziała:

„Nic nie mów, Bron. Będziesz musiał zgodzić się na moją obecność przez jakiś czas. Jest to uczucie, które uznałam za przyjemne - w końcu jestem w twojej skórze".

- Dziwka. Zaśmiała się:

„To prawda. Jestem dziwką i wszystkim, czym spodobało ci się mnie nazwać w przeszłości. Ale na razie sądzę, że lepiej będzie, jak już pójdziesz. Wskaże ci drogę".

Zgodnie z jej wskazówkami poszedł w kierunku miasta, nad którym znikała już noc, ustępując miejsca szaro-zielonej odbitej w słońcu mozaice. Świt polichromatyczny, który był jedną z atrakcji Onaris, ustrajał się w krwiste plamy.

Wśród gruzów panowała nienormalna cisza. Wszelkie życie wydawało się nie istnieć. Instynkt pchał go do wyjęcia noża, ale ręka, jakże naturalnie, sięgnęła po ciążącą mu w kieszeni Biblie. Z kwaśnym uśmiechem przyglądał się swoim porządnie utrzymanym paznokciom i stwardniałym opuszkom zanim zauważył:

Jaycee, wiem z kim mam się bić, ale do czego jest mi potrzebna ta książka?"

Nie odpowiedziała, choć wiedział, że słyszała. Jej nagłe milczenie uświadomiło mu powagę sytuacji. W tej misji książka i hipnosynteza były jego jedyną bronią. Z pomocą głosu Jaycee wewnątrz głowy miał przyczynić się do zniszczenia siejącej strach Federacji Niszczycieli.

Rozdział IV

Ostatnie dogasające budynki kładły na jego drodze szerokie zasłony dymne. Gdy wyszedł na odsłoniętą przestrzeń, zaczął posuwać się szczególnie ostrożnie. Wiedział, że w każdej chwili byle jaki strzelec może go położyć trupem na miejscu. Starał się jednak nie sprzeciwiać instrukcjom Jaycee i przez cały czas trzymał się otwarcie środka drogi.

- Wszędzie jest o wiele za spokojnie, Jaycee. Gdzie się podziali ludzie?

„Wszystkich ewakuowano. Niszczyciele zażądali, żeby w promieniu 5 kam od punktu lądowania nie było żywej duszy. Mógłbyś się trochę obrócić, Bron? Musze ustalić dokładnie twoją pozycje".

Posłusznie rozglądał się, zatrzymując wzrok na każdym szczególe terenu, który mógłby ułatwić jego lokalizacje.

- Dobrze idę?

„Mniej więcej. Jesteś na zewnątrz strefy przeznaczonej dla Niszczycieli, ale wewnątrz obszaru ewakuowanego. Największym niebezpieczeństwem jest policja z Ashur, która ściga złodziei. Nie kryj się i trzymaj ręce puste i wyraźnie widoczne".

- Czy nie byłoby lepiej, żebym od razu poszedł do statku?

„Żartujesz. Jeżeli przekroczysz granice strefy, to jesteś trupem. Żeby tam wejść, trzeba poczekać, aż Niszczyciele zdecydują się cie zabrać".

- Sądzisz, że to zrobią?

„Mamy nadzieje. Twoja osobowość odpowiada postaci ważnego technokraty z Onaris. Tej nocy powinieneś być w Seminarium Ashur. Niszczyciele zaatakowali za wcześnie".

- Po jaką cholerę Niszczyciele mieliby interesować się technokratami?

„Zagarniają wszystko, co ma jakąś wartość: mózgi, niewolników, metale, a zwłaszcza produkty zaawansowanej technologii. Właśnie dlatego wprowadzili do bitwy całą flotę. Ograbiają doszczętnie planetę, zanim ją zniszczą. Biorą wszystko co da się zabrać".

- To nie ma sensu. „Owszem, ale taka jest prawda".

- Mogę zrozumieć, że szukają niewolników i metali, ale po co im technokraci? Mogą ich przecież sami wyszkolić.

„Wydaje się, że poszukują specjalistów określonego typu. Wszyscy porwani byli fachowcami w jednej dziedzinie: w formach Chaosu. Onaris miał kilku najlepszych z tej branży".

- Sądziłem, że najlepsi fachowcy są na Ziemi...

„To szeroko rozpowszechniona legenda. W rzeczywistości jest dokładnie na odwrót. Gdy statki wielkiego Exodusu wyruszyły z Ziemi, zabrały na swoich pokładach emigrantów o szczególnie wysokim współczynniku inteligencji. W bazach kolonialnych często spotyka się rodziny geniuszy. Tak było na Onaris z rodziną Halternów. Ty grasz role Anuera Halterna, dziewiątego potomka w prostej linii Prospera Halterna. Ander jest bez wątpienia jednym z najznakomitszych specjalistów od form Chaosu".

- Co się stało z prawdziwym Anderem?

„Jest na Ziemi i współpracuje z nami. Zabraliśmy go potajemnie sześć miesięcy temu. Zmontowaliśmy pewien scenariusz, który wyjaśnia twój powrót na Ashur. Musisz wiedzieć w związku z tym, że na Onaris imię nigdy nie jest zapisywane w oficjalnych kartotekach. Z powodzeniem możesz się nazywać Bron. Radze ci to przyjąć, bo ten ułamek sekundy, który upływa zanim odpowiemy na cudze imię, może cie w przypadku jakiegoś kryzysu sporo kosztować".

Bron nagle zamarł.

- Jaycee? Głosy!

- Gdzie?

- Przede mną. Za dymem.

„Tak... tak, teraz je słyszę. Patrol policji, według mnie. To akcent z Ashur".

- Możesz usłyszeć nawet to?

„Gdy okoliczności tego wymagają, możemy zwiększyć czułość twego słuchu, Bron. Przede wszystkim nie staraj się im uciec. Ufaj syntezie. Nie próbuj samemu się z tego wygrzebać. Jeśli im zaserwujesz typowy przykład reakcji i odpowiedzi bronowskich, może to oznaczać koniec misji".

Dostrzegał teraz przez dym resztki kilku kamiennych budynków, z których zostały tylko mury, podziurawione odłamkami i oczernione ogniem. Droga wiła się wśród ruin aż do bariery, przy której czuwali ludzie w zielonych mundurach.

- Stój, bo strzelam.

Bron natychmiast zatrzymał się. Nie można było pójść inną drogą, ani wycofać się. Pocisk wzbił tumany kurzu kilka centymetrów przed nim. Jakiś oficer rzucił mu pod nogi wzmacniacz głosu.

- Weź aparat i mów.

Bron wykonał powoli polecenie, nie przestając patrzeć na lufy broni. Musiał przyznać, że technika policjantów była bez zarzutu. Z tej odległości, nawet mając pełne wyposażenie komandoskie, nie miałby żadnej szansy na wrzucenie naboju z gazem lub granatu poza barierę, zanim by go nie zamienili w sito.

- Co robisz w strefie ewakuacji - zapytał oficer, którego wzmocniony głos miał ponure, metaliczne brzmienie.
- Próbuje uciekać.
Temperament Brona, który zmuszał go do przeciwstawiania się autorytetom, nadał tej odpowiedzi ton szczerości i spontaniczności, całkowicie nie związany z syntezą. Ruiny odbiły echem jego słowa, a potem rozległ się komentarz oficera, suchy i bez cienia humoru:
- Rozumiem.
„Wariacie. Chcesz się dać zabić?" - głos Jaycee był tak wibrujący i wyraźny, że Bron nie mógł uwierzyć, że policjanci nie mogą go słyszeć. „Graj swoją role, idioto!"
- Słyszałeś rozkaz ewakuacji z ostatniej nocy? Wiesz że nie stawiamy żadnego oporu Niszczycielom?
„Tak" - szepnęła Jaycee.
- Tak - odpowiedział Bron.
- Wiesz wiec, że mamy rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do wszystkich, którzy przebywają w tej strefie. Możesz nam przedstawić jakiś powód, dla którego nie mielibyśmy wykonać tego rozkazu.
Policjanci podnieśli wyżej broń.
„Bron" - głos Jaycee był teraz przerażonym szeptem. „Sprawdziłam jego stopień. To brutal wysokiego szczebla. Ma wszelkie prawo do podjęcia decyzji, ale to mięczak. Inaczej nie gadałby z tobą. Pozwól działać syntezie! Usuń sie!"
- Jestem Ander Haltern. Na imię mam Bron. Musze się udać do Seminarium Świętej Relikwii i jestem już spóźniony.
Bron przeżył szok, słysząc siebie wymawiającego dziwnym tonem nieznane słowa. Zdziwiony i zaintrygowany, pozwolił swemu umysłowi i jeżykowi grać role, o której nic nie wiedział.
- Jak mogę się tam dostać i przejść przez waszą zaporę?
- Haltern?
Policjanci przez moment się pogubili. Wyłączyli pospiesznie wzmacniacz. Było oczywiste, że samo nazwisko Halterna miało pewną wagę.
- Czy możesz udowodnić swoją tożsamość? - zapytał wreszcie oficer.
- Czy to konieczne Halternowi z Ashur?
Głos Brona, zdominowany syntezą, miał nieznoszącą sprzeciwu twardość.
- Może jakiś dokument?
- Żadnego.
Złość w nim kipiała. Szczegół, o którym trzeba będzie pamiętać: Ander nie należał do cierpliwych.
- Co miałby robić Haltern z kawałkiem papieru?
- Nie wiem. Wszyscy inni...
- Jeżeli nie wierzycie moim słowom, musicie przyjść i zobaczyć sami. Proszę. To wszystko co mam.
Bron dziko zerwał z siebie pelerynę i rzucił ją na ziemie. Bielizna poszła śladem peleryny i stanął przed policjantami całkiem nagi. Cichym głosem, starając się trzymać jak najdalej od wzmacniacza, powiedział:
- Boże! Jaycee... To dziwne i niepokojące, jeśli człowiek nie wie, co zrobi za sekundę..
„Teraz widzisz, jak działa synteza. Odzywa się w zależności od bezpośredniego działania określonej sytuacji i pytań".
- Przysięgam ci, że to nie potrwa długo, jeśli bede się musiał rozbierać za każdym razem, gdy mnie pytają, jak się nazywam.
„Nie można przewidzieć co zrobisz" - odparła rozbawionym tonem. - „Ander Haltern jest osobą szalenie niezależną. Martwi mnie natomiast łatwość, z jaką uciekasz swojej pseudoosobowości. Podejrzewam, że synteza nie została założona wystarczająco głęboko. Musze powiadomić o tym Doktora!"
Oficer zbliżał się. Miał tylko pistolet. Stanął przed Bronem i końcem buta odwrócił pelerynę. Dojrzał Biblie i schylił się, żeby ją podnieść. Potem wyciągnął ją do Brona.
- Przepraszam Bronie Ander Haltern, ale zrozum, że nie możemy być mniej ostrożni. Żyjemy w ciężkich czasach.
Jego twarz była prawie szara. Niespokojne oczy patrzyły w stronę wielkiego statku Niszczycieli.
- Możecie zapewnić mi transport do Seminarium? - zapytał sucho Bron.
- Oczywiście. Natychmiast się tym zajmę.
Powrócił pospiesznie za barykadę, a Bron ubierał się dystyngowanymi ruchami, dostarczając Jaycee nowej rozrywki.
„Dopiero teraz zrozumiałam" - stwierdziła triumfalnie. „Może ta książka do tego służy. Musisz sie tylko rozebrać do naga".
- Odpieprz się. - Jego wargi nie drgnęły. Wydał z siebie jedynie głębokie westchnienie, którego wzmacniacz nie mógłby daleko ponieść. Jaycee odpowiedziała lekkim śmiechem.
- Słyszałaś? - zdziwił się Bron.
„I tak bym się domyśliła. Ale nie musisz mówić na głos. Odbieramy twój głos prosto ze strun głosowych. Musisz mieć z nami łączność nawet wtedy, gdy jesteś wśród ludzi i to tak, żeby nikt się nie zorientował".
- Masz odpowiedź na wszystko, co?
„Na więcej niż mógłbyś podejrzewać, Bron. A ponieważ nic nie pamiętasz, wiec ta misja pozwala mi kierować tobą jak maleńką marionetką".

Rozdział V

Śmigacz, który oddano do jego dyspozycji był ciężką maszyną, nadzwyczaj funkcjonalną i bardzo głośną. Schowawszy się przed wzrokiem pilota i wykorzystując świst dysz, Bron zapytał:
- Jaycee! Słyszysz mnie? Wyraźnie formułował każdy wyraz.
„Doskonale, Bron".
- Czemu ta książka przekonała go, że jestem Halternem?
„Myślę, że jest to stare ziemskie wydanie. Bardzo rzadkie na planetach. Tylko taki intelektualista jak Haltern może je zrozumieć".
- Dziwny facet z tego Halterna.
- „Bardzo mądry. Jest mistrzem synkretystyki. Jednym z największych".
- Co to takiego?
„Synkretysta, to człowiek, którego prace przecinają pod kątem prostym różne dziedziny nauki. Żeby uzyskać tytuł mistrza, należy zdobyć około dziesięciu dyplomów z różnych, a przede wszytkim odległych od siebie, dziedzin. Trzeba poza tym udowodnić, że umie się rozumować zgodnie z zasadami, obowiązującymi w tych dziedzinach, jak również negując te zasady".
Maszyna wspinała się coraz wyżej. Pod nimi widać było wielki budynek.
- Jaycee. Co to takiego?
„Seminarium. A dokładniej Seminarium Świętej Relikwii z Ashur. Niszczyciele będą cie szukać właśnie tutaj".
Śmigacz wylądował ciężko przed gigantycznym wejściem. Poddając się hipnosyntezie, która zabraniała mu dostrzec obecność pilota, Bron Ander Haltern wysiadł z maszyny i wspiął się po stopniach prowadzących do Seminarium. Poczuł, jak rozrasta się w nim osobowość tej obcej mu istoty, otaczając go jak ciężka, gruba i ciemna tkanina, wykonana z odruchów i problemów kogoś innego.
Nikt go nie oczekiwał. Hol łączył się z korytarzem, zakończonym drzwiami, za którymi Bron odkrył olbrzymią sale o ciemnym suficie. Oświetlało ją łagodne światło, sączące się przez wysokie okna, ozdobione dziwnymi witrażami. Zatrzymał się, onieśmielony nagle wymiarami i harmonią tego miejsca. Podtrzymujące sufit kolumny były rzeźbione niezliczonymi figurkami i statuetkami odtwarzającymi sceny, które nie miały dla niego najmniejszego sensu. Nawet ściany były ozdobione złożonymi, ciężkimi i bogatymi w symbolikę motywami.
Synteza prowadziła go przez środek sali, pomiędzy dwoma, rzeźbionymi w kształcie tronów kamieniami. Po drugiej stronie, pod prostym baldachimem widać było wykute w murze alkowy. Znajdowała sie tam tarcza z herbem Ashur: kręgiem słonecznym. W środku tej tarczy leżała ukrzyżowana replika małego, czworonożnego zwierzęcia o brunatnej sierści: Święta Relikwia. Wokół tarczy kolorowe plakietki tworzyły tylko jeden wyraz:

RADOŚNIE

- To rodzaj kościoła? Jaycee?
Jeśli chcesz. Ale nie takiego, jak na Ziemi. Obie religie są mało do siebie podobne, mimo że ich wyznawcy uważają, że czczą tego samego Boga".
Bron przyjrzał się uważnie postaciom na kolumnach. Dopiero teraz dostrzegł niektóre szczegóły płaskorzeźb i wydawało mu się, że Jaycee wstrzymała nagle oddech. „Podejdź bliżej, Bron. To ciekawe".
- O co tu chodzi? Pomnik ku czci markiza de Sade?
„Nie... wyraz wiary. Umartwianie ciała dla ulżenia duszy. W tym seminarium doskonalenie duszy i ciała tworzą jedność. Ciało jest traktowane jako przemijająca koperta dla słabości duszy".
- Jaycee! To idiotyzm...
„Ale oni tak żyją. Koloniści mają 256 sposobów karania włas-

nych słabości”.
- Sądząc po niektórych z tych sposobów, zastanawiam się, jak można okazać słabość potem. „Nic nie mów, Bron. Ktoś się zbliża”.
Jego wzrok zanurzył się w półmroku, ale nie dostrzegł nikogo. Spojrzał znowu na Świętą Relikwie i tym razem odkrył wieź miedzy perwersyjną filozofią wyrażoną w motywach kolumn, a dziwnym spojrzeniem błyszczących oczu bestii. Wyzwoliło to w nim odruch hipnosyntezy i mimo woli upadł na kolana, z rękoma złożonymi do gorącej modlitwy. Za nim zabrzmiały czyjeś kroki.
- Ander Haltern?
- To ja. - Podniósł się i odwrócił do przybysza.
- Jak masz na imię?
- Bron.
Rozmówca był wysoki, ascetyczny, z siwymi włosami i wrogim spojrzeniem.
- Oczekiwaliśmy cie wczoraj, Bronie Ander Haltern. Co masz na swoje usprawiedliwienie.?
- Ashur został zniszczony i sam o mało nie zginąłem.
- A wiec pozwalasz, żeby trywialne kłopoty opóźniały wykonanie obowiązków?
- Trywialne! Do diabła!... - zaczął Bron, odrzucając nagle swoją uległą pseudoosobowość. „Bron! Spokojnie!”
- Bronie Ander. Przeszedłeś próbę mistrza i masz prawo samemu wybrać karę. Co proponujesz?
- Jaycee! Co mam powiedzieć? Synteza nie działa! - Zauważył, że tworzy całe zdania nie wymawiając ich.
„Zyskaj na czasie. Nie mamy tego w programie. Złapie Andera”.
- Ashur jest na wpół zniszczone - powiedział głośno Bron. - Niszczyciele kontrolują miasto. Poza tymi murami nikt nie ma prawa chodzić, a nawet żyć. Czyżbyś żądał ukarania kogoś, kto przeżył te wydarzenia?
- Bronie Ander Haltern - kapłan miał poważną minę i błysk szaleństwa w oczach. - Rozczarowujesz mnie. Nie nauczono mnie oczekiwania takiej postawy od Halternow. Daj swoją propozycje lub sam dokonam wyboru.
„Koszula, Bron!”
- Koszula.
Oczy kapłana rozszerzyły się, a jego twarde rysy zniknęły.
- Wybacz mi. Nie miałem najmniejszego zamiaru obrazić Halternow. Nie jest konieczne... Synteza ponownie opanowała Brona z niezwykłą dzikością.
- Czyżbyś podawał w wątpliwość moją decyzje, kapłanie?
- Skądże. - W oczach kapłana widać było zmieszanie i głęboki wstyd. - Tylko akt nie wymaga takiego stopnia kary. Pozwól wiec, że zapytam cie, czy naprawdę jesteś gotów przyjąć koszule?
- Radośnie! - odparł Bron, całkowicie poddany syntezie. Kapłan wzruszył z rezygnacją ramionami.
- Bardzo dobrze. Zaprowadzę cie do twojej celi. Koszule przyniosą ci właśnie tam.
Bron szedł za nim w milczeniu. Opuścili sale przez wyłamane drzwi i szli niekończącym się labiryntem ponurych i nagich korytarzy, nie dających najmniejszej radości ludzkiemu pragnieniu kontrastu. Przechodzili zawsze przez takie same drzwi, masywne i ponure; mijali zabite okna.
- Jaycee! To przypomina raczej wiezienie niż seminarium.
„Na Onaris nie ma specjalnej różnicy miedzy nimi. Wychowanie jest nierozerwalnie związane z religią, a ta z umartwianiem i karą. Jedyne co można zapisać na plus temu społeczeństwu, to fakt, że wychowuje bardzo mądrych ludzi. Zboczonych, ale wybitnych”.
- Nie wątpię. A co to takiego, ta pieprzona koszula?
„Nie wiem. To pomysł Andera. Uważa, że jest to kara odpowiadająca popełnionemu przewinieniu. Jest bardzo poruszony tą historią”.
Kapłan zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Zamek cyfrowy ustąpił niepewnie pod dotykiem jego palców i ciężkie drewniane drzwi otworzyły się wolno. Bron, przyzwyczajony do funkcjonalności, poczuł się zaskoczony tym, co zobaczył. Cela była zwykłym, kamiennym sześcianem. Jedyną rzeczą, którą można było przyrównać do mebla, był cokół z białego kamienia, który musiał służyć jednocześnie za stół, krzesło i łóżko, a który miał formę trumny. Na suficie, wokół otworu wpuszczającego surowe światło widniał znajomy napis:

RADOŚNIE

- Bronie Haltern. Za kilka minut przyniosą koszule. Radze założyć ją natychmiast. W ten sposób nie spóźnisz się zbytnio na pierwszy wykład.
- Czy kara nie może zaczekać do wieczornego obrządku?
- Nie. Zasługujesz na większy szacunek. Sądzę, że twoje rozgrzeszenie będzie doskonalsze, jeżeli działanie koszuli będzie zaawansowane, gdy staniesz przed zgromadzeniem.
Poddając się syntezie Bron skłonił głowę i milczał aż do wyjścia kapłana.
- Jaycee... Ten człowiek jest nie tylko sadystą, ale i wariatem. Nawet nie dosłyszał tego, co mówiłem o zniszczeniu Ashur. Jego świat zaczyna się i kończy tutaj, wśród rytuału Seminarium. Ile czasu musze tu siedzieć?
- „Niezbyt długo, jak sądzę. Niszczyciele zawsze wiedzą, gdzie znaleźć ludzi, których szukają. Przed każdym atakiem największą robotę wykonuje ich wywiad”.
- I szukają tylko mnie?
„Tak sądzimy. Inaczej zajęliby się głównie niewolnikami. Ludzie są tańsi i skuteczniejsi niż maszyny na nie rozwiniętych planetach”.
- Ciekawe. Statki z niewolnikami istniały kiedyś i na Ziemi.
Bron zamilkł. Ktoś pukał. Do celi wszedł nowicjusz, niosąc starannie zapakowaną koszule. Złożył ją w milczeniu na kamieniu i skłonił lekko głowę. W jego oczach widoczne było uwielbienie, a także głębokie współczucie.

Rozdział VI

Bron ostrożnie obejrzał koszulę. Tkanina wydawała się przyczepiać do palców, jakby składała się z tysięcy maleńkich włosków. Gwałtownie rozebrał się i założył ją. Przez chwile czuł miękki, prawie zmysłowy dotyk materiału. Koszula doskonale dopasowywała się do ciała. Zaraz potem, po raz pierwszy w swoim życiu, błagał niebiosa o łaskę.
Na progu paniki starał się ją z siebie zerwać, ale tysiące maleńkich włosków wkłuło się już w jego ciało. Zęby się jej teraz pozbyć musiałby pokroić się żywcem. Strach i uczucie palącego coraz silniej ognia doprowadziły go do skraju szaleństwa, zanim wreszcie nie zmusił się do logicznego myślenia.
„Najwidoczniej” - zauważyła ze śmiechem Jaycee - „jest to nowoczesny odpowiednik Włosienicy i bicza. Kontemplacja, skupienie i cierpienie wzbogacają umysł i uszlachetniają dusze. Bron, spójrzmy prawdzie w oczy: twój umysł i dusza wymagały poważnego wstrząsu. Jestem pewna, że to ci wyjdzie na dobre”.
- Złośliwa dziwka. Zapłacisz mi za to!
- Znowu zapukano do drzwi. Wrócił nowicjusz.
- Mistrzu Haltern. Przykro mi, że przerywam twoją dewocje. Kapłan kazał mi zaprowadzić cie do klasy synkretystów.
- Wcale mi nie przeszkodziłeś, bo już wyraziłem publicznie me życzenie. W korytarzu młody człowiek dotknął dłońmi swego czoła i powiedział:
- Mistrzu, możesz się oprzeć na mym ramieniu, jeśli pragniesz. -Jego wzrok był przykuty do kołnierza koszuli wystającego spod peleryny.
- Nie. Dziękuje.
Ruszyli w drogę. Jaycee zapamiętywała za Brona każdy szczegół tej drogi. Jego świadomość była wyłączona przez ciągły ból spowodowany koszulą. Nie mógł się zmusić do niczego. Przed drzwiami sali wykładowej nowicjusz ponownie przyłożył dłonie do czoła i ulotnił się. Bron dotknął palcami zamka, który poddał się po kilku sekundach. Wszedł do laboratorium, gdzie miał się odbyć pierwszy w jego życiu wykład synkretyzmu.
Tym razem był naprawdę zaskoczony. Aparaty do nauczania, które tu były zgromadzone, musiały kosztować majątek. Jego uczniowie, około setki nowicjuszy, byli usadowieni w indywidualnych komórkach, mających bezpośrednie połączenie z komputerem. Stół wykładowcy był małym arcydziełem myśli technicznej.
W tej szczególnej sytuacji, Bron pozwoli swojej pseudoosobowości zapanować nad sobą. Usuwając się całkowicie pozwolił swoim dłoniom swobodnie biegać po klawiszach i przyciskach. Po jakimś czasie odkrył wreszcie sens tych gestów, a przyrządy wydały mu się mniej tajemnicze. Rozpoczął swój wykład, rozumiejąc słowa dopiero po ich wypowiedzeniu.
Koszula sprawiała mu taki ból, że oscylował miedzy najbardziej podłą rozpaczą, a totalnym skupieniem. Jego organizm reagował na te agresje przez gigantyczną erupcje alergiczną.
- Jaycee... ta koszula mnie zabije. Spytaj Andera, jak mogę się

jej pozbyć?

„Już pytałam, Bron. To niemożliwe bez interwencji chirurgicznej. Włókna są czułe na histaminę. Kiedy reakcja alergiczna powoduje pewne zwiększenie się poziomu histaminy, włókna odchodzą same”.

- Na miłość boską! Ile czasu to może trwać?

„To zależy od wytrzymałości organizmu. Czasami nawet 36 godzin”.

- Rozumiem - warknął. - Pytałaś naszego przyjaciela Andera, ile osób umiera pod wpływem szoku?

„Około 10%. Gdybyśmy o tym wiedzieli wcześniej, nie pozwolilibyśmy ci tego zakładać”.

- Po czyjej stronie jest Ander?

„Po naszej. Ponoć. Mówi, że wybór koszuli odpowiadał dokładnie jego postaci. Nie doceniliśmy faktu, że większość Halternów to wariaci”.

Wykład przeciągnął się do pięciu godzin, po których Bron wrócił do celi. Te pięć godzin pracy prawie odwróciło jego uwagę od cierpienia. Wrócił w nieróbstwo z obawą. Reakcja jego organizmu przybrała teraz niepokojący obrót. Mięśnie rąk i nóg stały się sztywne i obolałe. Wydawało mu się, że spostrzega u siebie pierwsze objawy delirium.

Nie miał wyboru. Wyciągnął się na kamieniu i patrzył nieruchomymi oczami w otwór sufitu. Wpatrywał się na przemian to w napis: Radośnie, to w jasność sączącą się przez otwór, to w przestrzeń. Wkrótce wprowadził się w stan autohipnozy i kiedy zaczął dostrzegać czarne i białe plamy, zapadł wreszcie w sen.

„...w ohydnych ciemnicach jakiejś nieludzkiej Inkwizycji, czyjś umysł oszalał...”

- Przestań Jaycee. Co się stało?

- Ktoś puka, Bron. Dwóch ludzi.

- Boże! Nie wytrzymam tego dłużej. Wykończę się, jeżeli mnie z tego nie uwolnią.

„Doc pracuje bez przerwy nad Anderem, żeby poznać skład organiczny włókien. To nie jest takie proste. Biologia Onaris różni się od ziemskiej”.

Bron starał się podnieść. Jego sparaliżowane bólem stawy nie pozwalały z początku na jakikolwiek ruch. Wreszcie udało mu się chwiejnie podejść do drzwi.

Mężczyźni nosili stroje nie przypominające w niczym jego peleryny lub ubrania nowicjusza. Rodzaj jasnożółtej, sportowej tuniki.

- Mistrzu Haltern. Nadeszła chwila stawienia się na wieczornym zgromadzeniu. Poddając się natychmiast syntezie umysł Brona zareagował gwałtownie:

- Od kiedy panuje zwyczaj eskortowania odbywających karę? W słowach tych zabrzmiała cała nietolerancja Halternów.

- Kapłan nalega na te gwarancje dyscypliny duchowej.

- Dyscypliny się nie narzuca. Ona wypływa z głębi istoty. Kapłan przekracza swoje uprawnienia. Pójdę sam.

Przez chwile strażnicy byli zmieszani. Bron wykorzystał to i wyszedł na korytarz zbierając wszystkie siły. Na początku pomagał mu gniew, który czul Haltern wobec kontrolowania go w chwili samotności i próby moralnej.

Wszedłszy do kościoła skierował się prosto wzdłuż głównej nawy do Świętej Relikwii. Poddając sie niepohamowanemu impulsowi ukląkł przed ołtarzem na wprost ukrzyżowanego zwierzęcia. Dotknął rekami czoła i przez długie minuty trwał nieruchomo zanim udało mu się ponownie podnieść. Ale jego sztywne nogi nie wytrzymały. Zachwiał się i strażnicy podtrzymali go w ostatniej chwili przed upadkiem.

Zaciągnęli go do jednej z alków po drugiej stronie, na ścianach której przymocowane były uchwyty przeznaczone do podtrzymywania ofiary za ręce w chwilach utraty przytomności. Bron został w nie skuty.

Upłynęła cała godzina, zanim nadeszli pozostali członkowie zgromadzenia. Wiele razy świadomość Brona uciekała w koszmarny półsen, który niwelował działanie czasu. W pewnej chwili ocknął się i zobaczył, że mistrzowie i nowicjusze zajęli już miejsca w kamiennych ławach.

Kapłan ubrany w strój ceremonialny i dumny jak sędzia wszedł ostatni. Spojrzał przelotnie na przykutego Brona i rozpoczął nabożeństwo. Uroczyste, długie, z psalmami odpowiedzi wiernych, niezrozumiałymi zaklęciami i przysięgami szalonego dogmatyzmu.

Miedzy dwiema dziurami pamięci Bron starał się czasami odczytać z twarzy obecnych ich myśli i uczucia. U większości wydawało mu się odnaleźć zatroskanie i solidarność. I tylko w nielicznych spojrzeniach dostrzegał ciemny blask sadyzmu, jak u kapłana.

„Bron” - zawołała podniecona Jaycee. „Nadszedł nasz moment. Zbliżają się ciężkie pojazdy. Niszczyciele wejdą za kilka minut”.

Na potwierdzenie jej słów echo przyniosło huk bliskiej eksplozji. Kapłan przerwał modlitwę zaledwie na ułamek sekundy. Druga eksplozja rozbiła w drzazgi drzwi wejściowe.

Początek paniki został natychmiast opanowany przez wejście żołnierzy. Przebiegli przez unoszący sie jeszcze dym i z zawodową precyzją rozwinęli kordon, gotowy do natychmiastowego otwarcia ognia na najmniejszy podejrzany gest. Kapłan przerwał wreszcie modlitwę i stawił czoła sytuacji, której nie mógł już dłużej ignorować.

- Kim jesteście? Czego chcecie? Nie wiecie, że jest to miejsce święte?

Jego głos, wzmocniony przez sklepienie, był naładowany niedowierzaniem i wściekłością wobec takiego gwałtu na jego świecie

- Wezwał nas tutaj obowiązek Niszczycieli - powiedział dowódca. - Gdzie jest ten, którego nazywają Anderem Halternem?

- Tutaj. Odbywa karę i zabroniłem mu rozmawiać.

- Milcz, stary głupcze. Ja tutaj wydaje rozkazy. Krótka seria rozbiła dalsze trzy okna.

- Niech Haltern pokaże się nam. Inaczej wycelujemy w inne rzeczy niż okna.

- Ostrzegam was - zagrzmiał kapłan, który wciąż nie mógł całkowicie pogodzić się z ruiną swego świata - Popełniacie świętokradztwo. Wzywam was do opuszczenia tego miejsca.

Rozległ się pojedynczy wystrzał. Kapłan, trafiony w głowę, runął na ziemie z szybkością, która odarła całą scenę z dramaturgii. Pod groźbą broni ktoś ze zgromadzonych wskazał na Brona:

- Ander Haltern.

Nikt nie podjął już najmniejszej próby oporu. Niszczyciele, jak zwykle, byli gotowi strzelać. Dowódca stanął przed Bronem i patrzył zaskoczony na kajdany i zapoconą koszule.

- Haltern synkretysta?

- To ja.

- Co oni z tobą robią? Chcieli cie zabić?

Mimo retoryczności pytanie świadczyło o podnoszącym na duchu rozsądku. Niszczyciel schylił się, otworzył kajdany i popchał Brona do przodu, ale on nie był w stanie zrobić nawet kroku. Nogi zgięły sie pod nim i upadł bezwładnie na posadzkę. Półświadom walczył, żeby się podnieść, ale ręce również odmówiły mu posłuszeństwa. Podniósł głowę w stronę drwiących oczu Świętej Relikwii.

- Jaycee... jak... jak do diabła nazywa się to zwierze?

„To ziemska zabawka. Przedstawia coś, co nazywano niedźwiedziem”.

- I wszystkie niedźwiedzie miały takie oczy?

„Nie. Jakieś dziecko musiało się nim zbytnio bawić i oberwało mu guziczki. Mówi się, że należał on kiedyś do Prospera Halterna, twórcy kolonii na Onaris i założyciela Seminarium.”

- Boże! Jaycee! Oni czczą zabawkę! „Zamknij się Bron. Mówisz głośno! Możesz...” Prawie śmiał się, kiedy w końcu zapadł w ciemność.

Rozdział VII

Bron, mówi Doc. Słuchaj uważnie. Jesteś teraz na pokładzie statku Niszczycieli. Byłeś nieprzytomny, kiedy cie przynieśli. Sądzę, że wprowadzili cię w hipotermie i że badał cie ich lekarz. Na nieszczęście jego diagnoza jest zła. Postanowili zrobić zastrzyk antyhistaminowy. Trzeba mu za wszelką cenę przeszkodzić”. - Udało się coś wyciągnąć z Andera?

„Tak. Koszula jest wykonana z crelu. Są to spory grzybów rosnących na Onaris, które są pasożytami ludzkiej skóry. Jedyną obroną organizmu jest właśnie histamina. Jeśli ten idiota obniży jej poziom, to może wywołać ich kiełkowanie pod skórą, a są one rozmiarów ziemskiej wiśni. Dwieście tysięcy tych nasion dosłownie rozerwie cię na strzępy”.

- Co mi radzisz?

„Za wszelką cenę musisz uniknąć jakiejkolwiek interwencji do czasu, aż koszula sama zacznie odpadać. To twoja jedyna szansa. Jak ona teraz wygląda?” Bron z trudem podniósł się na łokciu i pomacał materiał.

- Rwie się w szwach.

„To dobry znak. Wkrótce się rozleci. Najdalej za kwadrans

powinno być po wszystkim. Możesz zneutralizować lekarza?”
- Zawsze mogę spróbować.
Bron rozejrzał się po pomieszczeniu. Były tu jedne drzwi, zaopatrzone niewątpliwie w zamek nastawiony na bioprądy kilku upoważnionych osób. Ociężale zwlekł się z łóżka i zaraz upadł na podłogę. Przedtem zauważył mały przybornik, w którym mógłby znaleźć coś odpowiedniego do zaatakowania zamka. Doczołgał się tam. Tylko laser chirurgiczny wydał mu się odpowiedni. Wziął go nieporadnie i zbliżył się do drzwi.
Nie znał się na tego typu zamkach. Nie był w stanie umiejscowić elementów sensorycznych. Działanie na samym zamku mogło doprowadzić do zablokowania drzwi raczej w pozycji otwartej niż zamkniętej. Postanowił spowodować krótkie spięcie w obwodach elektronicznych. Przy odrobinie szczęścia można to było przypisać zwykłej awarii, a nie sabotażowi. Z największą precyzją, na jaką mógł się zdobyć, wycelował i zwolnił spust. Metal stopił się prawie niezauważalnie, ale to wystarczyło do spowodowania spięcia, które przyspawało obie części obicia drzwi. Strzał był udany. Nawet gdyby podejrzewano sabotaż, to sposób w jaki go dokonano z daleka pachniał taką amatorszczyzną, że nikt nigdy nie mógłby o to podejrzewać superagenta Komanda.
Doc obserwował to wszystko oczyma Brona. „Ile czasu to wytrzyma?” - zapytał krytycznym tonem.
- Wszystko zależy od nich. Na wymontowanie zamka potrzeba ze dwadzieścia minut, ale jeśli im sie spieszy, to mogą w kilka sekund rozwalić drzwi laserem.
Siłą woli Bron wrócił do łóżka. Ostrożnie wsadził palec pod koszule i odkrył, że tkanina straciła swoje właściwości. Mógł rwać ją pasmami. Skóra pod spodem była czerwona i nabrzmiała, ale nie nadgryziona zbyt głęboko. Nie przerywał swojej pracy, bo materiał rwał się coraz łatwiej. Kiedy usłyszał głosy za drzwiami udało mu się oderwać prawie połowę koszuli. Ktoś próbował otworzyć drzwi i wyraźnie był zdziwiony ich oporem. Po jakimś czasie spróbowano jakiegoś pręta. Na chwile zapadła cisza, którą Bron wykorzystał do wdrapania się na posłanie. Właśnie udało mu się położyć, kiedy promień lasera wyciął zamek.
Bron przywitał wchodzącego lekarza oparty na łokciu i zajęty rwaniem resztek koszuli z pleców. O ile mógł się zorientować, udało mu się oswobodzić większą ich cześć przez ocieranie się o pościel. Lekarz spoglądał podejrzliwie to na zamek, to na Brona. Nie udało mu się jednak ustalić bezpośredniego związku miedzy tymi dwoma elementami. Oddał wiec zamek technikowi i podszedł do pacjenta.
- Wiec zdjąłeś ją? Jak?
- To działa na histaminę - odparł Bron, ale z jego nabrzmiałych ust wydostawało się tylko coś w rodzaju żałosnego ćwierkania. Opadł na plecy wyolbrzymiając tylko troszeczkę zmęczenie.
- Ale dlaczego to zrobiłeś? Po co zakładałeś to świństwo?
Bron miał nadzieje, że synteza odpowie za niego, ale nic się nie stało. Zmrużył oczy i powiedział:
- W religii koszula jest formą kary.
- Dziwna religia! Pieprzeni masochiści. Ot co. Czy na Onaris nie ma psychiatrów?
- Oczywiście, że są. Sam jestem doktorem psychiatrii, ale jak można wierzyć, że zło duszy może być uleczone tak samo jak zło umysłu?
Lekarz nie miał zamiaru angażować się dalej w dyskusje, którą najwyraźniej uważał za absurdalną.
- Proszę się obrócić i pokazać mi plecy.
Bron posłusznie obrócił się. Lekarz przemywał mu plecy spirytusem i odrywał resztki tkaniny. Kilka kawałków zachował do dalszych badań. Przerwał na chwile oglądając z zaciekawieniem krzyż Brona.
- Zrobię teraz zastrzyk. Przy odrobinie szczęścia twoja skóra za kilka godzin będzie wyglądała normalnie. Ale narkotyk może cie trochę odurzyć.
- Doc? Mam się zgodzić?
„Możesz zaryzykować. Nie masz już koszuli, ale na najmniejsze wybrzuszenie skóry drzyj się jak wariat, dopóki cie nie zoperują”. Lekarz odwrócił się do swoich instrumentów. Dopiero wtedy Bron dostrzegł, że w progu stoi ktoś nowy i przygląda się wszystkiemu w milczeniu. Był to wysoki mężczyzna o siwiejących włosach, nadzwyczaj silny i spokojny. Nosił doskonale skrojony mundur wyższego oficera Niszczycieli, ale bez odznak i dystynkcji. Cała jego uwaga była skupiona na Bronie. W jego wzroku było tyle natężenia i przenikliwości, że Bron miał wrażenie, iż synteza jego pseudoosobowości jest tylko płaskim i żałosnym kamuflażem.
- Kto to? - zapytał Bron lekarza.
- Pułkownik Daiquist.
Lekarz i Doc odpowiedzieli jednocześnie. Ale w głosie Doca słychać było niespotykane poruszenie, gdy dodawał: „Bron, mamy szczęście! Martin Daiquist! Prawa ręka Cany”. Bron cofnął reke zanim pistolet hipodermiczny dotknął jego ramienia.
- Musze zobaczyć waszego szefa. Przyniesiono mnie tutaj bez mojej zgody i nie mam zamiaru tu zostać. Żądam, żeby mnie odprowadzono z powrotem do Seminarium.
W oczach lekarza widać było współczucie.
- Jutro ktoś z pewnością ci wytłumaczy, dlaczego nie jest to możliwe. Na razie będziesz robił dokładnie to, co ci się powie.
Jego palce zacisnęły się na ramieniu Brona jak stal. Bron widział pułkownika Daiquista, który pochylony oglądał drzwi i zamek, a potem wyprostował się gwałtownie i uważnie przyjrzał się pomieszczeniu. Bron dostał w tym samym momencie zastrzyk i natychmiast owładnęła nim euforia snu. Do tego stopnia, że nie zauważył, jak Daiquist wziął laser chirurgiczny i wycelował go w zamek.

Rozdział VIII

Może na ołtarzu jakiejś mszy szatańskiej kona złożona w ofierze istota, przykuta do muru, wygięta z bólu. Sztylet szarpiący ścięgna i nerwy oszczędza jedynie wciąż żywą świadomość”.
- Kto to?
„...Po cóż wciąż się modlisz?” Nie wiesz, że Bóg umarł?”
- Kim jesteś? Powiedz albo idę spać?
„Nie rob tego Bron. I tak mam dosyć kłopotów z łącznością. Jestem Ananias”.
- Odczep się. Nie znam cie.
„Nie przypominasz sobie nawet mnie? Zapomniałeś już, że Ananias jest kłamcą?”
- Ananias!? To tylko imię. Niczego nie pamiętam. Musisz być wesołkiem tej grupy. „Często, Bron. Ale na razie nie żartuje. Co ci wstrzyknięto?”
- Antyhistamine czy coś takiego... przeciw alergii. „Ale nie zauważyłeś nazwy na fiolce”.
- Nie. Napełniał pistolet daleko. Daj mi spokój. Chce mi się spać.
„Nie teraz. Raczej źle odpowiedziałeś na sygnał semantyczny. Sądzę, że wstrzyknęli ci jakiś alkaloid hipnotyczny. Może nawet serum prawdy”.
- Odczep się. Chce spać.
„Za chwile. Obawiam się, że zechcą cie przesłuchać we śnie. Nie wiem dlaczego, ale Daiquist wygląda, jakby miał coś do ciebie. Nie możemy całkiem ufać syntezie w przypadku intensywnych badań psychicznych. Jeżeli dojdzie do przesilenia, użyjemy jednego z obwodów dodatkowych, żeby wprowadzić cie w stan katatonii. Oczywiście szybko sobie z tym poradzą, ale może pokrzyżuje im to trochę plany”.
Wysiłek, jaki Bron włożył w rozmowę wyprowadził go ze snu w swoistą półjawe. Próbował otworzyć powieki, lecz bezskutecznie. Leżał wiec z zamkniętymi oczami myśląc, że i tak przecież pokój jest pogrążony w ciemnościach. W końcu osiągnął stan snu na jawie, ale zachował jeszcze świadomość. Fakt, że istniała wieź miedzy snem a przebudzeniem świadczył najdobitniej o tym, że do jego krwi wprowadzono jakiś narkotyk półhipnotyczny.
Czuł się jak człowiek dryfujący na poduszkowcu po leniwej rzece, płynącej w ciemnym tunelu. Brak dotykalnych przeżyć, odpowiadający stanowi przebudzenia wystarczał do stworzenia przekonywającej iluzji. Niczego w niej nie brakowało, nawet szumu wody bijącej o mury.
Nagle nadszedł szok, na który jego system nerwowy zareagował mimo działania narkotyku.
- Ananias!
„Co się stało, Bron?!”
- Ten szum... co to jest? Coś jakby szum rozbijającego się o skały strumyka albo pomruk tłumu. „Słyszę tylko normalny szum statku. Jesteś pewny, że to nie złudzenie?”
- Nie. To dochodzi z pewnością z transferu biotronicznego.
„Niemożliwe. On przekazuje tylko mój głos. Sygnały nadajnika z Antares kontroluje komputer. Nie wykryliśmy nic poza zwykłym szumem gwiezdnym”.
- Ale odbieram coś innego. Coś dziwnego. Rodzaj rechotu.

Czy nie można nadawać na waszym kanale bez naszej wiedzy?
„Źródło sygnału musiałoby istnieć poza progiem czułości odbiornika Antares. Ale gdzie byś je umieścił, Bron? Za tobą jest tylko pustka. Jesteś na skraju galaktyki".
- Nie można zwiększyć czułości odbiorników z Antares?
„Można. Pod warunkiem, że przebudujemy połowę planety. Ciągle słyszysz te głosy?"
- Ciągle, ale mniej wyraźnie. Można powiedzieć, że coraz głośniej słychać sygnały ze statku. „Zgadza się. Muszą przygotować się do odlotu. Nie sądzę, żebyś miał gości przed wejściem na orbitę.
Świetna okazja do przespania się."
- Ananias? „Tak?"
- Czy my się znamy?
„Raczej nieźle. Któregoś dnia przypomnisz sobie".
- A Jaycee... czy ją też znam?
„Tego nie mogę powiedzieć, Bron. To tajemnica".
- Zastanawiałem się tylko, dlaczego wcisnęli mi taką dziwkę.
Starał się rozluźnić, pozwolić na półsen, ale za każdym razem trafiał na te samą mroczną kipiel i budziło go to samo uczucie strachu. Powoli szum niewidzialnego potoku zniknął w echu rzeczywistych, dochodzących teraz zewsząd odgłosów. Pomruk silników wzmógł się niezauważalnie do maksimum i cały statek zaczął drżeć w oszałamiającym rytmie.
Startowali powoli pod wpływem działania promieni wznoszących, dopóki silnik planetarny nie wkroczył z głośnym hukiem do akcji. Ciążenie wzrosło o ćwierć g. Bron usłyszał brzęk kilku, niezbyt dobrze przymocowanych instrumentów. Cały statek wznosił się jednak łagodnie i tylko na zewnątrz rozpętało się piekło.
Bron' zadrżał na myśl o huraganie rozżarzonego do białości gazu, który rył w zniszczonym mieście kilometrowy tunel, o setkach kilometrów budynków, które promienie wznoszące zamieniały w pył.
Każdy z silników miał własny głos, którego „natężenie i timbre zmniejszały się i milkły, ustępując, w miarę jak następowały kolejne fazy startu, miejsca innym dźwiękom. Wreszcie rozległo się wycie górnych warstw atmosfery, które również umilkło, zastąpione ciszą, a później ciężkim pomrukiem głównego napędu grawitacyjnego, który pozwalał statkowi opuścić lokalny system planetarny. Dopiero wtedy przejęły pałeczkę delikatne silniki podprzestrzenne, dzięki którym statek pomknie prosto do celu, uwolniony od problemów masy i przyspieszenia.
Powoli uszy Brona oswoiły się z tymi różnymi dźwiękami i zapadł w sen. Nagle uświadomił sobie, że w pomieszczeniu zabłysło światło i dwóch mężczyzn pochyla się nad nim.
- Ander Haltern.
Było to stwierdzenie, a nie pytanie.
- Mamy wiec naszego synkretyste. Wygląda młodo. Wiesz, Martin, że jest to jeden z najznakomitszych ludzi, jacy żyją ?
- Kiedy go przyniesiono, miał na sobie koszule z pasożytniczych grzybów. Jeżeli jest to szczyt jego możliwości, to wole przeciętność.
W głosie pojawiła się sucha nuta. Czyjaś ręka podniosła krzyż Brona i puściła go zaraz.
- Każdy ma swoje gusta. Przykro mi Martin. Zapomniałem, że nie znosisz starego świata i jego społeczeństwa.
- Każdemu według woli. Nie każdy ma taką pasje jak twoja, a już z pewnością niewielu ma możność zaspokojenia jej w każdej chwili.
- Nigdy nie miałeś najmniejszych zastrzeżeń. W głosie pojawił się ton obronny.
- Teraz też nie mam, drogi Martinie. Podkreślam tylko, że los zrządził pojawienie się tego człowieka, który lubi cierpieć i ciebie, który lubisz sprawiać cierpienie. Dwa krańce tej samej deformacji psychicznej,
Nastąpiła ciężka cisza.
- Chcesz go przesłuchać?
- Nie mam najmniejszej ochoty na wysłuchiwanie opowieści o wzlotach i upadkach tej zacofanej planety. Wiemy, że jest to Haltern. Inaczej nie byłby tutaj w tej chwili. Co się tyczy jego zdolności jako katalizatora, to i tak musimy poczekać do spotkania.
„Bron? Słyszysz mnie?"
- Tak.
„Możesz otworzyć oczy? Mrugnij tylko powiekami. Aparaty są przygotowane. To wystarczy". Poruszył głową jak człowiek, któremu przeszkadza się we śnie i otworzył powieki na ułamek sekunDy.
„Świetnie, Bron. Mamy czego chcieliśmy. Pierwszy to Martin Daiquist. Już go spotkałeś... Drugi zas...
Ha! Ładnie dobrałeś towarzystwo".
- Dobrze, Ananias. Boli mnie głowa, kiedy myślę. „To może i lepiej. Widziałeś samego Cane".

Rozdział IX

Bron obudził się na dźwięk dzwonka, oznajmiającego zmianę wachty. Usiadł na łóżku, walcząc z resztkami snu. Lekarz nie pomylił sie: skórę miał gładką z wyjątkiem kilku skrawków, które rozpadły się pod palcami. Ból ramion i nóg prawie znikł.
- Wszyscy śpią?
„Spać!" - odpowiedziała natychmiast Jaycee z irytacją. ‚Jak można mieć ochotę do spania przy twoim chrapaniu? Jak się czujesz?"
- Jak w Boże Narodzenie w Europie.
„Brawo. Wraca ci pamięć. Chociaż wciąż się zastanawiam jak ty potrafisz cokolwiek pamiętać z Bożego Narodzenia w Europie. Przy twoim tempie picia, nie mówiąc o tym, co sobie wstrzykujesz..."
- Powiedz mi coś o Daiquiscie. Jestem pewien, że podejrzewa mnie o sabotaż drzwi.
„Martin Daiquist. Dziewiąte pokolenie. Zastępca Cany, ale bez wątpienia bardziej bezwzględny. Odpowiedzialny za cztery akcje odwetowe przeciw planetom sprzeciwiającym się Federacji Niszczycieli. Uważaj na niego. Jest okrutny i cwany jak diabeł. Uwielbia kroić ludzi żywcem".
- Nie zapomnę o tym. Co tu robi, razem z Caną?
„Nie mamy jeszcze pewności. Z reguły nie uczestniczą w zwykłych rajdach planetarnych. Albo przygotowują coś poważniejszego, albo zgadli, że Komando interesuje się tym rajdem i postanowili osobiście wywąchać o co chodzi. Jeżeli to właśnie jest prawdą, to nie próbuj znowu swoich wygłupów..."
Jaycee przerwała, bo wszedł lekarz. Podszedł do Brona i zbadał go szybko, ale uważnie.
- Wyszedłeś z tego cało - powiedział - choć na to nie zasługujesz. Tak traktować własną skórę... Każe ci przynieść coś do jedzenia i wyniesiesz się stąd. Następnym razem będę cię operował bez znieczulenia. Zobaczymy do jakiego stopnia jesteś masochistą. Pułkownik Daiquist chce cie widzieć. Nie radze z nim żartować. Nic nie mogę zrobić dla tych, którzy przeszli przez jego łapy.
W chwile później pielęgniarz przyniósł gorący posiłek i Bron zaczął się zastanawiać, od jak dawna nie jadł. Nie mógł sobie przypomnieć. Nie pamiętał niczego, co robił przed atakiem. Pielęgniarz przyniósł mu również ubranie. Lekką tunikę o kroju wojskowym, trochę bielizny i długą białą pelerynę, przeznaczoną bez wątpienia do kąpieli. Uśmiechając się półgębkiem założył bieliznę i pelerynę, odkładając tunikę na bok. Na szczęście płaszcz miał kieszeń wystarczająco dużą, żeby zmieścić w niej Biblie. Resztę rzeczy wrzucił do chirurgicznego pojemnika spalającego, pewny, że takie zachowanie doskonale pasowało do charakteru Halterna.
Chirurg wrócił, żeby zaprowadzić go do Daiquista. Widząc jak jest ubrany nie mógł się powstrzymać od wzruszenia ramionami.
- Trzeba być wariatem, żeby nie robić tego, co ci kazali - powiedział, ale mimo wszystko przyjął jego strój do wiadomości i było to zachowanie podnoszące na duchu.
Daiquist podniósł wzrok, widząc wchodzącego Brona.
- Ach, Synkretysta. Wyglądasz na człowieka w formie.
- Dlaczego jestem tutaj? - zapytał Bron ucinającym tonem. - Żądam, żeby mnie odtransportowano z powrotem do Seminarium.
- O tym nie może być mowy - stwierdził Daiquist pochylając głowę - W żadnym wypadku. Nawet gdybyśmy chcieli, ale oczywiście nie chcemy. Przelecieliśmy kawał drogi, żeby cie odszukać, Haltern.
- Nazywam się Bron.
- Dobrze, Bron. Nie rob sobie tylko złudzeń na temat swojej sytuacji. Jesteś więźniem, tak jakbyś był zakuty w celi. Nie znaczy to jednak, że nie mamy nadziei na uzyskanie twojej współpracy... w późniejszym terminie. Do momentu, aż przekonamy się w stu procentach o twojej lojalności, pozostaniesz pod dobrą strażą. Osobiście wolałbym, żeby cie obdarto ze skóry, ale musiałem wykonać rozkaz. Nie ominie cie to zresztą przy pierwszym biedzie.

Drzwi otworzyły się nagle i równie nagle zamknęły. Do pokoju wszedł Cana. Spojrzał podejrzliwie na Brona i usiadł za biurkiem. Wyglądał bardziej na wysokiej rangi intelektualistę niż na bezlitosnego twórcę, i burzyciela cesarstw.

- Martin... zechciej nas zostawić...

Daiquist przez sekundę zamierzał zaprotestować, ale wreszcie posłuchał w milczeniu, rzucając Bronowi wymowne spojrzenie. Było oczywiste, że istnieje rozbieżność poglądów co do statusu Brona na pokładzie. Daiquist był potwornie wściekły.

Bron został sam na sam z wielkim tyranem kosmosu. Cana milczał, ale z jego postaci emanował prawie hipnotyczny magnetyzm.

- Zazwyczaj - oznajmił wreszcie - nie wtrącam się w sprawy Martina, ale tym razem nie mogę ryzykować oddania synkretysty twojej klasy na żer jego ciekawości. Z każdego punktu widzenia jesteś wyjątkowym człowiekiem. Mógłbyś być użyteczny również dla nas. Ale Martin jest diabelnie podejrzliwy, co zresztą czyni go tak cennym dla mnie. Ma już swoją teorie na twój temat, synkretysto. Podejrzewa, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz.

- Jestem Bron Ander Haltern. Synkretysta z uniwersytetu Adano na planecie Onaris.

- W takim razie z pewnością nie odmówisz odpowiedzi na kilka pytań. A jeśli znajdę w nich najmniejszą nieścisłość, oddam cie w ręce Martina.

- Nie mogę dopuścić, żeby podważano mój dorobek. Odpowiem na te pytania.

Odpowiedź syntezy była słaba, ale Bron uchwycił uczucie, które w niej przeważało i wyolbrzymił je w postawę obrażonego notabla. „Bron, możesz się nie wykręcić z tego. Wołam Andera!”

- Zgoda, Jaycee. Jak dotąd synteza niewiele mi dała. Cana wyjął z teczki stertę papieru.

- Widzisz Bronie Haltern. Wiemy sporo o tobie. Gdzie jest Jeddah?

„Pułapka. Jeddah to miasto na Onaris, ale Haltern pomyślałby od razu o Jeddah Haltern, który umarł”. Głos rozbrzmiewający w głowie Brona był mu nieznany, o wyraźnym akcencie onaryjskim.

- Jeddah nie żyje - powtórzył. - Należał do piątego pokolenia. Gdyby żył dzisiaj, miałby 107 lat. „Bardzo dobrze, ale nie ryzykuj”.

Cana pokiwał głową, nie przestając przeglądać papierów.

- Proszę mi powiedzieć jak brzmiał tytuł raportu, wygłoszonego przez ciebie na 9 Sympozjum Nauk Galaktycznych w Maroku na Priamie?

„9 Sympozjum odbyło się na Meli V, a nie na Priamie. Tam odbyło się 10”.

- O który raport chodzi? - zapytał Bron. - Ten z 10 Sympozjum czy ten z Meli V?

- Ten z Meli V oczywiście - odparł Cana, nie zaglądając nawet do papierów. - Musiałem się pomylić przy czytaniu.

„Zastosowanie Teorii Wyłączenia Parametru Prowadzącego w Opisowej Prognostyce Form Chaosu”. Bron powtórzył słowo w słowo. Cana kiwnął potakująco głową i odłożył papiery na biurko.

- Wiesz, Synkretysto, nie jestem do końca przekonany, że Martin się myli. Ma swoisty instynkt do tych rzeczy, który go rzadko zawodzi. Nie może sobie na to pozwolić, bo często nasze życie zależy tylko od niego. Musze wiec mieć uszy i oczy otwarte. Ale jeżeli nie jesteś Halternem to ci, którzy cie wysłali przygotowali cie bardzo dobrze. Tak dobrze, że to, czy naprawdę jesteś Halternem, czy tylko podszywasz się pod niego nie ma już większego znaczenia.

- A teraz - odparł Bron - proszę o odpowiedz na moje pytanie. Dlaczego Niszczyciele potrzebują tak gwałtownie Synkretysty?

- Nie tylko Synkretysty. Potrzebujemy wszystkich i już ich praktycznie mamy. Ale potrzeba nam przede wszystkim kogoś, kto łączyłby w sobie synkretyzm ze znajomością form Chaosu.

- Po co?

- Za kilka godzin mamy spotkanie. Dopiero potem będę mógł, lub nie, odpowiedzieć na to pytanie. Możliwe nawet, że sam znajdziesz odpowiedź. Na razie masz pełną swobodę w poruszaniu się po pokładzie. Zbrojownia będzie wiec potrzebować twoich odcisków palców. Będziesz mógł wchodzić wszędzie tam, gdzie otworzą się drzwi. Reszta .pomieszczeń będzie zawsze zakazana. Kwatermistrz znajdzie dla ciebie kabinę.

Cana podniósł się i wskazał ręką na drzwi. Bron zrozumiał, że pozostało mu teraz jedynie wyjść. Poszedł bezpośrednio do zbrojowni, gdzie pobrano jego odciski palców i wtłoczono je w schemat komputera sterującego wejściami.

Tytułem próby obszedł cały statek otwierając różne pomieszczenia. Większość drzwi, ku jego zdziwieniu, ustępowała pod dotknięciem palców. Wrócił wiec do swojej kabiny, położył się wygodnie na koi i połączył ze swoimi niewidzialnymi sprzymierzeńcami.

- Jaycee?

„Nie. Ananias. Nasza mała dziwka poszła coś przekąsić. Jej zwykłe menu składa się bez wątpienia z rozbitego szkła i jadu żmii. Co sądzisz o tej swobodzie, którą cie tak hojnie obdarzył Cana?”

- Nie jestem niczego pewny. Musze się dowiedzieć dlaczego? Jeżeli się nie mylę, to zostawił mi akurat tyle sznura, żebym mógł się powiesić. Jedyne miejsca, do których nie wolno mi zajrzeć to arsenał, centrala łączności i cześć systemu komputerowego. To zbyt piękne. Mogę się założyć, że obliczają każdy mój krok.

„A sterownia? Musimy jak najszybciej poznać cel lotu”.

- Jeszcze nie próbowałem. Nie chce być zbyt ciekawski. Zresztą przewidziano spotkanie w kosmosie i najprawdopodobniej pierwszy cel zostanie zmieniony. Kiedy zaczną przygotowywać się do skoku podprzestrzennego zdobędą współrzędne bezpośrednio z matryc, bez wchodzenia do sterowni.

„To jest myśl! Pamiętaj, że nie mają zbytnich powodów, żeby się ciebie obawiać. Jak długo trzymają cie z dala od sali łączności nie mają się czego obawiać. System łączności biotronicznej jest jak dotąd jedyny w swoim rodzaju i nikt nie podejrzewa jeszcze jego istnienia”.

- Chciałbym być tego pewien. Ten szum, który odbierałem wciąż mnie niepokoi. Ktoś używa naszej częstotliwości. To nie były szumy międzygwiezdne czy zakłócenia.

„Nasze aparaty nie mogą znaleźć żadnego źródła w pobliżu statku. Wysunięto natomiast hipotezę sygnału heterodynowego z pokładu”.

- To nie wchodzi w rachubę. Mówiłem już, że te głosy miały charakterystykę inteligencji posiadającej bardzo zaawansowany system łączności.

„Zajmę się tym, chociaż jestem przekonany, że się mylisz. Ale co się dzieje z silnikami?” Bron wsłuchiwał się przez chwile uważnie.

- Chyba silniki hamujące. Może zbliżamy się do punktu spotkania? „Spotkanie? Z kim?”

- Jeszcze nic nie mówiono na ten temat. Żadnych aluzji. Podejrzewam, że chodzi o spotkanie z głównymi siłami.

„Ciekawe po co? Nigdy przecież nie zaryzykują wejścia w podprzestrzeń całą formacją... Wiec dlaczego mieliby się przegrupowywać przed skokiem?”

- Wygląda na to, że ogłosili alarm generalny.

„Lepiej nie interesuj się tym zbytnio. Poczekaj na spotkanie”.

- Wydajesz mi rozkazy, Ananias? „Właśnie. Już zapomniałeś jak je przyjmować?”

- Umówmy się. Tutaj ja działam, ryzykuje własną skórą i to moja powlokę cielesną wyrzucą za burtę, kiedy ta mała gra towarzyska źle się skończy. Pytaj mnie o dowolne informacje, ale pozwól, że sam wybiorę sposób i moment ich zebrania. Oczywiście, jeżeli chcesz mieć marionetkę... to ją sobie kup.

„Spokojnie żołnierzyku” - wycedził groźnie Ananias. „Nie wmontowaliśmy ci w łepetynę tylko jednej elektrody. A konsola sterująca nimi jest tuż przede mną. Chcesz, żebym ci przeczytał napisy... Stan katatonii, znieczulenie z utrzymaniem świadomości... Kara... Śmierć... Oczywiście nie jest to napisane tymi słowami - jesteśmy zaciekłymi zwolennikami symboli we wszystkim, co odnosi się do prozaicznych i bolesnych aktów, związanych z istnieniem człowieka. Możemy na przykład nalegać na zdyscyplinowanie...”

- Zapomniałeś o jednym przycisku, Ananias. „Nie sądzę”.

- Bawisz się w Boga i nie przewidziałeś symbolu zmartwychwstania?

Rozdział X

Napęd grawitacyjny został nagle wyłączony i na statku zapanowała cisza, zakłócana zaledwie kilkoma odgłosami z wnętrza. Tablice alarmowe wciąż wzywały personel na stanowiska. Bron wyszedł ze swej kabiny. Przez kilka następnych minut korytarze były zatłoczone spieszącymi się ludźmi. Bron odsuwał się właśnie na bok, kiedy usłyszał, że ktoś go woła. Człowiek zasalutował służbiście.

- Mistrzu Haltern... Cana chce, żebyś przyszedł do niego do sali nawigacyjnej.

Kiwnął głową, starając się zanalizować postawę tego człowieka. Wyglądało na to, że instrukcje nakazywały traktować Brona jako normalnego oficera. To podkreślało tylko wagę, jaką Niszczyciele przywiązywali do mistrza synkretyki.

- Powiedz, Ananias - zapytał tknięty nagłym przeczuciem. - Co was przekonało, że Haltern jest jedynym obywatelem Onaris, którego mogą wybrać Niszczyciele.

„Znajomość środowiska intelektualistów i spora doza intuicji. Dlaczego pytasz?”

- Bo cały ten plan nie ma nic wspólnego ze zbiegiem okoliczności. Musieli na pewno mieć bardzo wyraźny powód, żeby porwać właśnie Halterna i nikogo więcej, a wy musieliście znać ten powód. Jestem tego pewien. Chce wiec znać dokładne fakty.

„Wszystko już wiesz”.

- Kłamczuch!

Dosłyszał dyskretny śmiech.

„A wiec... pamiętasz jednak trochę Ananiasa”.

- Wiem tylko, że nie mogę ci ufać. Zastanów się... Tworzymy ekipę i jestem waszym agentem. Mam wiec prawo żądać wszystkich potrzebnych informacji. Powiedz Docowi, że potrzebuje szczerej i pełnej odpowiedzi na to pytanie. Wszystko, czego się dotąd dowiedziałem wydaje mi się mocno wątpliwe.

Atmosfera w sali nawigacyjnej była bardzo napięta. Nawet ci, którzy nie mieli służby, byli zgromadzeni wokół ekranów. Daiquist i Cana stali na stanowisku dowódczym, wpatrując się w punkciki gwiazd.

Podnosząc głowę Daiquist dostrzegł Brona. Zmrużył na chwile powieki, po czym dał mu znak, żeby sie zbliżył. Był pochłonięty obliczeniami. Wyglądało na to, że czas jest najważniejszym elementem mającego nadejść zdarzenia, bez względu na jego naturę. Bron postanowił obserwować pomocniczy ekran kontrolny, co pozwalało mu jednocześnie mieć oko na wszystkich. Na ekranie widział robiący duże wrażenie obraz błyszczącego pierścienia statków, tworzących flotę Niszczycieli.

Mijały minuty, w czasie których napięcie rosło coraz bardziej. Wreszcie kontroler wykrzyknął:

- Myślę, że już go mam.

I zaraz wyostrzył obraz na prawie niewidoczny jeszcze obiekt i głośno podał współrzędne. Daiquist i Cana pochylili się ponad jego ramieniem, a wszystkie czujniki skierowały się na cel, który wciąż był poza zasięgiem większości z nich i nie dawał się jeszcze wyraźnie odróżnić od zakłóceń. Ale po kilku sekundach komputer zsyntetyzował prawdziwy obraz.

- Zgadza sie!

Cana zapoznał się z wydrukiem komputerowym, podającym wyniki porównań z danymi pamięci głównej. Daiquist natomiast wrócił do swoich pomiarów czasowych.

- Tylko 16 godzin spóźnienia - stwierdził wreszcie - Dokładność pozycyjna zadowalająca. Dokładność czasowa polepsza się.

- Sądzę, że powinniśmy sobie pogratulować posiadania przynajmniej tych dwóch pewności co do form Chaosu - powiedział Cana. - Robie się już za stary na igranie z entropią.

Jego oczy spoczęły nagle na Bronie i ich spojrzenia skrzyżowały się z taką mocą, że Bron poczuł szok.

- Mam dziwne przeczucie na twój temat, synkretysto. Robisz wrażenie kogoś, kto wie, co to Chaos. Zaczynam się zastanawiać czy twoja obecność tutaj nie została obliczona tak samo jak... to.

Wskazał na ekrany. Bron nie odpowiedział, zafascynowany widokiem. Najpierw zobaczył prostokątną płaszczyznę. Coś w rodzaju drzwi, kręcących się wolno w przestrzeni. Później dostrzegł szczegóły, które szybko stawały się coraz wyraźniejsze. Dawało to wyobrażenie o szybkości obiektu.

Wreszcie wszystkie kształty stały się widoczne. Bron rozróżnił siedem długich cylindrów, grubych i czarnych - podobnych do butli, używanych niegdyś dla przechowywania gazu pod ciśnieniem. Były one mocno złączone ze sobą wokół głównej osi. Żadnych instrumentów, anten, baterii słonecznych - nic z bogatego wyposażenia, które umieszczano na automatycznych sondach kosmicznych. Obiekt bardziej przywodził na myśl starość f solidność niż postęp techniczny. Z tych porzuconych bez celu czarnych cylindrów emanowało coś strasznego.

Sondy pokazywały teraz wszystkie szczegóły obiektu. Widać było wyraźnie masywne spawy na złączach. Gdyby ktoś wyrwał jakiś fragment z fabryki gazu i wyrzucił go w kosmos, to efekt byłby podobny. Kurs obiektu nie wydawał się jednak przypadkowy. Świadczyła o tym wyjątkowa dokładność, z jaką technicy dokonywali pomiarów. Wyglądało na to, że uczestniczą w wydarzeniu historycznym, kapitalnym i dramatycznym, ale każdy z obecnych na sali nawigacyjnej był zbyt zajęty, żeby cokolwiek wyjaśnić.

Bron wstrzymał okrzyk w chwili, kiedy olbrzymia wirująca masa zajęła cały ekran, jakby miała rozbić się o statek. Czujniki zmniejszyły ogniskową i obiekt oddalił się, błyszcząc samotnie w ogromnym pierścieniu statków Niszczycieli.

Cana nie odrywał oczu od ekranów i czerń kosmosu wydawała się przenikać na jego twarz. Nagle podniósł się i odwrócił. Podszedł do Brona i oznajmił poważnym tonem:

- Przyglądaj się uważnie, Synkretysto. Chciałbym później porozmawiać z tobą.

Bron zaintrygowany zajął wolny fotel przed głównym ekranem. Powoli obiekt malał, wciąż śledzony przez czujniki. Regularnie cały obraz wydawał się skakać do przodu w momencie zmiany ogniskowej. Niebezpieczeństwo oddalało się, ale napięcie na pokładzie nie malało. Uwaga Brona była do tego stopnia skupiona na cylindrach, że nie zauważył tego, co stawało się tłem ekranu.

„Onaris” - głos Ananiasa wyrwał go z rozmyślań. „Powiększ obraz, Bron”.

Wykonał polecenie i ze zdumieniem zrozumiał, że mgliste linie, które dotąd lekceważył, oznaczały zarysy mórz i kontynentów planety. A czarne cylindry niewzruszenie kontynuowały swoją drogę przez siatkę współrzędnych ekranu. Szczegóły powierzchni Onaris stawały się coraz wyraźniejsze.

Cios był niesamowity.

Kula ognia, która utworzyła się w przestrzeni musiała być równie wielka, jak sama planeta. Była to gotująca się kula plazmy, która rozprzestrzeniała się z niewiarygodną szybkością. Bron miał wystarczający zasób wiadomości z fizyki, żeby wiedzieć, iż atmosfera planety została zmieciona w kilka sekund. Później nastąpiła synteza termojądrowa. Ognista kula ścieśniła się, zmieniając kolor z czerwieni na żółty, a na jej obrzeżach pojawiła się eteryczna aureola w kolorze niebieskim. Na chwile powrócił widok planety. Brąz i jasna zieleń kontynentów zamieniły się w ceglastą czerwień oświetloną ogniem palących sie oceanów.

Później planeta pękła i otworzyła się łagodnie, jakby w zwolnionym tempie. Jej płynne serce, złożone z ciężkich metali zajęło miejsce ognistej kuli, wznosząc rozbijające się o szkielety kontynentów tumany materii. Skorupa planety skruszyła się wreszcie, a bloki kontynentów wypadły jak trafione statki, rozpadając się w potoku elementów tonących w morzu syntezy termojądrowej.

Bron nie mógł sobie przypomnieć godzin, które nastąpiły po zakończeniu tego niesamowitego widowiska. Był szkolony, żeby przyjmować bez problemów śmierć pojedynczych ludzi. Śmierć narodów często była wynikiem wojen. Czasem całe rasy i gatunki były niszczone w imię tej lub innej sprawy... ale unicestwienie całej zamieszkałej planety sprowadzało człowieka i jego role we Wszechświecie do wymiarów prostego doświadczenia laboratoryjnego, do poziomu kolonii bakterii, którą wyrzucało się po zakończeniu eksperymentu.

Rozdział XI

Zgoda, Ananias. Widziałem. A teraz mi to wytłumacz - zażądał Bron twardym tonem. „A czemu przezwano ich Niszczycielami, co?”

- Wiec skąd nadleciała bomba? Na pewno nie należała do tej floty.

„Jasne. Statek przewożący taką bron nie może uczestniczyć w rajdzie planetarnym. Nie sądzę nawet, żeby zostawiali go na orbicie. Myślę, że powinien zostać w kosmosie. Po zakończeniu rajdu przeprowadzają masowe bombardowania, żeby zatrzeć ślady”.

- Nie wyobrażam sobie Cany usiłującego zacierać ślady. Jest na tyle silny, że nie musi przejmować sie opinią innych.

W ciągu pięciu lat patrole odkryły 37 zamieszkałych planet, które zostały zamienione w pas asteroidów. 11 planet wyposażonych w nadajniki podprzestrzenne nadało przed zamilknięciem informacje o ataku Niszczycieli. 5 innych nadało podobne sygnały na falach świetlnych. Niektóre odebrano w trzy lata po zniszczeniu planety”.

Bron milczał przez chwile.

- Ile osób zamieszkiwało Onaris? „Ze dwieście milionów”.
- Jeżeli wiec wiedzieliśmy, że Niszczyciele nadlatują, to dlaczego nie oczekiwała ich nasza flota? Czemu byłem tam sam?
„Flota czekałaby na nich, gdybyśmy wiedzieli, że Cana i Daiquist będą obecni osobiście. Dopiero niedawno podjęliśmy odpowiednie kroki, żeby odkryć ich bazę”.
- Przecież to kosztowało życie 200 mln ludzi! Cóż to za kroki? Czyjaś ręka dotknęła ramienia Brona. Był to Daiquist.
- Wyglądasz na zamyślonego, Synkretysto... Nigdy nie oglądałeś zniszczenia planety?
- To była Onaris - odparł Bron martwym głosem. - Nic z niej nie zostało. Czemu, na Boga, musieliście to zrobić. Przecież dostaliście wszystko, czego szukaliście.
- Przeciwnie. Skłonny jestem uważać, że przywozimy więcej, niż szukaliśmy. Wprawiasz mnie w dziwny nastrój, Synkretysto. Niezbyt często mam do czynienia z intelektualistami, ale intelektualista o wyglądzie i zachowaniu żołnierza musi być pilnowany. Osobiście wole nie ryzykować. Wolałbym nawet zabić cie natychmiast, ale Cana zdecydował inaczej. Radze ci nie drażnić go.
- Ciągle nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego uznaliście za konieczne zniszczyć Onaris?
- Może jesteś Synkretystą - stwierdził Daiquist - ale musisz się jeszcze wiele nauczyć. Chodź. Cana oczekuje cie w swojej kabinie. Damy ci okazje wykazania się współpracą.
- Współpracą? Boże! Sądzicie, że będę współpracował po tym?! - Bron wyciągnął rękę w stronę czerwonawej kuli, która była planetą Onaris. - Wole umrzeć!
- Też tak uważam. Niestety nie ja o tym decyduje. Posłuchaj uważnie tego, co powie Cana. Myślę, że zmienisz zdanie.
- Haltern nie poddaje się tak łatwo. Idź do diabła, Daiqiust. Jeżeli chcecie mnie zabrać, to polecę w ładowni.
Pseudoosobowość syntezy działała jeszcze, chociaż bardzo słabo.
- Nie masz wyboru - burknął Daiquist sięgając po broń. - To niezbyt rozsądne kazać czekać Canie. Gdybyś miał ochotę stawiać opór wiedz, że nie strzelam nigdy żeby zabić.
Bron wstał i w milczeniu poszedł przed Daiquistem, który wciąż trzymał broń w reku. Ze zdziwieniem stwierdził, że drzwi Cany ustąpiły pod jego palcami. Cana oczekiwał, siedząc za dużym biurkiem, pochylony nad wydrukami z komputera. Podłoga wokół niego była zawalona taśmami.
- Ach! Synkretystą! - Cana wstał i nogą zgarnął cześć taśm w jedną kupę. - Martin! Zostań z nami.
- Tak będzie rozsądniej.
Daiquist usiadł i wskazał Bronowi sąsiedni fotel.
- Sądząc po twojej minie - zaczął Cana - widziałeś, co się stało z Onaris.
- Tak, widziałem. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego uznaliście to za konieczne. Przecież dostaliście to, co chcieliście zabrać.
Cana zmarszczył brwi, nie odpowiadając natychmiast. Był do tego stopnia skoncentrowany, że Bron nie był w stanie przeniknąć jego myśli.
- Bez wątpienia nie zrozumiesz tego, ale właśnie dlatego, że zdobyliśmy to, co chcieliśmy, Onaris musiała zginąć. Dopiero po tym, jak dana planeta jest zniszczona w kilka godzin po naszym odlocie upewniamy się, że nasz rajd był sukcesem.
Bron nie od razu odpowiedział, zaskoczony tym paradoksalnym wyznaniem. Jego wzrok spoczął na Canie.
- To nie ma najmniejszego sensu.
- Dla nas ma. Próbuje właśnie wyjaśnić ci, że to nie my jesteśmy autorami tych ataków... ktoś inny wysłał te bombę termiczną.
„Bron! On kłamie!” - stwierdził Ananias z przekonaniem.
- Chyba nie sądzicie, że w to uwierzę?
- Nie. Z pewnością nie w takich okolicznościach. Znam twoje możliwości intelektualne i doskonale rozumiem, że nie możesz przyjąć takiego założenia bez dowodów. Zapraszam cie wiec do zebrania dowodów i ich analizy. Sam wyciągniesz wnioski.
- W jaki sposób?
- Pozwalam ci, a nawet polecam, sprawdzenie wszystkich zapisów zgromadzonych na pokładzie dowolnego statku tej floty w celu ustalenia pochodzenia pocisku, który zniszczył Onaris. Zwracam uwagę na dwa punkty. Po pierwsze, mimo że jego trajektoria była poprawna, wybuch nastąpił z opóźnieniem 16 godzin. Po drugie - Cana obrócił się twarzą do Brona, podczas gdy Daiquist podniósł wyżej wycelowaną w niego broń -... będziesz miał dostęp do wszystkich zapisów wideo i do wszystkich danych, jakie posiadamy... To dla umożliwienia obliczenia punktu, w który ten pocisk uderzył. Jest rzeczą pewną, że jego skutki były identyczne, gdyby trafił gdzie indziej, ale sądzę, że sam się przekonasz, że ten pocisk trafił dokładnie w miejsce, w którym znajdowałeś się na Onaris... przed 16 godzinami. Dopiero wtedy przekonasz się Bronie Haltern, że ten pocisk nie był nakierowany na Onaris, czy moją flotę. On był przeznaczony dla ciebie - jedynie dla zabicia twojej osoby.

Rozdział XII

„Co o tym sądzisz, Bron?” - Nie jestem pewien, Jaycee. To może być rodzaj skomplikowanej gry, strategii mającej na celu zapewnienie sobie współpracy porwanych intelektualistów... Ale Cana mógł również być całkowicie szczery, kiedy twierdził, że Niszczyciele nie są odpowiedzialni za te anihilacje.
„Ananias nie wierzy w to. Zmienił się w zwierze, kiedy usłyszał, że zgodziłeś się dokonać obliczeń”.
- Nie jestem pewien, czy mogę mu ufać bardziej niż Canie. Czy nagrywacie wszystkie nasze rozmowy?
„Tak, obraz i dźwięk. Na wszelki wypadek. A czemu pytasz?”
- Powiedz Docowi, że chciałbym przesłuchać moje rozmowy z Ananiasem. Mam niejasne wrażenie, że nie udziela mi dobrych odpowiedzi.
„Mmm... Nawet amnezja nie wyleczyła cię z nieufności. W przypadku Ananiasa dobrze jest pamiętać, że to bardzo niebezpieczny facet”.
- Ja także, Jaycee. Co do tej misji, to wydaje mi się ona samobójcza, wiec nie mam niczego do stracenia. Zrobisz to, o co cie prosiłem?
„Z przyjemnością. Marze o znalezieniu czegoś, co napędzi stracha temu szatańskiemu debilkowi”.
- Wiec nie odchodź, bo zaczynam sobie przypominać różne szczególiki na temat generała Ananiasa.
W sekcji komputerów przydzielono Bronowi miejsce przy głównym pulpicie. Do swojej dyspozycji dostał również dwóch programistów i technika wideo, którzy natychmiast dostarczali mu wszelkich informacji. Od tej pory polegał bardziej na sobie niż na pseudoosobowości Halterna. Badał precyzyjnie informacje potrzebne do napisania programu ustalającego pochodzenie pocisku. Brakujące dane nadchodziły od wszystkich statków floty. Obiekt przeszedł przez środek pierścienia utworzonego przez Niszczycieli i Bron wypytywał o informacje każdy ze statków.
„Cana nie wykręci się z tego tak łatwo, Bron. Byle informatyk mając dane, które ty posiadasz, udowodni mu kłamstwo”.
- Chyba, że komputer jest sterowany. Nie mam dostępu do większości jego urządzeń. Mogą spokojnie fałszować obliczenia, żebym obliczył to, co chcą.
„Właśnie dlatego przeliczamy ponownie wszystkie dane. Wsadzimy wszystko w nasz komputer i obliczymy odchylenie”.
- Bardzo dobrze. Prawie skończyłem program lokalizacji i zaraz go uruchomię.
„Musimy trochę uporządkować dane według naszych norm, ale nie będziemy zbyt spóźnieni”. Bron zawołał technika.
- Co z tym nagraniem wideo?
- Prawie skończyłem. Gdyby pan zechciał przejść do sali projekcyjnej.
Bron jeszcze raz rzucił okiem na swoje obliczenia, zanim oddał je programiście. Wszedł do sali kinowej, gdzie czekał na niego technik.
- Zrobiłem zbitkę dwustu ujęć przed wybuchem. To daje ostatnie cztery sekundy lotu.
- Ruszamy.
Bron usiadł na fotelu przed baterią ekranów. Technik spojrzał na niego z ukosa i uśmiechnął sie widząc, że Bron jest fachowcem w tej dziedzinie.
- Puszczam na główny ekran, panie Haltern.
- Mówi się do mnie Mistrzu - zauważył sucho Bron. - Masz te fotografie z rozpoznania Ashur?
- Jest na diapozytywie. Kiedy tylko zakończymy sondowanie, nałożymy ją na montaż.
- Nie chce montażu. Chce, żeby obraz sondy szedł razem z projekcją zwiadu.
- Aha... Zbijając oba w tym samym powiększeniu można uzyskać dokładność kilkuset metrów.
- Żebym miał absolutną pewność, to dokładność musi wynosić 1 metr. Technik gwizdnął przez zęby.

- To niemożliwe, Mistrzu.
- Mów mi Bron.
Technik uśmiechnął się szeroko.
- Ja nazywam się Camaj. Nie jesteś amatorem, Bron. Można powiedzieć, że wiesz co i jak. Pracowałem nad mnóstwem zbitek, ale nigdy nie doszedłem do takiej precyzji.
- Ale możesz ją uzyskać?
- Dokładność jednego metra z odległości 30 milionów kilometrów? Żartujesz chyba.
- Z pewnością nie, Camaj. To musi być tak dokładne, żebym pozbył się wątpliwości.-
- A wiec powiedz, jak to zrobić. Chce to zobaczyć.
Na ekranie pojawił się powtarzany w kółko widok ostatnich czterech sekund przed wybuchem bomby termicznej. Onaris za chwile miała zniknąć. Miasto Ashur pojawiało się na chwile, jako mglisty zbiór brązowych i szarych form. Obraz nabierał sensu dopiero po pojawieniu się szczegółów. W środku ekranu obracał się powoli czarny pocisk, który za ułamki sekund miał zamienić się w centrum reakcji termojądrowej.
Na tamten obraz nałożono holograficzny widok planety transmitowany tuż przed katastrofą przez jeden ze statków na orbicie. Tu widać było szczegóły powierzchni. Budynki, pojazdy, a nawet maleńkie punkciki ludzkie. Technik wyregulował powiększenie i oba obrazy zaczęły nakładać się na siebie. Po pół godzinie mikrópoprawek Bron uzyskał to, co chciał.
- Jaycee, jaka była dokładnie moja pozycja na 16 godzin przed wybuchem.
„Byłeś uwięziony w zachodniej części kościoła Świętej Relikwii. Komando Niszczycieli właśnie miało cie uwolnić".
- Zgadza się. To coś więcej niż zbieg okoliczności. Nie lubię przypadków, które można mierzyć w mikronach.
Technik obserwował go w milczeniu.
- Zadowolony jesteś, Camaj?
- Przekonałeś mnie. Bede stosował te metodę. To wszystko? Bron przytaknął.
- Wystarczy. Jak, u diabła, można wystrzelić pocisk termiczny z taką dokładnością? Camaj wzruszył ramionami.
- Ty jesteś Synkretystą. Ja zastanawiam się głównie nad tym, w jaki sposób ten pocisk przeleciał przez atmosferę i nie spłonął. Przecież nie miał żadnej ochrony.
- Jaycee! Słyszałaś?
„Tak, Bron. My również na to wpadliśmy. Osiągi są wspaniałe, ale równie wspaniała jest natura tej broni. Przy tej szybkości pocisk powinien doszczętnie spłonąć w atmosferze. A on nawet się nie nagrzał".
- Kolejny powód, żeby znaleźć jego właściciela. -
Bron zwolnił technika i wrócił do sekcji komputerowej. Wydruki były już przygotowane. Komputer podawał wszystkie znane obiekty leżące na trasie pocisku. Po krótkim rzucie oka na skale czasu Bron odkrył źródło i serce zaczęło mu bić gwałtownie.
Zwmął wysuniętą z drukarki kartkę nie patrząc na wynik. „Bron, przeczytaj mi wynik" - zażądał skrzekliwie Ananias.
- Najpierw chciałbym usłyszeć wasze wyniki. „Nie musze ci odpowiadać. To rozkaz".
- Odczep się. „Ty stara..."
Glos Ananiasa urwał się nagle. Potem dały się słyszeć strzępy cichej rozmowy, której Bron nie rozumiał. Wreszcie usłyszał znowu głos Jaycee.
„Przykro mi, Bron. Ananias miał zamiar wykręcić jakiś numer. Nie sądzę, żeby zaczął jeszcze raz... w każdym razie nie w ten sposób. Co do naszych wyników... Sądzimy, że gdzieś w kosmosie jest statek. Gdzieś w próżni miedzygalaktycznej. Tensor pozycyjny zastosowany przez nas niczego nie znalazł. Jedyne rozsądne źródło znajduje się w galaktyce Messier 31".
- Spiralna mgławica Andromedy?
„Nic innego. Co odpowiada trajektorii lotu wymagającej 700 milionów lat. Można wiec odrzucić to rozwiązanie".
Bron rozwinął kartkę ze swoim wynikiem.
- To zgadza się z moimi obliczeniami. Komputer nie fałszował.
„Cana musi wiec mieć gdzieś w przestrzeni statek z bombami termicznymi".
- Z pewnością istnieje jakiś statek, ale byłbym ostrożny z przypisywaniem go Canie. „Co chcesz przez to powiedzieć?"
- Droga Jaycee. Cana wysłał swoich ludzi prosto do Seminarium, bo spodziewał się, że będzie tam Haltern. Było to posuniecie logiczne, oparte na posiadanych informacjach. Ale kiedy wysyłano ten pocisk, nawet Cana nie mógł znać dokładnego miejsca pobytu Halterna. Właśnie... Jedynymi osobami znającymi na bieżąco moją pozycje są Doc Veeder, Ananias... i ty...

Rozdział XIII

Ananias odwrócił się od ekranów z wyrazem absolutnego zdegustowania i dezaprobaty. - Można powiedzieć, że wspaniale sobie z nim radzisz, moja piękna. Niech zmontuje jeszcze jeden taki kryzys, a przysięgam, że wyrzucę cie na bruk. Wątpię, żebyś zrobiła tam karierę nawet będąc taką żmiją.
- Spieprzaj, żałosny karzełku!
Ananias odruchowo spojrzał na swoje galony. Miał wilgotne wargi, a oczy błyszczały mu gwałtownie.
- Nie doceniasz mnie, ty flądro!
- Majaczysz, Ananias. Będziesz miał szczęście, jeśli zachowasz stopień, kiedy Doc skończy z tobą. Potrzebował dobrej sekundy, zanim słowa Jaycee dotarły do niego.
- Powtórz. Tylko powoli. Jego ton był pełen nienawiści.
- Nie udawaj niewiniątka. Doskonale wiesz, że regulamin zabrania niszczenia zapisów.
- Co?
W pierwszym odruchu złości Ananias podniósł dłoń, zamierzając ją uderzyć, ale zaraz przypomniał sobie, że Jaycee najprawdopodobniej złamie mu rękę, zanim on cokolwiek zdąży zrobić.
- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał już spokojniejszym tonem.
- Pytania Brona.
Jaycee delektowała się jego coraz widoczniejszym zaniepokojeniem.
- Doc o tym wie?
- Oczywiście. Wysłałam nawet oficjalny raport do centrali, żebyjnu nie wpadło do głowy zmienić zdania.
- To czysty idiotyzm... Doc nie powinien tego robić. Mam wszelkie pełnomocnictwa Sztabu Generalnego, a to oznacza, że nikt nie może mi przeszkodzić. Jeżeli mam ochotę zniszczyć cześć, czy nawet całość nagrań, to lekarz Veeder ani ty nie macie nic do powiedzenia.
- Tu się mylisz.
Veeder wpadł do pokoju z czerwoną twarzą.
- Przypominam ci, generale Ananias, że znajdujesz się w pomieszczeniach należących do Komanda.
- A ja przypominam - odparował Ananias - że jesteście zaangażowani w operacje wywiadowczą kierowaną przez Sztab Generalny. Oznacza to, że podlegacie mnie i nie mogę powiedzieć, żeby wasza dotychczasowa praca zrobiła na mnie korzystne wrażenie. Ta piękna, co tam siedzi, nie daje sobie nawet rady z własnym agentem. Co do Brona... to jest on chory psychicznie: szok, amnezja, schizofrenia i mania prześladowcza, nie mówiąc już o nieposłuszeństwie i rebelii.
- Boże! Do twarzy ci z tą chorobą psychiczną - krzyknęła Jaycee. - Powiedz, skąd wziąłeś te manie . prześladowczą, Ananias. Nic takiego nie zauważyłam. A może to było na tych nagraniach, które zniszczyłeś?
- Słuchaj uważnie - warknął Ananias. - Mówiłem już, co z tobą zrobię. Co się tyczy Doca, to sądzę, że przyspieszona emerytura z minimalną pensją będzie najodpowiedniejszym rozwiązaniem. Od jutra wywiad przejmuje wasze obowiązki.
- Możesz zdechnąć, Ananias - złość Jaycee udzieliła się Veederowi. - Na moją prośbę szefostwo Komanda potwierdziło, że to ja dowodzę sekcją operacyjną tej akcji. Ty jesteś dopuszczony jako doradca. Po prostu toleruje cie u siebie.
- Zaskarżę te decyzje. Powiadomię Sztab. Nie wygrasz. Nie masz żadnej szansy.
- Może, ale dopóki rozkazy nie ulegną zmianie nie będziesz niczego niszczył ani nie będziesz sie wtrącał w rozwój operacji.
- A jeśli jednak?
Na twarzy Veedera pojawił się dyskretny uśmiech, co oznaczało w jego przypadku tryumf.
- W takim wypadku, generale Ananias, zostaniesz zatrzymany i umieszczony w areszcie Komanda do czasu przekazania cie do dyspozycji Rady Wojennej.
- Nie masz prawa mnie zatrzymać.
- Zaryzykuje, jeśli to będzie konieczne dla zapewnienia powodzenia operacji.
- Trafiony! - krzyknęła Jaycee tonem, który w żadnym wypadku nie mógł polepszyć humoru Ananiasa.
Patrzył na nich pobladły. Przez sekundę nie wiedzieli, czy się

rozpłacze czy roześmieje.

- Nie wywiniecie się z tego tak łatwo - stwierdził wreszcie. - W ciągu tygodnia ta sekcja będzie mi całkowicie podległa.

Jaycee odparowała mu natychmiast.

- Nie potrzebujemy tygodnia. W każdej chwili Bron może zdobyć współrzędne. Taki był cel operacji, prawda? Zlokalizować bazę Niszczycieli. Potem trzeba będzie tylko strzelać.

- To nie wszystko, pięknisiu. Wcześniej musze uregulować stare porachunki. Tym razem zaatakował Doc.

- Zanim to zrobisz Ananias, zechciej odpowiedzieć na kilka pytań.

- Na przykład?

- Te zakłócenia, które odbierał Bron... i do których nie przywiązywałbym żadnej wagi, gdybyś nie starał się zniszczyć tej części nagrania.

- Co jeszcze?

- Skąd miałeś pewność, że Ander Haltern był jedynym człowiekiem z Onaris, którym zainteresują sie Niszczyciele.

Ananias został ponownie trafiony.

- Sądziłem, że wszystko zostało...

- Wymazane? Niestety. Przekaz z Antares zabezpiecza Służba Łączności Komanda, która dubluje nagrania.

- To musi się skończyć!

- Podaj wiec jakiś powód.

- Istnieje powód.

- Jaki? Komando wydało ćwierć sześcioletniego budżetu na zorganizowanie tej operacji. Najlepszy mój agent znajduje się na pokładzie statku Niszczycieli. Jeżeli istnieje jakiś nieznany nam element, musisz go podać. Jestem pewien, że Komando nigdy nie zgodziłoby się na współprace, gdyby miało najmniejsze podejrzenie, że ukrywa się przed nim jakieś informacje.

- Istnieją różne stopnie tajności, a ten jest najwyższy z możliwych. Im mniej ludzi będzie wiedzieć tym lepiej.

- Kłamiesz. - Nawet Veeder zdziwił się zacietrzewieniu Jaycee. - Wiem dobrze, kiedy kłamiesz, bo wyglądasz wtedy jakbyś naprawdę był człowiekiem. Boże! Bezpieczeństwo jest dla ciebie tylko słówkiem, które ma cie wyciągnąć z kłopotów. Coś kombinujesz i jest to znowu jakieś świństwo.

- Moja piękna - powiedział Ananias. - Nawet taka żmija jak ty powinna uważać na to, co mówi.

- Zamknij się, wstrętny szantażysto. Nie zastraszysz mnie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że mogę cie zniszczyć, kiedy zechce?

- Co chcesz powiedzieć?

- To ty przygotowywałeś pseudoosobowość Brona i kody semantyczne kontroli. Ale ja z Bronem przygotowaliśmy kilka własnych zabezpieczeń. Jednym słowem mogę go postawić w defensywie i odmówi wszelkiej współpracy bez względu na to, co zrobisz. Co ty na to, Ananias?

- Odejdź od stanowiska kontroli, Jaycee. To rozkaz.

- Idź w diabły, Ananias - dorzucił Veeder.

- Jak skończycie te prywatną wojnę domową - zabrzmiał w głośnikach drwiący głos „Brona - to może raczycie popatrzeć na mnie. Spróbuje ustalić współrzędne ich bazy z matrycy podprzestrzennej. Jestem gotowa".

Jaycee tkwiła z powrotem przed ekranami, pospiesznie regulując kilka wskaźników.

Rozdział XIV

Tablice informacyjne dzwoniły na alarm. Bron zaczął odczuwać wzrost ciążenia spowodowany uruchomieniem głównych silników. Przyjrzał się sygnałom świecącym na tablicy informacyjnej w jego pokoju i rozpoznał symbol zbiórki dla ekipy matryc napędu podprzestrzennego. Odczekał aż wszyscy znajdą się na swoich miejscach i wyszedł. Było dla niego oczywiste, że napędu grawitacyjnego używano w celu zapewnienia marginesu bezpieczeństwa wymaganego przy szybkim wejściu w podprzestrzeń. Oznaczało to, że matryce podprzestrzenne zostaną użyte zaraz po ich zaprogramowaniu.

„Nagranie w toku, Bron. Jestem z tobą".

Ananias wzruszył ramionami ze zrezygnowaniem i podszedł do komputera. Postanowił niczego nie robić do czasu uzyskania współrzędnych. Kiedy zaś przystąpi do działania, to wyniki powinny być szybkie, masowe i ostateczne. Na tym etapie nie mógł sobie pozwolić ani na błąd, ani na istnienie opozycji. Za dużo spraw zostało już zawalonych.

Nadszedł moment, którego oczekiwał - cel akcji Komanda. Sala, w której znajdowały się matryce mogła mu ujawnić współrzędne bazy głównej Niszczycieli. Oznaczałoby to koniec misji. Flota Komanda, wsparta krążownikami planet federacyjnych, będzie gotowa zniszczyć całe systemy planetarne, żeby tylko dostać się do tej jednej bazy.

Ta bitwa będzie z pewnością największą w historii wojen międzygwiezdnych. Zwycięzcy przejdą do legendy i nikt więcej nie usłyszy o agencie nazywającym się Bron, dzięki któremu to wszystko stało sie możliwe. Gdzieś tam w przestrzeni, jakaś rakieta typu Nemesis przeznaczona dla Cany trafi w ten statek. To będzie koniec. W wyniku promieniowania, wstrząsu czy uduszenia.

Korytarze wewnętrzne były prawie puste i Bron nie miał żadnych kłopotów z prześlizgnięciem sie niezauważenie. Najważniejszy był czas. Musiał przyjść w ostatnim momencie. Z pewnością nie wcześniej i broń Boże nie później. W tej chwili ekipa podprzestrzenna musiała dokonywać ostatnich poprawek kursu.

Budowa była obca, ale zasady działania pozostały te same, posłuszne niezmiennym prawom techniki nadświetlnej. Otworzył śluzę wejściową i od razu poczuł podmuch powietrza. Dalej w tunelu wiała prawdziwa wichura, która oczyściła jego strój z najmniejszych okruszków kurzu. Bron wszedł tu nielegalnie, ale na tyle znał się na problemach lotów podprzestrzennych, żeby rozsądek przeważył nad nonszalancją. Nawet na sekundę nie zlekceważył procedury, przewidzianej w celu ochrony niezmiernie delikatnej aparatury sąsiedniego pomieszczenia.

Doszedł do końca tunelu i założył wysokie, obcisłe buty oraz jeden z wiszących tam kombinezonów gumowych, przylegających do ciała jak druga skóra. Projektowano je dla kombinezonów Niszczycieli, co zmusiło go do zdjęcia peleryny. Kombinezon był ciepły i sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Przeszedł następnie pod strumieniem detergentów i wody, później pod strugami ciepłego powietrza, które go wysuszyło. Dopiero potem odważył się wejść dalej.

Poczekalnia, w której ekipa podprzestrzenna przeczekiwała skok była pusta. Dalej było miejsce najbardziej tajemnicze i ciemne na całym statku. Pomieszczenie matryc wraz z galeriami, na których pracowali technicy obsługi. Tutaj stało pudło, w którym zielone, fluoryzujące powietrze, sztucznie utrzymywane specjalnym polem, było poprzecinane miliardami miniaturowych gwiazd. Była to idealna kopia prawdziwego kosmosu. W tym pomieszczeniu żadne inne światło nie było dozwolone, a technicy byli zbyt zajęci, żeby zwrócić uwagę na jeszcze jeden cień. Widać było tylko ich twarze. W zielonym świetle przypominały one zjazd czarowników, oddających się czarnej magii.

Z nieskończoną delikatnością i ostrożnością rozpinali oni w matrycy gwiezdnej siatkę prawie niewidocznych nici o grubości rzędu mikronów. Nici te określały osie, pozycje i wartości krytyczne maleńkiej konstelacji. Ten wątek miedzianych nici, który technicy tkali w tym mikrowszechświecie miał określić punkty wejścia i wyjścia dla skoku nadświetlnego w przestrzeni tachionowej.

Bron rozumiał te czynności, bo przeszedł odpowiednie przeszkolenie. Wreszcie uznał, że czas rozpocząć działanie.

- Postaram się uzyskać współrzędne, Jaycee. Zajmij się zapisem. . „Gotowe, Bron".

Głos Jaycee był teraz ledwo dosłyszalnym pomrukiem, tak jakby, oczarowana magią, oglądała te przygotowania po raz pierwszy.

Bron przeszedł wolno wzdłuż galerii. Ci, którzy go zauważyli musieli uznać, że jest jednym z nich, że może tu przebywać. W każdym bądź razie nikt go nie niepokoił, a delikatna praca techników posuwała sie dalej. Kiedy upewnił się, że wszystkie przygotowania zostały zakończone, zaczął przyglądać sie poszczególnym wskaźnikom. Jaycee potwierdzała dobry odbiór każdej z tych informacji. Ze swej strony Bron również starał się zapamiętać wszystkie cyfry.

- Jaycee... wracam. Nie mogę czekać na wyjście techników, a nie mam ochoty dać się tu zamknąć w czasie skoku. Masz wszystko?

„Tak sądzę. Zostało tylko przekształcić te dane na współrzędne realne i przekazać je". Bron rozpoczął odwrót.

- Sądzę, że teraz mnie zostawicie? Macie już przecież wszystko.

„Mamy przerwać łączność zgodnie z planem, to znaczy dopiero po potwierdzeniu zniszczenia planety-bazy. Takie są rozkazy Sztabu Generalnego. Sądzę jednak, że Doc chce ciągnąć dalej te misje jako zwykłe ćwiczenie Komanda. Ananias dziwnie się zachowuje, co zmusiło nas do zastanowienia się, czy za tym wszystkim nie kryje się coś więcej".

Szybkimi ruchami Bron ściągał z siebie gumowy kombine-

zon. Był cały spocony.

- Połącz się ze mną za minutę, Jaycee. Mam wrażenie, że zaraz nastąpi skok.

słyszał już za sobą kroki wracających techników. Minął poczekalnie, ale wciąż ktoś mógł go dostrzec z progu. Ubrany ponownie w swoją tunikę był łatwo rozpoznawalny. Jedyną nadzieją było dojście do śluzy zanim ktoś wejdzie.

W tej samej sekundzie, kiedy zamykały się za nim drzwi śluzy usłyszał głosy wchodzących do poczekalni techników. Jego obecność tutaj nie była oczywiście sprzeczna z poleceniami Cany, ale zainteresowanie matrycami zupełnie nie pasowało do akademickiej postaci Synkretysty.

Od tej pory jednak Komando miało wszystkie informacje i Bron mógł rozgrywać dalsze partie według własnego uznania. Mógł już teraz nawet spróbować opracować jakiś plan przeżycia. Niedługo miała sie rozegrać największa w historii bitwa kosmiczna, a, sądząc po pierwszych ocenach, on znajdował się po niewłaściwej stronie. Jego nadzieje na przeżycie stawały się przez to raczej symboliczne.

Sygnał alarmu podprzestrzennego przerwał te rozmyślania i zmusił go do znalezienia wolnych pasów, z których większość należała do ludzi z wachty. Znalazł wreszcie wolne stanowisko nie opodal sali łączności i z ulgą zapiął pasy. Plan nawigacyjny był tak precyzyjny, że ostatni ludzie dotarli do pasów zaledwie na kilka sekund przed skokiem.

Statek wszedł w podprzestrzeń na pełnej szybkości. Niszczyciele nie przejmowali się ani ludźmi, ani sprzętem. Następne 32 sekundy przeżywał potworny ból rozrywanych wnętrzności i miażdżonych kości.

Świadoma cześć mózgu Brona odrzucała to, czego nauczono go w szkole, że zgodnie z zawiłym procesem przemiany podprzestrzennej, cały statek znikał z realnej przestrzeni, by lecieć dalej wzdłuż siatki miedzianych drucików z makiety galaktycznej matrycy.

Wśród nawigatorów krążyły legendy, mówiące o wspaniałych miedzianych belkach, dostrzeganych miedzy gwiazdami tuż przed końcem skoku. Bron wiedział, że niektórzy technicy, którzy pozostawali w pomieszczeniu matryc w czasie skoku, dostrzegali ślady jonizacji, pozostawione przez statek w trakcie przemieszczania się po drucie. Słyszał takie opowieści bezpośrednio z ust tych nielicznych, którzy przeżyli pobyt obok matrycy w czasie skoku.

Rozdział XV

Statek wszedł w drugą fazę skoku i potworny ucisk zniknął nagle. Bron odpiął pasy i zdał sobie sprawę, że teraz pozostało mu tylko znaleźć szanse na przeżycie. Jedną na dziesięć miliardów. Jego pozycja na statku była delikatna. Nie mógł zrobić nic, co mogłoby zaszkodzić misji, ale w tych wąskich granicach, które mu pozostały miał jednak prawo do szukania ratunku. Tylko kim był naprawdę? Siedząc sam w swojej kabinie, oceniał wagę tego pytania.

- Jaycee! Powiedz coś o mnie... mam inne imię?

„Żadnego" - odparła Jaycee z cieniem złośliwości. „Znalazła cie delegacja ziemskich handlowców na rynku na Anhatinie w systemie Bela-Sbc. Lecieli małym śmigaczem i przy lądowaniu rozbili kupę śmieci. Ty leżałeś na wierzchu. Miałeś cztery tygodnie i nikt nie chciał niczego o tobie wiedzieć... Boże! Gdyby mogli cie zostawić... Ale dla Ziemian życie jest świętością. Wiec zabrali cie do kosmoportu. Ani policja, ani celnicy nie raczyli nawet na ciebie spojrzeć. Zabrali cie na Ziemie. Nikt nie wie, skąd wzięło się twoje imię, ale pochodzi chyba ze stempla celnego na dokumentach pokładowych. Musze powiedzieć, że nawet ci z nim dobrze".

- Nie kłamiesz?

„Nie. Wszystko jest w twoich aktach. Na Ziemi delegacja miała z tobą sporo kłopotów. Umieszczono cie w końcu w sierocińcu paramilitarnym, kierowanym przez doktora Harvestina. Prawdziwy brutal, przypadek patologiczny, ale najwyraźniej dobry pedagog. W wieku siedmiu lat opanowałeś tak dobrze tajniki walki wręcz, że gołymi rękoma skręciłeś kark temu dobremu człowiekowi. Sędziowie wysłali cie wiec do szkoły Komanda, która była jedyną instytucją doceniającą twój wyczyn. Przez następne 15 lat przeszedłeś wszystkie etapy szkolenia. Zawsze byłeś najlepszy. Tak w teorii, jak i w praktyce. Błyszczałeś na wykładach matematyki i na ćwiczeniach bojowych. Szczególne zdolności wykazywałeś w dziedzinie Chaosu".

- Chaos?

„Tak, Bron. Umiejętność obracania działania każdego systemu przeciw niemu samemu, aż do jego upadku i zniknięcia. Kiedy wszyscy wokół wariują, to jak myślisz, kto wkracza w te ruiny z własnym planem?"

- Mówisz o mnie?

„O tobie, Bron. Wszystko w tobie jest Chaosem. Począwszy od twego życia i losów istot, z którymi przebywasz. Ty tworzysz Chaos, a kiedy dojrzewa, wtedy wkraczasz do akcji i zbierasz okruchy, które wydają ci się potrzebne, odrzucając wszystko, co ci nie odpowiada. Postępujesz tak z rzeczami i z ludźmi i nigdy nie przejmujesz się konsekwencjami".

- Powiedz Jaycee... czy my się już spotkaliśmy?

„To tajna informacja, Bron. Nie mogę ci odpowiedzieć".

- No to zapytam Doca.

„Nic ci nie powie. Nasze stosunki są psychologicznie zrównoważone i nic, nawet ty, nie możesz naruszyć tej równowagi".

- Lepiej nie licz na to, Jaycee. Jeśli tylko wrócę na Ziemie, to nawet Komando nie przeszkodzi mi w zrobieniu tego, co mi przyszło do głowy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęli w nich dwaj uzbrojeni żołnierze.

- Bronie Haltern... Cana chce cie widzieć.

Tym razem nie udawali szacunku. Mówili suchym tonem, pomagając sobie jednoznacznymi ruchami broni. Wyglądało to bardziej na aresztowanie niż na zaproszenie. Bron wzruszył ramionami i poszedł za nimi w milczeniu.

- Jaycee, to chyba koniec.

„Wołam Doca... Jeżeli możemy coś zrobić..."

- Właśnie... wiesz dobrze, co można zrobić: zabić mnie, zanim zacznę sypać w czasie tortur. Strażnicy zatrzymali się przed drzwiami gabinetu Cany. Odsunęli się na boki i gestem kazali Bronowi

wejść do środka, zostając na warcie na zewnątrz.

Cana siedział za biurkiem zamyślony i ponury. Aura siły emanująca z jego postaci nie uległa zmniejszeniu.

- Siadaj Synkretysto. Sądzę, że zakończyłeś już badanie źródła tego pocisku.

- To prawda - odparł Bron, rozluźniając się nieco.

- Sprawdziłem twoje obliczenia i zapewniam cie, że pokrywają się one z naszymi. Choć nie umknął mi fakt, że zaprogramowałeś komputer bojowy... A można się zastanowić, jak daleko sięgają możliwości synkretyzmu.

Jego oczy nie spuszczały Brona na sekundę i ich badawcze spojrzenie obezwładniało go. Na twarzy Cany pojawił się wolno cień uśmiechu.

- Masz liczne talenty, Synkretysto i wątpię, żebyśmy poznali je wszystkie. Ale też nie oczekiwałem od ciebie mniej.

- Nie rozumiem.

- Sądzę, że już ustaliłeś źródło tego pocisku?

- Owszem. Mógł pochodzić z Messiera 31 znajdującego się jakieś 700 milionów lat świetlnych od nas lub ze statku-wyrzutni umieszczonego w przestrzeni o kilka godzin świetlnych. Sądząc po szyku pierścieniowym floty przylot tego pocisku był wam znany.

- Sądzisz wiec, że to moja sprawka, a zniszczenie Onaris było czymś w rodzaju sztucznych ogni na twoją cześć?

- Widzę, że mnie rozumiesz - odparł Bron, świadom dziwnej odwagi płynącej z przekonania o nieuchronności swojej śmierci.

- Nie jesteś głupi, Synkretysto - odparł Cana - tak samo, jak nie masz w sobie nic z megalomana... Tylko, czy zastanawiałeś się po cóż miałbym robić sobie tyle kłopotu tylko w celu zabawienia ciebie? Nie ma na to odpowiedzi. Nie zrobiłbym tego. Prawdy można dojść jedynie przez odwrócenie rozumowania. Ten pocisk czekał na nas, a nie my na niego. I pochodził z Messiera 31.

- Nie mogę w to uwierzyć. Czy zastanawiałeś się nad implikacjami tego faktu?!

- Tak - odparł Cana z niezmąconym spokojem. - Po prostu ktoś, lub coś, w mgławicy Andromedy, przed 700 min lat, przewidział dokładnie wszelkie szczegóły naszego ataku na Onaris, twojego porwania i w związku z tym próbował, nam przeszkodzić. Oznacza to fantastyczne wręcz obliczenia, bo pozycja była dokładna, a opóźnienie czasowe wynosiło tylko 16 godzin. Taka sama historia powtarza się. wszędzie, gdzie uderzymy, z tym, że zmniejsza się opóźnienie czasowe. Nasze obliczenia dopuszczają jeszcze co najwyżej cztery rajdy. Podczas piątego moglibyśmy przybyć jednocześnie z bombą.

- A gdybyście odlecieli wcześniej lub zmienili cel?

- To niczego nie zmienia. Punkt krytyczny mieści się w działaniu, a nie w poprzedzającym je rozumowaniu. Przewidywaliśmy rajdy, które anulowaliśmy w ostatniej chwili. Nie było wtedy żadnego pocisku. Czasami sam podejmowałem taką decyzje - ale najwyraźniej wszystkie moje decyzje były znane przed 700 milionami lat. Jeżeli w ostatniej chwili zmieniamy cel, to pocisk trafia zawsze w atakowaną planetę. Zawsze wycelowany był w te planetę - i to na 700 milionów lat, zanim na Ziemi pojawiło się życie. To jakby antyczny obraz przeznaczenia, nieuchronnego i uderzającego bez względu na to, co sie zrobi.

- Ależ to szaleństwo...

Przez sekundę synteza zadziałała gwałtownie, ale uspokoiła się równie nagle, co wybuchła.

- To nie jest szaleństwo, Synkretysto, czy kim tam jesteś. Tu chodzi raczej o związek przyczynowoskutkowy. Z początku szukaliśmy niewolników. Oczywiście znajdowali się wśród nich przedstawiciele inteligencji, których musieliśmy zatrudniać do bardziej odpowiednich zadań. W tym czasie spotykaliśmy czasami bomby, ale nie zawsze. Dopiero nasze komputery odkryły związek pomiędzy zniszczeniem niektórych planet, a porwaniem technokratów dysponujących zawsze bez wyjątku wiadomościami z dziedziny form Chaosu. Co nas sprowadza ponownie do twojego przypadku, Synkretysto...

- W jaki sposób?

- Kiedy zorientowaliśmy się, że margines czasowy zmniejsza się, postanowiliśmy przejąć najlepszych specjalistów od Chaosu. Nie ma żadnych wątpliwości, że twoja reputacja w tej dziedzinie przewyższa wszystkie inne. Tak więc byłeś dla nas idealną zdobyczą, a dla pocisku najważniejszym celem Tylko..:

- Tylko co?

- Na ogół pocisk składa się najwyżej z trzech cylindrów. Przed 700 milionami lat, w odległości 6 tysięcy parseków ktoś szalenie ceni sobie twoje dotychczasowe lub przyszłe dokonania... Ciekaw jestem, co zrobisz, żeby nie zawieść tego zaufania?

Rozdział XVI

Echo jakiejś kłótni przerwało ich rozmowę. Bron rozpoznał głos Daiquista, który najwyraźniej kłócił sie z wartownikami. Cana nacisnął przycisk na biurku i drzwi otworzyły się.

- Wejdź, Martin. Poleciłem im nikogo nie wpuszczać.

Daiquist wszedł w towarzystwie dwóch młodych oficerów, czerwonych ze złości.

- Ten przeklęty Synkretysta jest z tobą?

Cana spojrzał z zaciekawieniem na swojego zastępcę.

- Oczywiście. Co cię sprowadza?

- To szpieg. Teraz jestem tego pewien! Cana pozostał niewzruszony.

- Może jest to prawda, Martin. Sam mam pewne podejrzenia. Ale może są one nieuzasadnione. To nie przypadek, że pocisk z Onaris składał się z siedmiu cylindrów. Bez względu na to, czy jest szpiegiem, czy nie - z pewnością jest doskonałym katalizatorem Chaosu.

- Mam w nosie katalizę. Nie mam do niego za grosz zaufania. Jest za cwany... Był w przedziale matryc tuż przed skokiem.

Cana zesztywniał nieco.

- Możesz mi to wyjaśnić, Synkretysto?

- Chciałem zobaczyć, w jaki sposób programujecie skok. Mam pewną teorię dotyczącą podprzestrzeni.

- Ja również mam pewną teorie - wtrącił Daiquist. - I mówi ona, że nie jesteś Bronem Halternem. Wystarczy pół godziny przesłuchania, żeby wyciągnąć z ciebie prawdę.

- Nie - rzucił władczo Cana. - Wszystko wskazuje na to, że mamy kluczowy element zagadki entropii. Nie jest ważne czy nazywa się Haltern, czy nie. Wydaje się być potencjalnym katalizatorem Chaosu. Powiem nawet, że niestety znaczna cześć przyszłości spoczywa na jego barkach i wolałbym, żeby nie robiono z niego kaleki.

- W takim razie trzeba go zamknąć. Nie mam zamiaru odpowiadać za najmniejszą próbę zamachu na ciebie lub na statek.

- Zgoda - zdecydował się Cana. - Wyjdźmy z podprzestrzeni i przenieśmy go na pokład którejś z korwet.

Daiquist pokręcił głową.

- Mam lepszy pomysł. Przenieśmy go na Tantala. Będę mu towarzyszył. Chciałbym zobaczyć jego reakcje.

Cana zastanawiał się chwilę.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Ale daje pewną szanse dowiedzenia się o nim czegoś. Nie ulega wątpliwości, że osobowość człowieka, o którego śmierci zdecydowano przed 700 milionami lat musi mieć coś szczególnego.

Daiquist obrócił się do strażników.

- Zamknijcie Synkretyste. Jeden z was musi być z nim bez przerwy. Przerywamy skok w ciągu godziny.

Bron został zaprowadzony do pustej kabiny i zamknięty z jednym strażnikiem. Udając desperacje położył się na kanapie i zakrył tuniką szyje.

- Jaycee!

„Nie chce cie słyszeć, kretynie".

- Co się stało?

Jeżeli teraz odkryją prawdę, to szlag trafi całą operacje".

- Nie mam zamiaru tego słuchać. Sprowadź szybko Andera.

„Lepiej byś zrobił wieszając się od razu. Andera nie ma tutaj, ale spróbuje go znaleźć. Co się właściwie dzieje?"

- Chce, żeby mi szybko powiedziano coś o tej sprawie z Chaosem. Może Ander coś tu pomoże.. Czy Doc widział ostatnią scenę?

„Od początku do końca. Kiedy skończył obgryzać swoje paznokcie, zabrał się za moje".

- Ładnie. Co o tym sądzicie?

„Wydaje nam się, że jedyną rzeczą, która utrzymuje cie jeszcze przy życiu jest obawa Cany przed czymś innym. Bóg jeden wie, co to może być, ale coś jest... albo Cana jest największym kretynem tysiąclecia".

- Nie ma w sobie nic z kretyna. Silny umysł, raczej zrównoważony. Prowadzi wojnę... i z pewnością nie tylko z Ziemią. W takim razie z kim jeszcze?

„Zastanawiam się czasem, czy Ananias nie wie czegoś na ten temat. Krzywi się jak chory pies na każdą wzmiankę o Messierze 31. Nawet nie chce o tym słyszeć".

- Podejrzewam, że on wie kupę rzeczy, o których nie mówi. Czy jest teraz z wami?

„Nie. Poleciał do Sztabu razem ze współrzędnymi, jakby nie mógł ich po prostu nadać radiem. Mam wrażenie, że chce położyć na tobie łapę. Jest jeszcze za świeży w naszym fachu. Nie wie, że lepiej nie wchodzić z tobą dobrowolnie w żadne układy".

- Mam nawet ochotę na takie spięcie. Masz coś o Tantalu? Sądząc po zachowaniu Cany i Daiquista ten statek jest w jakiś sposób niezwykły.

„Nie mamy danych o żadnym statku Niszczycieli o takiej nazwie. Jedyny Tantal, znany w ciągu ostatnich 50 lat, to astrolab Armii Ziemi, który zaginął przed kilku laty w czasie lotu doświadczalnego w przestrzeń miedzygalaktyczną".

- Spróbuj znaleźć szczegóły tego lotu. To mogłoby być ciekawe. Chciałbym teraz pogadać z Veederem.

„Słucham, Bron" - miękki głos Veedera kontrastował z twardym akcentem Jaycee. „O co chodzi?"

- Jeżeli założyć, że Cana nie kłamie twierdząc, że siedem cylindrów z Onaris było wymierzonych w Halterna, to należy pamiętać, że prawdziwy Haltern jest na Ziemi. Nie wiem co znaczy dokładnie ten katalizator Chaosu, ale jeżeli Cana nie kłamie lub nie jest wariatem, to należy uznać Andera za rodzaj bomby z opóźnionym zapłonem. Bałem się, że możecie nie zwrócić na to uwagi.

„I rzeczywiście. Byliśmy tak mocno zajęci tobą, że zapomnieliśmy o zamianie. Nie mamy żadnej pewności co do skuteczności tego sławnego Chaosu, ale należy działać ostrożnie. Co proponujesz?"

- Trzymajcie Halterna pod dobrą strażą, ale tak, żeby był w każdej chwili do dyspozycji. Moim zdaniem coś się szykuje. Coś bardzo ważnego i on tylko mógłby to zrozumieć. Radze wam poświecić jeden komputer wyłącznie do analizowania poszczególnych faktów z tej misji. Cała ta historia wydaje mi sie bardzo dziwna.

„Nie nadążam za tobą Bron, ale zrobię jak radzisz. Na wszelki wypadek pozostanę z tobą w kontakcie".

Bron rozluźnił się i zamknął powieki. Strażnik, zdenerwowany jego obojętnością zaczął stukać rytmicznie po stole kolbą swojej broni. Obydwaj oczekiwali w milczeniu na wyjście z podprzestrzeni.

Bron zaczął wsłuchiwać się w szumy dochodzące z kanału transferowego. Ponad sygnałem podstawowym, na granicy podświadomości, coś było. Jakby cień, który znał, ale którego nie spodziewał sie zastać. Rodzaj rechotliwych zaburzeń... ten sam dziwny i wodnisty dźwięk, który już znał, ale tym razem czystszy i wyraźniejszy. Bardziej natarczywy nawet i przerażający.

Odruchowo chciał się cofnąć, uchronić, ale po namyśle postanowił z nim walczyć i spróbować znaleźć jakieś wytłumaczenie.

Ten dźwięk był kleisty jak lepka piana. Niespójny i tajemniczy. Niósł jednak jakąś wiadomość; pilną, naładowaną przerażeniem bliskiej tragedii. Bron ponownie pozwolił swojej wyobraźni poddać się prądowi tego nieznanego Styksu. Wyczuwał cienie w miejscach bez światła; dźwięki, których pochodzenia nie śmiał zgadywać. Obrazy zmieniały się i falowały, a ich potok zwolnił, dochodząc do kresu. Ale co sie kryło za pokrzywioną czernią rzeki? Inne obrazy, straszniejsze niż śmierć, zaczęty pojawiać się w jego myślach.

Zaczął krzyczeć w tym samym momencie, w którym zabrzmiały syreny alarmu. W kilka sekund później koszmar jego wizji został zamazany przez cierpienie: statek wychodził z podprzestrzeni.

Rozdział XVII

Maia szalupa opuściła luk krążownika. Bron obserwował przez okulary Hockunga maleńkie światełko celu ich lotu. Tantal nie wyglądał na dumnego zdobywcę kosmosu, jak pozostałe statki floty. Wprost przeciwnie. Był pozbawiony koloru, stary, bliski rozpadu i cały w bliznach. Na rufie sterczały pomieszane dysze różnych systemów napędowych. Jego nazwa została starta z kadłuba dawno temu.

- Niewątpliwie ziemski - stwierdził bezgłośnie, zwracając okulary.

„Zgadza się. Wygląda na zaginione laboratorium. Właśnie nadeszły dane z archiwum. Sprawdzimy, czy nie przerobili go na wyrzutnie”.

- Wątpię. Nawet gdyby, to nie byłby zdolny do takiej precyzji. „Ktoś przecież musiał wystrzelić tamten pocisk” - stwierdziła Jaycee.

Teraz, kiedy zbliżyli się, można było zobaczyć wszystkie rany zadane Tantalowi. Dziury i rysy pokrywały kadłub, jakby cały statek został zanurzony w kwasie. Tantal wyglądał jak chore zwierze. Urządzenia jednak miał sprawne i Bron wkrótce znalazł się w środku w towarzystwie Daiquista i dwóch strażników.

Po kilku krokach zatrzymał się nagle czując, że włosy stają mu na głowie.

„Bron, co się stało?”

- W tym statku jest coś dziwnego... strasznie dziwnego.

- „Dlaczego?”

- Mam dziwne wrażenia. Nie umiem ich opisać. Czy przerobiono go?

„Nic o tym nie wiemy. Dawniej na pewno miał klasyczne uzbrojenie, łącznie z głowicami termicznymi typu Nemesis”.

- Nemesis jest zabawką w porównaniu z pociskiem, który zniszczył Onaris. Wygląd tamtego nie miał w sobie nic ludzkiego.

„Co oznacza, że przyjąłeś stanowisko Cany, że pociski są stare i nieznanego pochodzenia?” - ton Jaycee stał się nagle zimny i sarkastyczny.

- Wystarczy, Jaycee. Niczego nie przyjąłem. Twierdze tylko, że jeśli to, co podejrzewam jest prawdą, to jesteśmy tak bardzo do tyłu, że nawet z dwudziestokrotnym przyspieszeniem nie zrozumiemy niczego.

„To znaczy...?”

- Wreszcie zrozumiałem, skąd wzięło się to uczucie dziwności. To nie jest Tantal... Przynajmniej nie ten sam, który opuścił stocznie na Ziemi. To tylko kopia..., a raczej odbicie. Zwykłe odbicie.

„Weź się w garść, Bron”.

- Spójrz na ekrany kontrolne, napisy! Wszystko jest odwrócone. Do najmniejszego szczegółu. To nie jest kolejny dowcip Cany. To rzeczywistość.

Bron nagle zdał sobie sprawę z uważnego spojrzenia Daiquista. Jaycee ostrzegła go zresztą w tej samej sekundzie.

„Uważaj na Daiquista! Podejrzewam, że zabrał cie tu, żeby cie zdemaskować. Możesz się zdradzić, jeśli nie okażesz zdziwienia.”

- Czy przekazano już współrzędne?

„Nie wiem, Ananias jeszcze nie wrócił. A bo co?”

- Kiedy tylko nasza flota wkroczy do akcji powinienem chyba zabić Daiquista. Jaycee wstrzymała się od odpowiedzi, żeby nie przeszkadzać.

- Wyglądasz na zmieszanego, Bron - stwierdził Daiquist.

- Ten statek... To nie jest produkt Niszczycieli.

- Nie. Pochodzi z Ziemi. Wrak, który odkryliśmy w kosmosie. Ale znaleźliśmy dla niego zastosowanie.

- Ziemianie zawsze czytają na odwrót?

- Nie. To jeden z aspektów Chaosu. Ale... jako specjalista nie powinieneś być zbytnio tym zdziwiony.

Bron wzruszył ramionami i ruszył dalej. Ani pseudoosobowość Halterna, ani jego wyszkolenie do niczego nie mogły się przydać. Daiquist ruszył za nim, ale zaraz rozbrzmiał sygnał alarmu oznajmiający drugi skok podprzestrzenny. W przeciwieństwie do wielkich krążowników, Tantal zaledwie zamruczał cichutko i zaraz przeszedł do drugiej fazy lotu. Bron zabrał się do zwiedzania pomieszczeń. Miał nadzieje, że okazuje typowo naukowe zainteresowanie, którego wszyscy oczekiwali po synkretyscie. Przede wszystkim szukał jednak jakiegoś planu przeżycia.

Tantal był statkiem względnie niewielkim, co najmniej sto razy mniejszym od liniowców Cany. Nie miał dobrego uzbrojenia i z pewnością nie był w stanie odeprzeć żadnego ataku. Bron nie mógł zrozumieć, po co Cana włączył go do swojej floty. Laboratoria były świetnie wyposażone i utrzymane przez załogę, wśród której znajdowało się wielu naukowców i cywilów. Wszyscy przyjmowali go z miłym zainteresowaniem, co stanowiło wyraźny kontrast z postawą Daiquista. Ten zaś ujął go właśnie za ramie.

- Chodź. Przedstawię cie dowódcy. Akademikowi Laaris.

Dowódca również różnił się od zwykłych Niszczycieli. Z kocią zręcznością przemykał się pomiędzy dodatkowymi aparatami, zamontowanymi na mostku. Był niski, o ciemnej cerze i oczach tryskających inteligencją. Wydawał się prawie nie zauważać Daiquista. Zwyczajem Niszczycieli przywitał Brona dotykając swoją pięścią jego.

- Mistrzu Haltern... To wielki zaszczyt.

Zdziwienie Brona musiało się odbić na jego twarzy, bo Laaris dodał zaraz z szerokim uśmiechem.

- Nigdy dotąd się nie spotkaliśmy, ale dobrze cie znam. Wszyscy, którzy zajmują się Chaosem znają cie. Memoriał, który przedstawiłeś w Marocu na Priamie jest naszą główną podporą.

Bron nie mógł się powstrzymać od pytania.

- A wiec o to chodzi! Badacie formy Chaosu?

- Oczywiście - przez sekundę Laaris się zmieszał. - Czyż nie po to tu przybyłeś?

- Nie sądzę!

Bron zamilkł i spojrzał na Daiquista czekając na jego wyjaśnienie.

- Haltern nie przybył tu z własnej woli. Jest naszym więźniem i podejrzewamy go o szpiegostwo. Dlatego jest pod strażą. Uważajcie na niego. To niebezpieczny człowiek.

Przez chwile Laaris nie krył zaskoczenia. Wreszcie odparł z uśmiechem ulgi.

- Nauka Chaosu jest intergalaktyczna, pułkowniku. Nigdy nie zrozumiesz, ile łączy ze sobą naukowców. Chodźmy, Haltern. Pokaże ci twoją kabinę. Później porozmawiamy o Chaosie.

Kiedy tylko zniknęli z oczu Daiquista, Bron nadał pospiesznie.

- Jaycee. Na miłość boską. Czy nikt nie może znaleźć Andera? Jeżeli nie podołam tej dyskusji, Daiquist porznie mnie na kawałki.

„Mamy Andera... będzie tu za kilka minut”.

- A co ze współrzędnymi?

„Właśnie wszedł Ananias. Spytałam go...”

- Chce z nim rozmawiać. Sytuacja jest za poważna. „Nie chce, żeby zbliżał się do pulpitu sterowniczego”.

- Starczy, Jaycee. Zrób, o co cie proszę.

„Dobrze mówisz, Bron” - zabrzmiał słodki głos Ananiasa. „Cieszę się, że nie tylko ja mam kłopoty z tą ladacznicą”.

- Zamknij się. Przekazałeś współrzędne? „To sprawa Sztabu Generalnego”.

- Moja również. Musze podjąć decyzje. I to szybko. Jeżeli zadziałam zbyt szybko, to cała flota Niszczycieli rozpierzchnie się jak ławica ryb przed rekinem.

„Przeceniasz się, żołnierzyku”.

- Nie. Nie doceniałem cie. Spójrz dobrze na ekran. Widzisz, gdzie jestem? „Na innym statku. Podejrzewam,, że ziemskiego pochodzenia”.

- Nie musisz niczego podejrzewać. Doskonale wiesz, że jest ziemski. Jest to ni mniej ni więcej tylko astrolab Tantal.

„To ma mi coś mówić?”

- Oczywiście, jeżeli wierzyć mojej pamięci. Jaycee! Słuchasz mnie? , Jestem, Bron”.

- Powiedziałbym, że ta amnezja jest zaraźliwa. Poproś o listę

załogi Tantala z ostatniej wyprawy. „Nie ma potrzeby. Przyznaje, że jestem na niej. Tylko, że tym razem posunąłeś się za daleko, Bron.

Ostrzegam cie. Siedź spokojnie i nie wygłupiaj się...”

- Ananias! Od tej chwili będę wykonywał swoje zadanie według własnego uznania. A ty będziesz mi w tym pomagał, bo z pewnością nie zechcesz, żeby wszyscy uważali cie za świnie.

W kanale transferu słychać było głośny huk, a potem krzyk bólu.

„Wszystko w porządku, Bron. Trzymam go. Chciał nacisnąć przycisk śmierci, ale wyłamałam mu kciuki. Musisz nam przekazać wszystko co wiesz, jeśli mamy ci pomóc”.

- Byłoby dobrze. Pułkownik Ananias był dowódcą Tantala w czasie jego ostatniej podróży. Tylko on przeżył. Wrócił na Ziemie w dwa lata później na pokładzie jakiegoś frachtowca. Stwierdził, że został zaatakowany przez Niszczycieli.

„To prawda” - jęknął Ananias.

- Wątpię. Szkody wyrządzone Tantalowi z pewnością nie są dziełem Niszczycieli. Uważam, że gdzieś w przestrzeni napotkaliście coś okropnego. Później porzuciliście Tantala, żeby wasza historyjka była bardziej prawdopodobna. Wole nie myśleć, co się stało z załogą.

„Nie masz cienia dowodu”.

- Ja nie, ale sądzę, że ty go masz. Jaycee! Nie wątpię, że spałaś z nim. Czy jest normalny?

„To niby nic niezwykłego, ale nie on jeden na to cierpi - odparła Jaycee z cyniczną pogardą. - Co chcesz wiedzieć?”

- Rozepnij mu koszule. Jeżeli się nie mylę, to odkryjesz, że ma serce po prawej stronie. Myślę, że został przenicowany razem z Tantalem, a to na pewno nie było dziełem ludzi.

Rozdział XVIII

Bron! Mamy Andera”. - Chce z nim mówić. Ma jakieś pięć minut na zrobienie ze mnie mistrza teorii i praktyki Chaosu. „Tu Ander. Zrobię, co się da, ale mogę co najwyżej nakreślić ogólny zarys”.

- Odbieram cie dobrze, Ander. Zrób co się da. Co jest podstawą Chaosu?

„Całe spektrum przyczynowości, od subnuklearnego do makrokosmosu, ale rozpatrywane nie jako zbiór zdarzeń, a z punktu widzenia entropii”.

- Rozumiem koncepcje, ale nie jej zastosowanie.

„Dojdę do tego. Najpierw chciałbym zwrócić uwagę na znaczenie zmiennej czasowej. Jedną z głównych zasad we wszechświecie jest stwierdzenie, że entropia wzrasta w czasie. Zmienić ten stan rzeczy może tylko świadome działanie. Na przykład człowieka, zdolnego do przyspieszania lub zwalniania tego procesu”.

Ktoś nagle zapukał do drzwi. Bron pospiesznie zdjął tunikę i otworzył.

- Mistrzu Haltern... Akademik Laaris chciałby natychmiast cie zobaczyć.

- Jak tylko skończę kąpiel - odparł Bron, przesadzając wyniosłość Halterna. - Proszę mu powiedzieć, że zaraz przyjdę.

- Proszę dalej, Ander. Jak dotąd chwytam - powiedział, gdy tylko ponownie został sam.

„Nie można tego chwytać. To trzeba zrozumieć. Każde słowo jest ważne. Wszystkie obliczenia Chaosu opierają się na skwantowanym czasie i służą do predykcji przyszłości lub do analizy pewnych elementów przeszłości, które wpłynęły zauważalnie na teraźniejszość”.

- Nie bardzo widzę, jak można cokolwiek ustalić opierając się na matematyce? „Wyobraź sobie płyn w naczyniu”.

- To ma być model naszego systemu entropicznego? Swobodnie drgające molekuły?

„Właśnie. Powinieneś być naukowcem, a nie żołnierzem. Ciśnienie tego płynu jest spowodowane przypadkowymi zderzeniami molekuł ze sobą i ze ścianami naczynia. W tym hipotetycznym płynie, który nazywamy Chaosem, molekuły odpowiadają zdarzeniom, które podlegają takim samym zależnościom jak molekuły w płynie”.

- Co dalej, Ander? Mam mało czasu - Bron wszedł pod prysznic. - Daiquist zaraz tu przyjdzie zobaczyć, co robie. Ciekawe co tam się stało?

„Musze być ostrożny, co do reszty. Gdybyś tego nie zrozumiał, skończyłoby się to fatalnie. Załóżmy teraz, że na początku nasz płyn został podzielony na kilka stref o różnych temperaturach...”

- Przemieszałyby się miedzy sobą. Energia systemu pozostanie ta sama, ale entropia będzie powoli wzrastać.

„Co daje dość dobre przybliżenie wszechświata”.

Znowu ktoś zapukał do drzwi. Tym razem gwałtowniej. Bron otworzył nagi i ociekający wodą. Na korytarzu stał Daiauist i przyglądał mu się podejrzliwie, nie ukrywając zdenerwowania. Wygląd Brona trochę go uspokoił.

- Długo się czyścisz, Synkretysto. Czekają na ciebie w nawigacyjnym.

- Kurz Niszczycieli jest wyjątkowo lepki.

Bron wrócił pod prysznic. Daiauist poszedł za nim.

- Poczekam, aż skończysz. Lepiej będzie, jeśli się pospieszysz. Laaris czeka na ciebie. Ander, pospiesz się.

„Jeżeli zrozumiesz następną cześć, to prawie wygraliśmy. Weźmy nasze naczynie. Co się stanie, jeżeli podgrzejemy lub ochłodzimy wybrane miejsca?”

- Przyspieszymy lub spowolnimy wzrost entropii.

„A w naszym Chaosie, co może być jedyną przyczyną? Już ci podpowiedziałem odpowiedź”.

- Działanie inteligencji.

„Właśnie, Bron. Wydarzenie, spowodowane takim działaniem, określa niezmiennie lokalne zaburzenia entropii. Wracając do naszego przykładu, działanie to można porównać do podgrzewania lub oziębiania tego lub innego obszaru płynu. Jest wiele sposobów na odkrycie takiego działania w zależności od jego natury i natężenia. Optycznie - zmienia się dyfrakcja. Akustycznie - mamy eksplozje lub implozje. Fizycznie - fale uderzeniową lub zmianę ciśnienia”.

- A w Chaosie teoretycznym?

„Efekt podobny do działania kulistej fali uderzeniowej rozchodzącej się z punktu, w którym nastąpiła interwencja jakiejś inteligencji. W miarę rozchodzenia się fali zmniejsza się jej natężenie. Dla obserwatora z zewnątrz fakty te są tylko maleńkimi zmarszczkami w ogromie entropii. Formami Chaosu nazywamy interferencje wynikłe ze zderzenia tych pośrednich zmarszczek z wielkimi falami”.

Zirytowany Daiauist chodził od ściany do ściany. Nie był przyzwyczajony do nieposłuszeństwa, ale w tym przypadku wydawał się zniecierpliwiony w wyniku czegoś poważniejszego. Bron założył bieliznę i tunikę nie przerywając rozmowy.

- W jaki sposób wykrywa się te zmarszczki?

„To najmniejszy kłopot. Mając do dyspozycji aparaturę wystarczająco czułą do wykrycia przyspieszenia lub opóźnienia entropii łatwo można wykrywać również zmarszczki. Problemy zaczynają się dopiero w momencie ich analizy”.

Bron otworzył odruchowo oczy ze zdziwienia. Za kilka sekund miał zakończyć te rozmowę i sprawiać wrażenie specjalisty od spraw Chaosu. Dłużej nie mógł już przeciągać struny. Daiauist wyjął broń i bez słowa wskazał mu korytarz. Bron potrzebował jeszcze jednego pytania.

- Zostań, Ander. Mówiłeś o przyczynowości. Rozumiem w jaki sposób lokalizujecie źródło interwencji, ale jak można określić jej skutki?

„Są przeciwieństwem źródła. Nie ma miedzy nimi żadnej różnicy oprócz kierunku, w którym liczyny czas. Przyczyna i skutek tworzą błyski entropijne, które z łatwością można zlokalizować, a które tają się źródłami fal kulistych. Jeżeli uda się określić jej promień krzywizny i natężenie, to tak samo nożna zlokalizować przyczynę i jej skutek, i to zarówno w czasie, jak i w przestrzeni przez ekstrapoacje wzdłuż osi geocentrycznej. Ale uwaga! Główną cechą zależności skutek-przyczyna jest ich wzajemna korelacja. Tylko takie dwa zjawiska będą miały zbieżne osie. Kiedy uda się znaleźć jedną z nich,) na ogół można znaleźć i drugą”.

Popedliwy dotąd Laaris stracił sporo ze swojego entuzjazmu. Technicy, którzy dzielili ten nastrój w hwili przybycia Synkretysty, teraz pozornie obojętnie zajmowali się swoimi aparatami. Atmosfera była rzesycona paniką i niepewnością. Laaris na widok Brona został jakby tchnięty falą ulgi.

- Haltern. Musisz to wytłumaczyć - wyrwał z konsoli z dziesięć metrów danych. - Nigdy nie widziesmy tak silnej fali Chaosu.

Bron wziął wydruk i przyjrzał mu się uważnie. Najpierw zobaczył linie w różnych kolorach. Wszytkie były pomarszczone i splątane ze sobą... Dalej, jedna z czerwonych linii wyrywała się z tego odbicia haosu i przechodząc całą skale logarytmiczną znikała w nieskończoności. Prawdopodobnie dlatego, że paraty nie umiały jej dalej wykreślić. Po kilku metrach linia znowu się

pojawiała, by pomknąć tym azem w dół skali i zniknąć poniżej bezwzględnego zera.

W środku jego głowy ktoś wykrzyknął nagle: „Mój Boże!”

- Ander, widziałeś? O co tu chodzi?

„Nie wiem. Musze wiedzieć, jaką metodą robiono ten zapis”.

Laaris tymczasem wisiał na jego plecach, czekając na wytłumaczenie. Prawie drżał ze zniecierpliwienia.

- Akademiku Laaris, czy mógłbyś najpierw określić parametry twojego komputera?

- Parametry! Parametry! - krzyknął kapitan z desperacją. - Nie trzeba komputera, żeby to określić.

- Zapominasz - zauważył sucho Bron - że wasze dane opierają się na aparatach Niszczycieli... w przeciwieństwie do moich*.

- Ależ czerwona linia jest podstawą wykresu. A tu jest wykres statku... Co z nim? Co się stanie z moim statkiem?

„Mam, Bron” - odparł Ander i zaraz zaczął szybko tłumaczyć.

Bron przysłuchiwał się temu jeszcze raz, oglądając drogę czerwonej linii.

- Nie było potrzeby wzywać mnie do tego - wyjaśnił wreszcie Laarisowi. - Wiesz równie dobrze jak ja, że weszliśmy w obszar działania echa skutku Chaosu. Zbliżamy się w prostej linii do źródła fali, co spowoduje całkowite zniszczenie tego statku.

Laaris spojrzał na niego z wdzięcznością.

- A wiec ty również tak uważasz. Obawiałem się, że popełniłem gdzieś błąd. Po prostu dlatego, że nie mogłem pojąć, w jaki sposób ten statek znalazł się na zbieżnej osi, jeżeli nic na pokładzie nie może spowodować anihilacji.

- To ciekawe - stwierdził Daiquist, wcelowując w Brona. - Bo ja na przykład nigdy nie miałem kłopotów ze zrozumieniem tego.

Rozdział XIX

Daiquist obrócił się gwałtownie w stronę dwóch strażników. - Pilnujcie Synkretysty aż do odwołania - potem spojrzał na Laarisa. - Czy mam rozumieć, że wasze obliczenia wskazują na to, że zniszczenie tego statku jest nieuniknione?

- To nie ulega wątpliwości.

- Co może być przyczyną?

- Nie wiem. Nie odkryliśmy źródła. Może gdybyśmy to jeszcze raz obliczyli.

- Nie mamy czasu. Ale wiem jak trafne są predykcje Chaosu. - Daiquist wskazał na Brona. - Zamknijcie go gdzieś.

Bron przyjął te samą postawę co Laaris, który nieruchomo i w milczeniu mrugał powiekami.

- Ander... Zaobserwowaliśmy fale skutku, choć Laaris twierdzi, że nie mógł odkryć fali przyczyny. Wyobrażasz sobie skutek bez przyczyny?

„Przyczyna dopiero nastąpi”.

- Jak to?

„Musze przyznać, że z początku sam byłem tym zaniepokojony. Laaris zanotował przyszłe zdarzenie, którego przyczyna była nieodkryta. Pierwszy raz zdarza się coś takiego w historii badań Chaosu. Teoretycznie jest to jednak możliwe. Wytłumaczenie jest elementarne: przyczyny jeszcze nie ma”.

- A wiec nie może być skutku!

„Nie rozumiesz dobrze Chaosu. Zniszczenie Tantala jest zdarzeniem już wbudowanym w ąchemat

entropii. Nie można go zmienić. Ale jeszcze nie ustaliłeś, w jaki sposób zniszczysz ten statek. A wiec przyczyna nie może jeszcze istnieć w tym schemacie”.

- W jaki sposób ja go zniszczę...?

„Tak, Bron. To ty jesteś na początku tej osi zbieżności. Ty jesteś katalizatorem zmian entropii”.

- A nie flota Komanda?

„Nie. Inaczej już istniałaby widoczna fala odpowiadająca zamiarowi ataku. Prawdę mówiąc, ponieważ wykres był wyjątkowo czysty, uważam, że Komando nie doleci nawet do miejsca katastrofy”. „Tu Jaycee, Bron. Słyszałam koniec rozmowy. Wszystko się zgadza. Atak został odwołany.” Każde jej słowo tchnęło rozczarowaniem.

- Żartujesz...

„Współrzędne odpowiadają planecie Brick... Została ona skolonizowana w czasie Wielkiej Migracji. Jest to planeta rolnicza, całkowicie pozbawiona surowców. Niemożliwe, żeby tam była baza Niszczycieli. Sztab Główny może założyć najwyżej, że jest ona używana jako stacja uzupełniająca, ale flota zatrzyma sie tam najwyżej kilka godzin. Nasze statki nie zdążyłyby nawet dolecieć”.

- A wiec ta misja to fiasko?

„Na wszelki wypadek pozostaniemy w kontakcie, ale oficjalnie masz racje. Wszystko skończone”.

- Cieszę się z tego. Nareszcie będę mógł coś zrobić. Jest tam Ananias?

„Na razie nastawiają mu kciuki. Moim zdaniem nie powinien specjalnie przeszkadzać przez parę dni. Doc wciąż kłóci się w sztabie na jego temat, ale mam wrażenie, że bez efektów.

- Jeszcze nie skończyłem z generałkiem. Jaycee, zrób coś dla mnie. Sprawdź z czego składało sie wyposażenie Tantala. Ananias nim dowodził i chce wiedzieć, czy miał w jakimś stopniu dostęp do informacji związanych z Chaosem.

„Czego ty właściwie szukasz?”

- Po prostu chce się zorientować, co może wiedzieć.

„Zgoda. Sprawdzę. Wierz mi, że możliwość zgnojenia tej świni sprawi mi dużą przyjemność”.

W tym samym momencie zabrzmiał alarm. Tantal wychodził delikatnie z podprzestrzeni. Bron czekał niecierpliwie, aż ktoś go wypuści, bo wszystkie odgłosy wskazywały na pospieszną ewakuacje statku. Drzwi wreszcie otworzyły się i stanął w nich Daiquist.

- Powinieneś podziękować Akademikowi Laarisowi. Osobiście wolałbym, żebyś zgnił tutaj... Ale on tak jest zafascynowany twoją analizą wykresu Chaosu, że poprosił o udostępnienie ci całej aparatury, której i tak nie może używać.

- Nie może?

- Według Chaosu ten statek jest skazany na zniszczenie. Wszyscy zostali wiec ewakuowani. Ty zostaniesz na pokładzie wraz z minimalną załogą. Tantala umieścimy na stałej i pewnej orbicie. Jeżeli wciąż będzie istniał po upływie terminu zniszczenia, to zabierzemy cie i Cana zadecyduje, co z tobą zrobić. Załoga otrzymała rozkaz zabicia cie, gdybyś próbował się wtrącać do pilotażu. Oprócz tego możesz sam wybierać najodpowiedniejszy sposób dostania się. do piekła.

Bron obserwował w milczeniu odlot ostatniego promu. Załoga pozostawiona przez Daiquista miała twarde rysy, mechaniczne odruchy i była brutalna, jak wszyscy Niszczyciele w akcji. Wolał nie zwracać na nich uwagi. Poszedł do sali komputerów. Jego umysł zaczął już rozważać różne możliwości wykorzystania swojej sytuacji. Postanowił jednak poczekać z tym do czasu powrotu do podprzestrzeni.

Włączył terminal i zaczął powoli wprowadzać dane, starając się nie patrzeć na ręce ani na ekran.

„Bron! Co ty kombinujesz?”

- Ćwiczę palce... będę ich niewątpliwie potrzebował do zaciśnięcia na kilku szyjach. „Pokaż co robisz. Znasz regulamin”.

- Starczy, Jaycee. Twoja rola już się skończyła. Teraz odczep się i pozwól mi działać. „Prowokujesz mnie?” - w głosie Jaycee słychać było niedowierzanie.

- Mam cie w nosie. Rżnij głąba gdzie indziej.

„Powiedziałam, że chce to zobaczyć. Nie chce używać obwodów karcących, Bron...”

- Byłabyś zachwycona. Brakuje ci tylko pretekstu. Przesłał dane bezpośrednio do głównego komputera.

„Ostrzegam po raz ostatni. Może już zapomniałeś, co się dzieje, jak uderzam”.

- Zawołaj Doca - powiedział zrezygnowany. -Jeżeli naprawdę zapomniałem, to mi przypomni. Pierwsze wyniki zaczęły wychodzić z komputera. Przyjrzał się obliczeniom pośrednim, a głos Jaycee

stawał się coraz bardziej jadowity. Wreszcie usłyszał Doca. „Co się dzieje, Bron? Powinieneś wiedzieć, że nie opłaca się jej denerwować”. Doc robił wrażenie kompletnie wycieńczonego.

- Przerwij zapis, Doc i posłuchaj. W co gra Ananias?

„Nie ty jeden próbujesz się tego dowiedzieć. Ma szczególny wpływ na Sztab Główny, co mu pozwala ciągle wykręcać się sianem. Odpowiadając na twoje poprzednie pytanie - rzeczywiście miał dostęp do mnóstwa danych Chaosu”.

- To on doradził, żeby nie przeszkadzać Niszczycielom w rajdzie na Onaris?”’ „Tak, ale to było w zgodzie z ogólnym planem”.

Bron spojrzał na kolejne dane z komputera. Tym razem wyniki były bardziej obiecujące.

- Czy pocisk termiczny też był częścią planu?

„Nie, tego w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Inaczej nigdy nie pozwolilibyśmy Niszczycielom na zaatakowanie Onaris”.

- Może ty, ale Ananias... „Nie wiem...”

-Nic się nie trzyma kupy w tej historii. A najmniej sam Ananias. Wreszcie Bron dostrzegł sygnał zakończenia obliczeń i włączył drukarkę.

- Wydaje mi się, że Ananias wiedział o zamierzonym zniszczeniu Onaris i to od dawna. Tak samo dobrze wiedział, gdzie i kiedy Niszczyciele mogli mnie znaleźć... Nie należy nie doceniać Ananiasa. Wiedział przede wszystkim, że zdobyte przeze mnie współrzędne nie prowadzą do planety Brick.

„Ależ tak..."

- Bynajmniej, Doc. Ananias oszukał was.

Rozdział XX

„Jak to?!" - wybuchnął Veeder. „Skąd wiesz?"

- Udało mi się zapamiętać parametry z matrycy. Właśnie skończyłem je analizować. Nie zaglądałem jeszcze do tablic gwiezdnych, ale trzymam zakład, że baza Niszczycieli jest oddalona co najmniej o pół galaktyki od planety Brick. Przede wszystkim wszystkie dane odnośnie sektora były fałszywe. „Jesteś pewien?"

- Całkowicie. Sądzę, że Ananias nie tylko zafałszował dane, ale wręcz miał w zanadrzu inne. A to sprowadza nas do punktu wyjścia. Cokolwiek robicie, wasze centrum wydaje mi się najsłabszym ogniwem tej akcji. Otrzymałem zadanie zniszczenia Niszczycieli i mam zamiar tego dokonać. Mam swój plan i zamierzam go zrealizować. Tak wiec proszę cie, Doc: nie przeszkadzaj mi...

„Jeżeli podejść do tego formalnie, to wciąż jeszcze nam podlegasz. Przyznaje, że to, co mówisz, wymaga śledztwa, ale musze cie prosić, żebyś nie działał bez porozumienia ze mną. Rozumiesz mnie?"

- Nie. Sądzę, że Ananias tobą manipuluje. Nie wiem nic o jego zamiarach i nie mam ochoty mu pomagać.

„Nie próbuj ze mną tych sztuczek, Bron. Mamy środki, żeby cie zmusić do posłuszeństwa".

- W porządku, Doc. Nie przestraszysz mnie. Doskonale znam zasięg przekaźnika biotronicznego. To nie działa nawet w skali planetarnej, a już z pewnością nie w gwiezdnej...

„Co znaczy, że..."

- Że musicie stosować wzmacniacz. Wystarczy, że go zniszczę i będę wolny.

„Zgadza się. Tylko, że nigdy sam nie znajdziesz przekaźnika. Czyżbyś naprawdę nie znał naszych możliwości miniaturyzacji?"

- Znam i właśnie dlatego wiem, gdzie go umieściliście. A wiec zostawicie mi wolną rękę? „Blefujesz, Bron. Nie starczy ci życia..."

Palce Brona zacisnęły się na krzyżu wiszącym na szyi.

- Czy zostawicie mnie w spokoju?

„Ryzykujesz sąd wojenny. Wiesz co ci grozi za niesubordynacje?"

- Doc. Naprawdę sądzisz, że to mnie powstrzyma? Oblicz najpierw, jakie mam szanse dożycia do procesu.

Zapadła długa cisza.

„Wygrałeś. Będziemy cie pilnować, ale bez ingerowania. Podaj mi współrzędne".

Bron szybko odczytał wynik obliczeń.

- Możecie sprawdzić, ale nigdy wynik nie będzie wskazywał na planetę Brick. I nie wysyłajcie floty. Nie będą mieli z kim walczyć, jak nadlecą.

„Nie rozumiem. Przecież nie zaatakujesz sam całej floty".

- To nie przypadek, że Tantal jest skazany na zniszczenie. „Nie mogę się na to zgodzić, Bron. Będę działał".

- Róbcie, co chcecie. I tak nie starczy wam czasu.

Bron wrócił do swoich obliczeń, pytając niekiedy komputer nawigacyjny o dane kosmograficzne. Nie zwracał uwagi na to, czy Jaycee zobaczy jego obliczenia, czy nie. Nic nie można było z nich zrozumieć, jeśli nie znało się jego zamiarów.

Jaycee wróciła wkrótce na swoje miejsce.

„Nie wiem co powiedziałeś Docowi, ale wypadł stąd jakby go ktoś gonił. I tak nie wywiniesz się z tego Co do mnie, to wiem jak cie uspokoić. Nawet gdybym miała cie zabić".

- Odczep się, Jaycee. Doc nie mówił ci, żebyś mnie zostawiła w spokoju? „Oficjalnie kazał mi cie zostawić. Nie zabronił mi jednak mówić".

- Wolałbym już przycisk kary od twoich wynurzeń. „Rozumiem cie... Miałeś piekielne szczęście, że zapomniałeś o mnie".

- Jakoś trzeba było zrekompensować moje przykładne życie.

„Gdybyś pamiętał to, co ja, nigdy nie mógłbyś sobie pozwolić na takie żarty... Nie ma słowa na określenie takich potworów jak ty".

Odczekał na ostatnie dane z komputera i przeszedł do zbrojowni. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś z załogi zaglądał tu w czasie lotu w podprzestrzeni, ale gdyby go jednak odkryto, to nie mógł liczyć na litość. Jego myśli musiały przecisnąć się przez kanał transferu, bo usłyszał wyraźnie zduszony oddech Jaycee, kiedy wchodził w ciemny korytarz.

Szedł powoli, przyciśnięty do ściany. Miał nadzieje, że drzwi pozostały otwarte. Nie przeliczył się. Z pewnością technicy nie mieli głowy do takich rzeczy w czasie ewakuacji.

Kiedy upewnił się, że może pracować bez przeszkód, przyjrzał się uważniej aparaturze. Zapalniki rakiet, mimo odwrócenia sprawiały znajome wrażenie. Jego pamięć przebijała się wolno przez blokadę w miarę rozpadania się sztucznej pseudoosobowości. Sprawdził pospiesznie stan magazynu. Znajdowały się w nim cztery pociski typu Nemesis. Żaden z nich nie mógł się nawet porównywać do głowicy, która zniszczyła Onaris.

Leżały w swoich łożyskach, czekając jedynie na oficera, który by je połączył w całość. Bron szybko przystąpił do pracy i natychmiast zorientował się, że kiedyś musiał zostać przeszkolony w tym zakresie.

Najtrudniejsza cześć operacji polegała na przesłaniu rakiet do wyrzutni. W ciszy lotu podprzestrzennego operacja ta musiała obudzić czujność załogi. Bron upewnił się, że tor lotu i zapalniki zostały dobrze zaprogramowane. Sprawdził również automaty odpalające. Oczywiście ich działanie mogło zostać przerwane z mostku, ale miał nadzieje, że zanim ktokolwiek się zorientuje pociski będą już daleko.

Włączył każdą z rakiet i natychmiast uruchomił wszystkie czujniki alarmowe, które mógł znaleźć. Wynik tej operacji przypominał dość wiernie totalny i całkowity zamęt, o którym tak często marzył. Syreny i brzęczyki huczały po korytarzach, a na wszystkich ekranach migotały napisy, wzywające załogę na swoje stanowiska.

Kiedy upewnił się, że wszystkie pociski spoczęły w wyrzutniach wrócił do sali nawigacyjnej.

Zaraz potem wpadli tam dwaj Niszczyciele. Przyjrzeli mu się podejrzliwie i pobiegli dalej. Po kilku sekundach zapadła cisza. Bron zajął się przeglądaniem map z anielską miną, podczas gdy Jaycee umilała mu życie przekleństwami i wyzwiskami. Spokój trwał krótko. Niszczyciele szybko wyciągnęli wnioski.

Szef ekipy był wielki, arogancki i na tyle młody, żeby jego mongolska brzydota mogła uchodzić za oryginalną urodę. Rysy jego podwładnych odzwierciedlały pomieszanie ras żyjących na planetach Niszczycieli.

- Pieprzony wariacie. Nie posłuchałeś ostrzeżenia Daiquista. Musiałeś udawać bohatera. Jeden ruch szefa i wszyscy skierowali lufy na Srona.

- Ty zafajdany chrześcijaninie z Onaris. Odpłacimy ci złem za zło... Chce zobaczyć, jak będziesz sie modlił...

„Z przyjemnością się temu przyjrzę" - zauważyła z podnieceniem Jaycee. „Mam jakby wrażenie, że ci mili chłopcy pragną pokazać ci własną wizje Chaosu... Kłopot z tobą polega na tym, że nigdy nie wiesz, kiedy należy się zatrzymać".

- No, módl sie!

Bron nie miał najmniejszej szansy uniknąć ciosu. Dostał prosto w twarz i upadł. Natychmiast potem buty, wzmocnione blachą, wbiły mu się w żebra, przekonując go, że najmniej bolesna była postawa pionowa.

- Będziesz się teraz modlił? Błagaj mnie, Synkretysto. Twoje życie jest w moich rekach. Daiquist powiedział, żeby strzelać przy najmniejszym podejrzeniu. Ale nie sądzę, żeby miał za złe, że cie skopałem na śmierć.

„Nadstaw mu drugi policzek, Bron. Może go rozśmieszysz do łez. To twoja jedyna szansa". To właśnie było najgorsze. Ta przyjemność, którą wyczuwał w jej słowach.

- Zamknij się, dziwko. Któregoś dnia...

Cios w brzuch rzucił go na kolana. Czyjeś ramiona podniosły go do góry. Szef Niszczycieli zabrał sie do swojego niszczycielskiego obowiązku powoli i metodycznie, wysyłając swoją olbrzymią pieść to w głowę, to w ciało Brona. Jaycee bawiła się w Anioła pocieszyciela z finezją i zadowoleniem fachowca obserwującego dobrą robotę. Bron przyjął wszystko co mógł i zemdlał. Odchodził w nieświadomość prawie z wdzięcznością.

List z Dune

Andrzej Zimniak

Drogi Arturze!
Lato, a wraz z nim wakacje, mają się ku końcowi, a ja ciągle nie mogę się zdecydować na opuszczenie Dune, tego sennego nadmorskiego miasteczka. Niewielkie murowane domki stoją rozłamanymi szeregami wzdłuż brukowanych uliczek, które zalega cisza i zatęchły cień. Uparte zielsko wdarło się wszędobylskimi pędami pomiędzy płyty chodników i w szczeliny spękanych ścian, wszędzie tam, gdzie wiatr nawiał choć trochę ziemi.
Niektóre z okiennych jam są zabite surowymi deskami, w inne wprawiono odłamki szyb, zapewne odkopane w starych śmietnikach. Za tymi smutnymi witrażami widać zniekształcone twarze, a wieczorem żółte rozmigotane światło wskazuje na gnieżdżące się tam życie.



Tak z zewnątrz wygląda Dune, uczepione żyznego jęzora ziemi naniesionej przez dawno wyschnięty strumień, wciśnięte pomiędzy kopne wydmy, z domami rozsypanymi jak garść klocków po dnie doliny uchodzącej do zwodniczo niebieskiego morza.
Na pewno kiedyś wspominałem ci o moich planach podróży na północ. Wszystko zaczęło się dawno temu, jeszcze w szczenięcych latach - przypadkowo wpadła mi w ręce pewna książka, przesadnie wychwalająca uroki dziwnych, cichych lasów. Wyniosłe sosny królowały tam nad rzadkimi kępami krzewów, które dawały się łatwo przemierzać bez używania maczety. Ponad dywanami wrzosowisk wonne powietrze rozwiewane bywało nagłym podmuchem od strony morza i wtedy korony strzelistych drzew poczynały tańczyć powoli i dostojnie. Nie było szelestu i trzepotu liści, tylko narastał i potężniał głuchy szum, na który składał się śpiew milionów sosnowych igieł, tnących powietrze. Tam zaś, gdzie obłe wzgórza opadały łagodnie, nastroszone młodym zagajnikiem, na samym dnie niecki błyszczała powierzchnia wody.
Te opisy, zbyt piękne, aby mogły być prawdziwe, chłonąłem wtedy z wypiekami na twarzy. Zafascynowała mnie niezrozumiała cisza leśnych ostępów. Przecież cichy las - to martwy las! Gdzie przepadło mrowie cykad i świerszczy, dających nieustanny koncert? Musiałem sam doświadczyć dziwnej ciszy w żywym, zielonym lesie, w którym było tak zawsze - milczenie borów nie było tutaj wynikiem działalności człowieka.
Niespełnione marzenia dzieciństwa, tkwiące jak mała, lecz dokuczliwa zadra w duszy dorosłego, wywołują żal za czymś zaprzepaszczonym i utraconym, stopniowo pozbawiają nas rozsądku. Te marzenia kazały mi chwycić plecak i jechać na północ. Nareszcie znalazłem się w cichych, lecz żyjących lasach. Jednakże okazało się, jak to zwykle bywa, że spełnienie dawnych rojeń nie było warte nawet części wysiłku, włożonego w trud ich urzeczywistnienia. Cóż, wciąż uważam, że każdy musi przekonać się o tym na własnej skórze.
Możesz uwierzyć lub nie, ale podałem ci główny powód wyboru tych niegościnnych okolic na miejsce moich wakacji. W najbliższym sąsiedztwie Dune od wieków rozciągały się potężne ostępy leśne. Spokojne, ciche i bezpieczne bory sosnowe. Tak przynajmniej sądziłem; nie mogłem przypuszczać, nikt z zewnątrz zresztą nigdy nie podejrzewał, co dzieje się w Dune i w otaczających je lasach. Wkrótce sam miałem się o tym przekonać.&

Już na stacji czekała mnie niespodzianka. Przyjechałem parową ciuchcią, kursującą raz na tydzień; byłem jedynym pasażerem. Na ozdobnym krześle, ustawionym wprost na peronie drzemał stary człowiek. Kosmyki siwych, pozlepianych włosów opadały mu bezładnie na twarz i czerwony kark. Na dźwięk gwizdka poruszył się i sennie spojrzał w kierunku pociągu. Gdy opuściłem wagon powstał nagle i z niespodziewaną energią pokuśtykał w moją stronę.
- Witam pana serdecznie u nas, panie...- zająknął się, wlepiwszy wzrok w moją tabliczkę identyfikacyjną - panie Frank. Jestem naprawdę rad.
Rzeczywiście uśmiechał się szeroko, ukazując żółte zęby. Fizjonomie miał dosyć odpychającą: czerwona, pełna przebarwień skóra z ospowatą wysypką zwykłych guzów i narośli, jedno oko nabrzmiałe i otwierające się z trudem, drugie pokreskowane siecią fioletowych żyłek. Kiedyś była to na pewno standardowa twarz zadbanego inteligenta, podobna do tych, które można wyszukać w starych encyklopediach. Kiedyś, zanim nie pokryła jej ta odpychająca maska.
- Pan pomylił mnie z kimś innym - głos miałem schrypnięty, jak zwykle, kiedy byłem speszony lub zdenerwowany. Chciałem wyminąć go, lecz powstrzymał mnie zdecydowanym ruchem reki.
- Nie, Frank. Właśnie na pana czekałem.
- To niemożliwe. Znalazłem się tutaj zapełnię przypadkowo, jedynie dlatego, że najbliższy pociąg odchodził właśnie do Dune. Chciałem dotrzeć tylko do wybrzeża. Wiec...
- Proszę mi uwierzyć. Przypadkami także rządzi prawidłowość. Kiedyś musiał tutaj przybyć człowiek podobny do pana.
- Ach tak... - stałem niezdecydowany.
- Wskaże panu kwaterę. Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?
- Niee... Będzie mi to nawet bardzo na rękę. Nie znam tutaj nikogo.
Poprowadził mnie wąską, cienistą uliczką. Byłem przyzwyczajony do widoku ruin i opuszczonych domów, lecz to, co zobaczyłem, zrobiło na mnie wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Szeregi rozsypujących się zmurszałych ruder ciągnęły się wzdłuż zarastającej zielskiem ulicy.
- Czy pan... rzeczywiście jest Efem? - spytał niepewnie, obserwując z nie ukrywanym zadowoleniem tabliczkę na mojej piersi.
Podobne pytania zadawano mi już setki razy, miałem wiec z góry przygotowany szereg wariantów odpowiedzi. Spośród nich wybierałem za każdym razem najbardziej pasującą do rozmówcy.
- Czy pan naprawdę sądzi, że to coś - ująłem swoją tabliczkę tak łatwo podrobić? A nawet gdybym spróbował, to czy zadawał-
bym sobie tyle trudu tylko w tym celu, żeby nałożyć na siebie wiele w końcu uciążliwych obowiązków?
- Proszę mi wybaczyć, tak niezręcznie postawiłem pytanie. A co do tych., obowiązków, to wielu ludzi ich panu zazdrości.
- Chętnie zamieniłbym się z nimi. I robiłbym te rzeczy tylko wtedy, kiedy miałbym na nie ochotę.
Kiedyś mówiłem ci o tym, Arturze, i teraz powtarzam z całą mocą: być płodnym mężczyzną, oznakowanym, jak bydło zarodowe, literą F, to może jeszcze nie nieszczęście, ale już coś bardzo bliskiego. Spełnienie obowiązków dawcy można jeszcze wytrzymać, ofiarowywanie zakapsułkowanych plemników potrzebującym lub wytrwale ponawiającym próby kobietom jest również do zniesienia. Najgorsze są jednak spojrzenia, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, pełne niechęci i zawiści, a nierzadko jawnej wrogości, i cichnące na mój widok rozmowy. My, Efy, czujemy się tak bardzo inni wobec milczącej solidarności Enów, że również najchętniej przebywamy we własnym towarzystwie. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale wielokroć uniknąłem śmierci tylko dzięki odstraszająco ostremu ustawodawstwu. Wszak sąd wymierza karę główną każdemu, kto zagrozi mojemu życiu czy zdrowiu. I to jest logiczne - jesteśmy teraz zbyt cenni dla rodzaju ludzkiego. Jednakże szczerze zazdroszczę Ci twojej litery N.
Mój przewodnik przydzielił mi zupełnie przyzwoitą kwaterę przy samym rynku. Wyłożony spękanymi, betonowymi płytami plac otaczały kamienice; ich fasady zachowały ślady dawnego piękna. Pośrodku rynku dumnie wznosiła się uszkodzona wieża ratuszowa. Zaiste, smutny to był widok. Przywodził mi na myśl pewną zadbaną staruszkę, zapamiętaną z tłumu przypadkowo napotkanych postaci, której sina i zmięta twarz zachowała wciąż jeszcze regularność rysów i niepokojący blask niegdyś uwodzicielskiego spojrzenia.
Moją gospodynią była Juana. Jej pięcioletni syn, jedyne dziecko w miasteczku, stanowił namacalny dowód płodności tej niezwykłej kobiety. Zgrabna, ale jednocześnie rosła i silna, była wprost stworzona do macierzyństwa. Jasne włosy, szarozielone oczy i wydatne kości policzkowe wskazywały na nordyckie pochodzenie jej przodków. Lecz największe wrażenie zrobiła na mnie skóra tej kobiety; była doskonale gładka, bez skaz, wysypek czy najczęściej występujących owrzodzeń, o lekko żółtawej karnacji i fakturze tak drobnej, że wydawała się w dotyku jak jedwab. Przekonałem się o tym jeszcze pierwszej nocy - przyszła do mnie bez żadnych ceregieli, nawet bez uprzedzenia, zrzuciła sukienkę, odchyliła koc i weszła do łóżka. Zupełnie tak, jakby nie było nic innego do roboty, jeśli spotykają dwa różnopłciowe Efy. Zrozumiałem wtedy, dlaczego Godwin, tak bowiem nazywał się oczekujący na stacji starszy człowiek, zaprowadził mnie prosto do niej. Cóż było robić, podporządkowałem się ich woli. Znów ten zakichany nadrzędny interes! Mijały ciężkie, nabrzmiałe sennością godziny tej chłodnej nocy, wiatr łomotał obluzowanymi futrynami, w sąsiednim domu huczało palenisko w miejskiej destylarni wody, a jej wciąż było mało. Gdzieś o szarym świcie nareszcie odciążone posłanie uniosło się o kilka cali, a ja zapadłem w kamienny sen.&

Następnego dnia chciałem wracać. Drzwi nie zamykały się. Chyba wszyscy, a miasteczko liczy około czterystu mieszkańców, przyszli obejrzeć to dziwne zwierze o nazwie Frank. Ludzie w różnym wieku, ale większość starych, pokracznych, poobsypywanych liszajami i niedomytych. Gdy już pakowałem plecak, odwiedził mnie Godwin i uprosił o parę dni zwłoki. Jego pełna godności determinacja zrobiła na mnie wrażenie, tak że w końcu dałem za wygraną, wszakże pod warunkiem, że przynajmniej do wieczora będę miał czas wyłącznie dla siebie. Zaopatrzony w wysokie gumowe buty i parasol, wybrałem się nad morze. Szedłem około mili, najpierw gliniastą drogą pośród upraw warzywnych, potem spopielałym ugorem, w końcu przedarłem się przez ochronne zadrzewienia. Wtedy zobaczyłem spokojne, martwe morze.
Szary przestwór wodny wlewał się na plaże małymi falami; przez zmąconą powierzchnie, odbijającą słabo światło ołowianego nieba, nie dostrzegłem żadnych konturów dna. Cofnąłem się na wydmy, zdjęty nagłym lekiem przed tym groźnym bezmiarem, w którym czyhała śmierć. Ze szczytu pobliskiego wzniesienia patrzyłem długo na rozmazaną linie widnokręgu, wyobrażając sobie brzegi tych dalekich wysp, wokół których jeszcze pływają żywe ryby.
Widok oceanu zawsze wprowadza mnie w refleksyjny nastrój. Ogrom wód przytłacza swoją potęgą i każe wygasić myśl o drobnych, codziennych sprawach; pozostaje wiec kontemplacja. Jestem później zły na siebie za te tragikomiczne uniesienia, ale przyznasz, Arturze, że każdy z nas, od kiedy ogłoszono hipotezę o istnieniu nieskażonej połaci Pacyfiku, co pewien czas w skrytości ducha rozważa możliwości dotarcia na pełne życia wyspy. Podobno zamknięty układ prądów morskich tego akwenu pozwala tylko na bardzo powolne wymieszanie wód. Zresztą, nawet jeśli owe wyspy nie istnieją, dla niektórych ludzi rozmyślanie o nich ma niewątpliwe funkcje terapeutyczne. Banalna kwestia zależności zdrowia psychicznego od wiary. Ale musze przyznać ci racje w dawnym naszym sporze: u podstaw każdego banału leży jakaś fundamentalna prawda, a nie wolno wstydliwie nie brać jej pod uwagę.

Wieczorem znów przyszedł Godwin. Jego obecność nie była dla mnie przykra, nawet polubiłem tego starego, spokojnego człowieka, który, jak już zdążyłem zauważyć, był kimś w rodzaju duchowego przywódcy mieszkańców Dune. Juana zrobiła nam herbaty i poszła do destylarni po wodę do mycia. Od początku tej wizyty wiedziałem, że Godwin ma mi coś do powiedzenia, lecz nie ułatwiałem mu zadania. Długo nie mógł zdecydować się, pytał o różne głupstwa lub opowiadał o miasteczku. Byłem zmęczony i nawet nie starałem tie ukrywać ziewania.
- Pan jest wykształcony, Frank, może wiec...
- Nie przesadzajmy - przerwałem mu - uczę się tylko. Chciałbym po prostu zrozumieć jak najwięcej.
- No tak, ale i tak pan... - wyraźnie grał na zwłokę.
- Mam prośbę, niech pan mówi po prostu: Frank. Nie sądzę abym w swoim krótkim życiu zdążył zapracować na tytuły.
- Zgoda - uśmiechnął się. - Chciałem cie o coś zapytać, Frank.
- Słucham pilnie od samego początku.
- Czy mógłbyś - na czoło wystąpiły mu krople potu -... jak to jest naprawdę z tą płodnością? Dlaczego prawie wszyscy należą do Enów?
Spojrzałem na niego z osłupieniem. Nie dość, że nie mógł zdecydować się na wyjawienie właściwego celu wizyty, to jeszcze zadawał śmieszne pytania.
- No bo widzisz - tłumaczył się - kiedyś twierdzono, że będą rodzić się same kaleki. Że świat zaludni się kalekami!
- Ach, o to panu chodzi. Po prostu, stało się inaczej. Jeszcze jedna nietrafna prognoza. I z pewnością nie ostatnia.
- Ale dlaczego?
- Człowiek nie jest zrobiony z plasteliny. Nie można przykleić mu dwóch głów lub czterech rąk. Taki twór nie będzie żył, zginie w embrionalnej fazie rozwoju lub jeszcze wcześniej jako komórka płciowa. Ziemskie życie to proces, który może toczyć się jedynie w bardzo wąskim przedziale warunków zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych - czułem się trochę nieswojo, pouczając człowieka trzy razy starszego ode mnie. A może on zwyczajnie sobie drwi? - pomyślałem i zaczerwieniłem się aż po czubki uszu.
- Chyba masz racje - mruknął, myśląc już o czymś innym. - Ale właściwie nie o to chciałem cie zapytać. Mam...prośbę.
- Chodzi o zapładnianie waszych kobiet? To należy do moich obowiązków.
- Nie, to nie to - machnął niecierpliwie ręką. - Płodnych kobiet jest u nas tylko kilka. Chodzi o coś innego; przychodzę w imieniu wszystkich mieszkańców. I, oczywiście, w swoim własnym także.
- Nie rozumiem - odparłem zaskoczony.
- Chciałbym prosić cie o... pozostanie w Dune przez jakiś miesiąc, może dwa.
- To całe moje wakacje! Ale po co?
- Chodzi o - sapał z wysiłkiem - drobną pomoc dla nas.
- Na czym ma ona polegać? - moje zdziwienie rosło.
- Co pewien czas zbieramy się, rozmawiamy, radzimy - mówił, patrząc gdzieś w bok, jakby ze wstydem. - Chcielibyśmy, aby w tych spotkaniach uczestniczył ktoś młody spoza naszego grona. Frank - spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczyma, nawet opuchnięta powieka uniosła się nieco - bardzo mi na tym zależy. Chociaż na miesiąc.
- No dobrze... - powiedziałem z ociąganiem, myśląc o długich, podobnych do siebie jak szare krople deszczu dniach. I nocach... Chociaż le wszędzie były podobne.
- Dziękuje ci w imieniu mieszkańców - rzekł Godwin nieco pompatycznie, wstając i ściskając mi dłoń. Był wzruszony. Już wtedy poczułem się nieswojo i przez myśl przemknął mi cień podejrzenia.
- Nie rozumiem jednak, do czego przyda wam się taki młodzik jak ja - nie dawałem za wygraną. - Starsi, doświadczeni ludzie powinni radzić i rozstrzygać, młodzi natomiast najlepiej sprawdzają się w rolach żołnierzy lub kochanków.
- Jestem przekonany, że nam pomożesz - uśmiechnął się wymijająco. - Chodzi przede wszystkim o - szukał przez chwile właściwego określenia - świeżość myśli. O nowy punkt widzenia. Wzruszyłem ramionami i mruknąłem coś w rodzaju „okaże sie", Nie mam żadnych wątpliwości, drogi Arturze, że wtedy zdecydowanie odmówiłbym, gdybym znał cel i przebieg owych „narad". Dlatego sprytny Godwin więcej przemilczał niż powiedział, przypuszczając, że mimowolnie zostanę wplątany w tok wydarzeń. Po wyjściu gościa zasunąłem zasłony i z lubością wyciągnąłem się na łóżku. Prawie natychmiast rozległo się energiczne stukanie do drzwi.
- Nagrzałam ci wody do mycia! - wołała Juana.
- Dziękuje, ale umyje się jutro rano!
Chciałem odpocząć, wyspać się porządnie. To było zagwarantowane ustawą - szkoda, że nie wziąłem ze sobą jej tekstu. Mógłbym przybić go na zewnętrznej stronie drzwi. Co druga noc z mocy prawa była moja i tylko moja.
Potem jeszcze raz rozległo się pukanie, lecz nie zwróciłem na nie żadnej uwagi. Nie dotarł wtedy do mnie fakt, że jak na Juane było ono zbyt słabe i nieśmiałe.&

Następne dni rzeczywiście okazały się podobne do siebie jak krople deszczu, który spadał regularnie koło południa. Niepomny przestróg, uzbrojony w potężny parasol i gumowe buty, wyruszałem na długie spacery do cichych lasów lub, gdy pogoda była bezwietrzna, wzdłuż wybrzeża morskiego. Z wolna zaczęło mnie to nużyć; samotne wędrówki po milczących zaroślach i widok ołowianej tafli oceanu nie budziły już wyobraźni. Wtedy opanowały mnie ponure uczucia. Zastanawiałem się, czy lepiej nudzić się pośród lasów w towarzystwie zdziwaczałych mieszkańców Dune, czy też nad szarymi stronicami podręczników akademickich. Pragnąłem chociaż raz odczuć radość tworzenia się miłości, tak pięknie opisywane w starych, ocalałych książkach. Niestety, teraz chodzi nam wyłącznie o przeżycie; w erze zerowej lub ujemnej ekspansji brak jest miejsca i czasu na uniesienie twórców, zaś miłość całkowicie podporządkowano rozpaczliwym próbom podtrzymania-gatunku. Tak rozmyślając wałęsałem się godzinami bez celu, osłaniając .sie od skażonego deszczu imponujących rozmiarów parasolem, i coraz bardziej żałowałem przyrzeczenia danego Godwinowi. Skrupulatnie liczyłem dni pozostałe do wyjazdu.
Regularnie wywiązywałem się z obowiązków męskiego Efa. Zaraz na początku pobytu w Dune któregoś wieczoru niespodziewanie wszedłem na sejmik pięciu nieznajomych kobiet oraz Juany, odbywający się w moim pokoju. Ponieważ wtedy właśnie przypadał wieczór służby prokreacyjnej, nie mogłem nawet wyrazić swojego niezadowolenia. Panie ustalały harmonogram wizyt u mnie, z kalendarzykami w rekach dowodząc jedna przez drugą swoich racji. Udało mi się nieco uspokoić wzburzone umysły, rozdając fiolki z kapsułkami pełnymi konserwowanych plemników oraz przynależne do nich instrukcje i utensylia. Na Koniec wypiliśmy butelkę jednorocznego wina z jabłek i panie poszły sobie, z wyjątkiem jednej. Tej, która najgłośniej krzyczała. Miała ona około czterdziestki i ważyła sto osiemdziesiąt funtów! To wszystko wydaje Ci się na pewno zabawne, ale mnie wcale nie jest do śmiechu. Ty masz swoją Teresę, do waszego małżeństwa nikt się nie wtrąca, możecie robić, co wam się żywnie podoba. Mnie nie wolno kochać, żenić się, czy żyć w odosobnieniu. Jestem własnością społeczną, chociaż te prawdę maskuje się ładnymi, barwnymi sloganami.
Juana, chyba prawem kontrastu, wydawała mi się teraz miła i pociągająca. Często wspólnie jadaliśmy kolacje.
- Dlaczego masz takie dziwne imię? - spytałem ją kiedyś.
- Nie ja je wybierałam - odparła ze śmiechem. - Moi rodzice pewnie naczytali się jakichś książek.
- A twój synek?
- Ja jestem Marcin - wyrecytował rumiany chłopiec, ledwie wyglądając ponad blat wysokiego stołu.
Wtedy rozległo się ciche pukanie i weszła Emma. Była to drobna, sucha kobieta, nie wyróżniająca się niczym szczególnym.
- Dziś Frank ma wolne - pospieszyła z wyjaśnieniem Juana. Ale przecież... ty jesteś niepłodna! Po co tu przyszłaś? - jej .głos zabrzmiał ostro.
- Ja... - Emma zmieszała się i opuściła głowę, lecz po chwili odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała prosto na mnie z wyzywającym uporem. - Przyszłam zobaczyć Franka. Czy to zabronione?
- On nie jest małpą w zoo - Juana parsknęła śmiechem. Była już trochę podchmielona jabłecznikiem.
- On jest naszym stróżem - odparła poważnie Emma, zaciskając wąskie wargi. Oczy miała głębokie i błyszczące, pocięte ostrymi zmarszczkami.
- Dopiero ma być - weszła jej w słowo Juana i nagle zaczerwieniła się.
- Kto upoważnił cie do rozmawiania z nim na ten temat?
- spytała zachrypniętym głosem, wstając.
- Nikt - odpowiedziała spokojnie. - Po prostu twoje pytania są zbyt natarczywe. Przepraszam, musze już iść. Do widzenia - odwróciła się i wyszła, zakładając szeroki kaptur. Mżył rzadki deszcz.
Nie pytałem o nic Juany tego wieczora, ale za dwa dni wymówiłem się od kolejnej wspólnej kolacji. Lecz Emma nie przyszła.&

Kilka dni później przeżyłem swoją pierwszą przygodę w Dune. Trudno powiedzieć, abym nie najadł się strachu. Tego dnia słońce mętnym blaskiem oświetlało sosnowe bory, w których obudziły się jakieś szepty i westchnienia. Nie był to już nieruchomy, cichy las, czasami tylko grający dalekim porywem wiatru. Ptaki kotłowały siu w koronach drzew, a w gęstym poszyciu szeleściły drobne zwierzęta. Życie nieporadnie lecz uparcie gnieździło się w zakamarkach tych ostępów, kurczowo czepiało się każdej szansy przetrwania.
Szedłem dobrze znaną ścieżką, pogwizdując wesoło; po raz pierwszy od początku wakacji odczuwałem zadowolenie. Do wszystkiego można się przyzwyczaić - powiedziałem głośno do siebie - pozostaje tylko kwestia czasu, potrzebnego do adaptacji. Wtedy właśnie usłyszałem gwałtowny szelest w gęstym młodniaku tuż przy drodze. Jakieś duże zwierze poderwało się ciężko i uciekło, łamiąc po drodze gałęzie.
Serce podeszło mi do gardła, ale po chwili roześmiałem się. Musiałem wypłoszyć same lub jelenia z legowiska w mateczniku.

Przestraszył mnie nagły, głośny trzask gałęzi. Swoją drogą to ciekawe - pomyślałem - nie wiedziałem, że tak duże zwierzęta uchowały się na wolności.
Zaklaskałem głośno w dłonie, aby wypłoszyć innych ewentualnych mieszkańców okolicznych krzaków, i uspokojony ruszyłem w dalszą drogę. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że może powinienem był zawrócić.
Uszedłem może jeszcze z pół mili. Dalej droga zwężała się, meandrując w cienistym lasku, złożonym z liściastych krzewów. I wtedy zobaczyłem je.
Jakieś obłe kształty przecięły w szybkim biegu ścieżkę niedaleko przede mną, niknąc natychmiast w gęstych zaroślach. Stanąłem jak wryty.
Jelenie? Nie, to nie mogły być jelenie. Niskie zwierzęta o długich, czarnych tułowiach nie były podobne do niczego, co dotychczas widziałem w naturze lub na fotografiach. I te nogi! Pokraczne, szeroko rozstawione, stawiające drobne, lecz zawrotnie szybkie kroki, pchające masywne kadłuby naprzód bez wdzięku, ruchem pocisku. A może rzeczywiście... były to sztuczne twory? Jakieś fragmenty dawnych instalacji wojskowych? Na nogach?! Co za bzdury! Lecz nie dostrzegłem żadnych szczegółów, zwierzęta mignęły mi tylko w szybkim biegu. Teraz wolałem już zawrócić. Najpierw szedłem szybkim krokiem, bezustannie rozglądając się wokoło, potem biegłem, aż płytki oddech zaczął palić mnie w piersiach, później znów szedłem na miękkich nogach. Nie ma co, te ciche lasy też dostarczają swoich atrakcji!
W miejscu, z którego wypłoszyłem nieznane zwierze lub zwierzęta na początku spaceru, spomiędzy gałęzi patrzyły na mnie wielkie, żółte ślepia. Nic więcej nie widziałem, reszta tonęła w cieniu, w mroku fosforyzowały tylko te dziwne, podzielone na odrębne fragmenty, obce oczy. Gdy przystanąłem, czując nagle ołów w nogach, zjawisko znikło. Rozległ się cichy szelest, jakby podmuch wiatru musnął najwyższe chojaki zagajnika. Może to tylko strach podsuwał mi dziwaczne wizje? Do skraju lasu nie było daleko. Bez tchu wpadłem pomiędzy długie zagony warzywne i pracujących przy nich mieszkańców Dune. Jeszcze nigdy nie pragnąłem tak mocno znaleźć się jak najbliżej grupy ludzi.
Jak widzisz, Arturze, trudno zaliczyć opisane zdarzenie do przyjemnych, a był to dopiero początek. Zapewne domyślasz się, że od tego dnia zaprzestałem wycieczek do lasu. Wieczorem przyszła Emma. Byłem wciąż zdenerwowany, a właściwie zły na samego siebie za tchórzostwo. Uciekać jak dziecko przed byle leśnym bydlęciem? Przecież wiadomo, że żadne większe drapieżniki nie przeżyły w północnych lasach. Sam nie wiem dlaczego, ale wpuściłem ją. Ostrożnie zdjęła szeroki płaszcz i opłukała ręce w misce z destylowaną wodą. Była zwyczajna. Wąska twarz,, szare włosy, pomiędzy które wkradły się już pasemka siwizny, szczupła, nawet sucha sylwetka. Skora naznaczona licznymi przebarwieniami. Tak samo jak moja - pomyślałem, niezbyt grzecznie leżąc na łóżku. Milczałem.
- Panie Frank - mówiła z wysiłkiem, trzymając pochyloną głowę, tak że nie mogłem dostrzec wyrazu jej twarzy - chce pana prosić o przysługę.
- Na rąbać drzewa?
- Niech pan ze mnie nie żartuje - poprosiła, spoglądając niemal błagalnie. Tak, te oczy nie pasowały do jej w gruncie rzeczy pospolitej twarzy.
- No dobrze - usiadłem na łóżku - ale pani należy do Enów? To widać z daleka na pani tabliczce.
- Wiem - powiedziała cicho - ale... to nieprawda. Teraz jest już inaczej.
Uśmiechnąłem się z politowaniem. Rozmawiałem już z setkami takich kobiet; żadna z nich nie była w stanie wyrzec się beznadziejnych i upokarzających prób. Dla nich esencją życia było macierzyństwo, bez niego dalsze istnienie nie miało sensu. Niestety, tylko jeden jedyny raz od uderzenia laski, z pustynnej skały trysnęła woda.
- Droga Emmo - starałem się, aby moje słowa zbytnio jej nie zabolały - niech pani złoży prośbę o przekwalifikowanie. Jedno badanie zupełnie wystarczy.
- Już złożyłam - odparła cicho.
- Doskonale! Wiec trzeba cierpliwości...
- Wyznaczono mi termin za osiem lat! - W jej wielkich szklistych oczach pojawił się błysk.
Opadłem zmęczony na poduszki. Tak, znałem te sprawy. Spośród odwołujących się płodna okazywała się jedna kobieta na dziesięć tysięcy. Powtórne badania nie miały po prostu sensu, lekarze byli potrzebni gdzie indziej.
- Miałem dzisiaj naprawdę ciężki dzień, proszę to zrozumieć. Nic nie mogę dla pani zrobić - zmusiłem się do tych słów wiedząc, że gaszę jej ostatnią nadzieje. - Może... ale nie, to bezcelowe. Naprawdę, szczerze współczuje. Czy... gra pani na jakimś instrumencie? A może przysłać pani trochę książek?
Usłyszałem zgrzytniecie klamki i stukot lekkich bucików na schodach. Nie podniosłem nawet głowy; wiedziałem, że pozostałem w pokoju sam. Wyciągnąłem się wygodnie, lecz sen nieprędko przyszedł tego wieczora.&

Dwa dni później dosłownie wpadłem na nią na ulicy, gdy wybiegała z destylarni z wiadrem pełnym wody. Odbiła się ode mnie jak dziecko, przewracając naczynie i wylewając na bruk jego zawartość. Podniosłem ją, bąkając słowa przeprosin. Wziąłem wiadro i napełniłem je świeżą, jeszcze ciepłą wodą. Gdy przechodziliśmy przez rynek, zaprosiłem do siebie na herbatę te nieszczęśliwą kobietę.
Drżała, kiedy rozpinałem jej bluzkę. Ciało miała drobne, kształtne, skórę na piersiach, brzuchu i udach prawie bez przebarwień, suchą i szorstką w dotyku. Ta szorstkość sprawiła mi niespodziewaną przyjemność; nie była ani trochę lepka, tylko gorąca i jakby obsypana morskim, drobnym piaskiem. Później, gdy piliśmy przyrzeczoną herbatę, w uśmiechniętej kobiecie z roziskrzonym wzrokiem nie mogłem poznać przygaszonej, smutnej Emmy. Trąciłem ją w ramie, mrugając jednym okiem.
- No, jak to było naprawdę z tą destylarnią? Jej śmiech przypominał chór dzwonków.
- Czekałam na ciebie z pół godziny, aż wreszcie wyszedłeś po wodę..
- Przyjdź jutro... nie, jutro pracuje z Elspet. No to pojutrze. A na jutro weź to - wręczyłem jej fiolkę.
- Nie - odsunęła moją dłoń, otaczając ją drobnymi, cienkimi palcami - nie potrzeba. Wystarczy, jak przyjdę za dwa dni.
Tak to było z Emmą, Arturze. Nie uwierzysz, ale mój nieracjonalny impuls opłacił się ludzkości - rzeczywiście zaszła w ciąże! A ja... od początku czułem się jej bardzo potrzebny. To jest piękne być komuś tak potrzebnym, że niemal niezastąpionym. I może właśnie po to, aby ów stan utrzymać, ona potem stała się potrzebna również mnie. Czy to nazywa się miłością, Arturze? Czy to samo odczuwasz w stosunku do swojej Teresy? Na pewno jestem śmieszny, poza tym głupio mi pytać Cie o tak intymne sprawy, ale ja spełniałem dotychczas jedynie role instrumentu. Nikt nie interesował się, co sprawia mi przyjemność i co mógłbym polubić.&

W dalszym ciągu tej relacji chciałbym opisać ci dramatyczne wypadki, jakie rozegrały się w Dune w połowie sierpnia.. Wtedy dopiero wyszła na jaw przyczyna zatrzymania mnie w miasteczku. Zdaje sobie w pełni sprawę ze znaczenia tych wydarzeń i chciałbym, abyś poniższe sprawozdanie potraktował równie poważnie, udostępniając jego treść opinii publicznej. Sądzę, że sam potrafisz ocenić, co i komu należy dalej przekazać; ufam Ci całkowicie.
Któregoś pogodnego dnia Godwin zabrał mnie na przechadzkę. Spacerowaliśmy wąskimi, pustymi uliczkami, omijając kępy traw i chwastów. Rozmowa nie kleiła się, wyczuwaliśmy, że żaden z nas nie mówi o tym, co go naprawdę interesuje. Już chciałem zakomunikować, że mam zamiar w najbliższym czasie opuścić Dune, zabierając jeszcze kogoś ze sobą, gdy niespodziewanie wyszliśmy na rynek. Wokół samotnie sterczącej wieży ratusza zgromadziło się kilkanaście osób. Jeden z oczekujących spostrzegł nas i wskazał innym. Wtedy zrozumiałem, że nie znaleźliśmy się w tym miejscu przypadkowo.
- Chodźmy do nich - powiedział Godwin, biorąc mnie pod ramie. - czekają na nas.
- Po co? - opierałem się odruchowo.
- Zobaczysz. Chciałem powiedzieć ci o tym wcześniej, ale... to nie jest takie proste. Najlepiej będzie, jeśli przekonasz się o wszystkim sam.
- Jest pan dzisiaj niezwykle tajemniczy. Może dowiem się chociaż, po co oni tam stoją?
- Czekają. Dzisiaj urządzamy zebranie mieszkańców.
- Aha. Czy... jest jakiś specjalny powód?
- Zawsze jest jakiś powód - odpowiedział wymijająco, pozdrawiając zebranych szerokim gestem. Wszedł na wąskie schody, wiodące na szczyt ratusza i pociągnął mnie za sobą. Od omszałych kamiennych ścian powiało wilgocią.
Ludzie wyglądali z góry jak stado kaczek. Widząc nas na galerii rozproszyli się i uformowali wokół podstawy wieży dość regularny pierścień. Godwin nachylił się do mnie, starając się przekrzyczeć wiatr.
- Ty będziesz prowadził! Czy mnie słyszysz?!
Wicher świszczał w prętach zardzewiałej balustrady, szumiał w uszach.
- Słyszę! Ale dlaczego akurat ja?!
- Jesteś młody i pełen nadziei - z wysiłku twarz mu poczerwieniała, a na czole uwypukliły się żyły. - No i jesteś Efem! Ludzie zaufali ci! A bez ich zaufania nie możesz byc... stróżem.
- Stróżem? - powtórzyłem, nie będąc pewien, czy dobrze usłyszałem ostatnie, ciszej wypowiedziane słowo.
- Patrz - Godwin mówił szybko, wykorzystując przerwę w płynących znad morza podmuchach - to nasi ludzie. Są teraz twoi, ufają ci.
- Przykro mi, ale nie wiem, jak wam pomóc. Nigdy nie potrafiłem wygłaszać przemówień - powiedziałem, kierując się ku schodom.
- Poczekaj! - warknął, przytrzymując mnie z niespodziewaną siłą za rękaw. - Popatrz - wskazał na dalekie lasy, wzbierające zielonoburą falą gąszczu po/.a granicami pól uprawnych - stamtąd nadejdzie nie-

bezpieczeństwo. Spróbuj... wypatrzeć je... może usunąć. Tych ludzi - wskazał na gęstniejący na dole tłum - możesz zawsze zwołać. Wystarczy, że tutaj wejdziesz.
- No tak, ale... - wciąż niewiele rozumiałem.
- Zostań tutaj aż wrócę - rzucił rozkazująco i zszedł po schodach. Po chwili dołączył do stojących kręgiem ludzi. Wśród nich rozpoznałem także Juane z synkiem i Emmę.
Czułem się nieswojo. Czego oni chcą ode mnie? Wszystko to przypominało jakiś obrzęd rytualny dawnych, dzikich plemion, o których czytałem w starych książkach. Po plecach przebiegły mi ciarki. Może to ja mam być ofiarą?
Niebezpieczeństwo ma nadejść z lasu... Nagle przypomniałem sobie swoją niedawną przygodę. Czyżbym miał z wieży wypatrywać tych dziwnych zwierząt i sygnalizować mieszkańcom zbliżające się zagrożenie?
Wbiłem wzrok w daleką ścianę lasu, ale widziałem tylko tańczące na wietrze wierzchołki młodych chojaków. Oczy zaczęły zachodzić łzami, otarłem je pięścią. I wtedy zaczęło dziać się coś dziwnego.
Szaroniebieskie niebo pojaśniało nad widnokręgiem, a las przybliżył się, zrzedniał, stał się jakby przezroczysty, tak że bez przeszkód mogłem ujrzeć jego wnętrze. Chociaż nie - uniósł się do góry, ukazując, jak podniesiony kamień, rozbiegających się wśród zbielałych łodyg mieszkańców ciemnego zacisza. Nie, też nie tak, Arturze, gąszcz ani nie przybliżył się do mnie, ani nie uleciał ponad ziemie. To ja widziałem inaczej, odczuwałem przestrzeń i zawarte w niej przedmioty jakimś nieznanym mi dotychczas zmysłem. Mój opis przypomina zapewne próby przedstawienia swoich wrażeń przez ślepca, który nagle odzyskał wzrok. No, może przejście nie było aż tak drastyczne, bo jednak widziałem obraz, który choć tak różny od oglądanych uprzednio widoków, mogłem ogólnie przyporządkować zmysłowi wzroku. Nie musiałem wiec uczyć się wszystkiego od początku. Po chwili zobaczyłem je. Biegały szybko po lesie, zatrzymując się nagle i równie błyskawicznie ruszając w dalszą wędrówkę. Przypominały ogromne mrówki o wydłużonym, cylindrycznym tułowiu. W polu obserwacji znajdowało się kilkanaście tych niesamowitych zwierząt, lecz nie tworzyły skupisk, były rozproszone po całym obszarze.
W pewnej chwili jedno ze stworzeń, z przodu wyglądające jak czarny pająk, wypadło z lasu i rzuciło się na samotnego robotnika rolnego, pracującego w polu.
Nagła fala gorąca uderzyła mi na policzki i objęła głowę. Nie wiedziałem, co robić. Chciałem krzyczeć, potem usiłowałem wskazać kierunek zagrożenia ludziom, zebranym na dole. Lecz wszystkie próby spełzły na niczym; widziałem tylko daleki, zewnętrzny obraz, jakby jedynie w mojej wyobraźni rozgrywała się tragedia. A na skraju lasu, w zasięgu wzroku, ginął człowiek. To, że mnie nie spotkał kilka dni temu podobny los, zawdzięczam tylko szczęśliwemu przypadkowi.
Usiłowałem odwrócić głowę. Nie mogłem patrzeć na krew, zawsze uciekam jak najdalej od żądnego makabry tłumu, otaczającego miejsce wypadku. Lecz było już za późno - wlepiłem wzrok w ciężko biegnącego człowieka i jego prześladowcę, nie mogłem tam nie patrzeć, znieruchomiałem jak sparaliżowany. Widziałem dokładnie, kiedy potwór strzyknął brunatną cieczą, jak potem chwytał ofiarę w przednie łapy i sięgał tępym dziobem do jego szyi.
Przemożne uczucie obrzydzenia wtłoczyło mi żołądek do gardła. Byłem też tak wściekły, że w pierwszym odruchu mógłbym chyba z kijem w reku rzucić się na obrzydliwą pokrakę, dławiącą człowieka jak pająk muchę.
Mój drogi Arturze! Zapewne nie wierzysz w cuda; mogę Cie zapewnić, że i ja nie jestem mistykiem. I teraz już wiem z całą pewnością, że także wtedy w błyskawicznie zachodzących wypadkach nie było niczego nadnaturalnego. Ot, po prostu zdarzyło się jeszcze jedno z tych zjawisk przynależących do tajemniczych, do katalogu oddziaływań miedzy człowiekiem a środowiskiem. Ale musze przyznać, że wtedy, gdy nieszczęśnik wyzwolił się nagle z kosmatych objęć i ruszył szalonym biegiem w kierunku najbliższych zabudowań, nie miałem takiej pewności. Jakby pod ciosem mojego nienawistnego wzroku zwierz cofnął się, ogłuszony, wypuszczając ofiarę, a potem przewrócił się na bok i w gwałtownych drgawkach poplątał swoje długie, owadzie nogi. Nagły skurcz wygiął tułów najpierw na zewnątrz, potem zaś do środka, tak że monstrum znieruchomiało zwinięte w ciasną, martwą bryłę.
Po krótkiej chwili ochłonąłem; nie był to odpowiedni moment na dociekanie. Wytropiłem następnego pająka. Z rosnącą odrazą śledziłem jego pozornie niezdarne, lecz niezwykle szybkie ruchy. Jednakże impuls nie był wystarczająco silny - zwierz znieruchomiał na parę sekund, po czym pognał dalej. Śledząc go wyobraziłem sobie, że goni i dopada bezbronną Emmę. Skutek tych usiłowań przeszedł wszelkie oczekiwania: drapieżca gwałtownie skoczył w górę, jakby wbiegł na rozżarzone węgle. Na ziemie spadł już martwy.
W podobny sposób rozprawiłem się z tymi pająkami, które nie zdążyły uciec poza pole obserwacji. Nie miałem żadnych skrupułów, czułem, że postępuje słusznie i że tego właśnie ode mnie oczekiwano. Teraz zastanawiam się czasem, czy zasadniczą motywacją nie były lek i odraza w stosunku do wszelkich całkowicie od nas odmiennych form bytu. Lecz ilekroć o tym myślę, usprawiedliwiam nasze postępowanie prostą obroną własnego zdrowia i życia. Zaś innego sposobu niż całkowite unicestwienie wroga nie znaleźliśmy.
Na pewno jesteś ciekaw, dlaczego nazywam te drapieżniki pająkami. Po prostu wydają mi się one najbardziej podobne do pająków, choć w istocie nimi nie są. Zresztą moje obserwacje są zbieżne z wrażeniami innych mieszkańców Dune - i wśród nich używane jest to określenie, obok czarta, diabła lub ludojada. A czym to zwierze jest naprawdę, po prostu nie wiem. Rzeczywiście przypomina olbrzymiego owada, chociaż słyszałem kiedyś, że wielkość zwierząt zaklasyfikowanych do tej gromady ograniczona jest ze względu na wydolność ich organów oddechowych. Kto wie, może nastąpiła tutaj jakaś zmiana, lub też po prostu mylący jest wygląd drapieżników. A może są to pierwsze zwiastuny fali gwałtownych mutacji, które na przekór naukowym prognozom, zaleją świat różnego rodzaju potworami? Woda na młyn zwolenników tych teorii! Osobiście nie wierze, aby tak było. Po prostu, jedna mutacja na miliardy mogła spowodować wydanie na świat dziwolągów, lecz podobny zbieg okoliczności powtórzy się zapewne nieprędko. A może te żądne ludzkiej strawy bestie są dalekim pokłosiem prowadzonych bez opamiętania prac nad bronią biologiczną? Lub są to zjawy całkiem nie z tej Ziemi? Nie wiem i nie chce tracić czasu na zbędne spekulacje. Może kiedyś dowiemy się prawdy, lecz nie sądzę, aby miała ona jeszcze jakieś znaczenie, oprócz czysto poznawczego.
Wracam do przerwanej opowieści. Po unieszkodliwieniu wszystkich dostępnych obserwacji pająków zdołałem wyłączyć się z transu. Zataczałem się trochę, jak po raptownym powstaniu z łóżka, lecz poza tym wszystko było w porządku. Słońce obniżyło się bardzo, musiałem spędzić na ratuszu kilka godzin. Podmuchy wiatru były ostre i zimne, lecz nie odczuwałem chłodu; krew pulsowała szybko, jak po dużym wysiłku fizycznym. Chciałem zbiec po schodach, gdy na dole spostrzegłem ciasno zbity krąg ludzi. Oni stali tam przez cały czas! Wychyliłem się przez balustradę i pomachałem wesoło ręką, szukając wzrokiem Godwina. Lecz słowa pozdrowienia zamarły mi na wargach - na dole czekał na mnie nieruchomy, skamieniały tłum. Ich twarze były blade i skurczone, oczy obciągnięte napiętymi powiekami, usta krwistoczerwone, szyje rozdęte nabrzmiałymi pod skórą żyłami. Stali sztywno jak manekiny, wykonując tylko nieznaczne ruchy kolanami w celu utrzymania równowagi. W pierwszym, wewnętrznym szeregu, stał Godwin. Jego twarz zastygła w siną, odrażającą maskę.
Cofnąłem się o krok. Czułem się osaczony, zdany wyłącznie na siebie, bez szans. Po prostu bałem się.
Przez żelazne sztachety balustrady zobaczyłem, jak pośród tłumu osunął się na bruk człowiek. Chciałem krzyczeć, ale gardło miałem zaciśnięte, a na piersiach leżał obezwładniający ciężar. Dopiero po chwili, chyłkiem, postąpiłem do przodu. Odetchnąłem. Nie, to nie była Emma. Z podkurczonymi kończynami, zwinięty w kłębek, na ziemi leżał drobny, stary mężczyzna. Siny od zmierzchu rynek powoli wypełniał ruch. Jak za dotknięciem różdżki ludzie kolejno budzili się z odrętwienia, poruszali się, wychodzili ze zwartych szeregów, półgłosem prowadzili rozmowy. Po chwili przyszedł Godwin i sprowadził mnie na dół.
- Widziałeś je? - zagadnął schrypniętym głosem. Jego twarz z wolna przybierała zwykłą barwę.
Skinąłem głową: nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.
- I co? Odeszły? Ile ich jest?! - gwałtownie wyrzucał z siebie pytania, tak że czułem na twarzy kropelki śliny z jego posiniałych warg. Ci z dołu nie wiedzą o niczym, chociaż dają mi swoją siłę, są tylko źródłem energii - pomyślałem.
- Dziesięć, może... więcej - mój głos zabrzmiał pewniej. - Zabiłem je.
Wynoszono zmarłego. Ciała nie można było wyprostować, pozostało zwinięte w kłębek.
- Dlaczego... on zginął? - spytałem przez zaciśnięte zęby. Godwin wzruszył ramionami; grymas niechęci, który przebiegł mu po twarzy, świadczył o tym, że poruszyłem nieodpowiedni temat. W milczeniu odprowadził mnie do domu i na pożegnanie mocno uścisnął dłoń.
- Dziękuje - powiedział zduszonym głosem. - Nie zawiodłeś nas.
Wreszcie znalazłem się sam z Emmą w swoim pokoju.
- Kim był ten człowiek? Czy to one go zabiły - zasypałem ją niecierpliwymi pytaniami. Skrzywiła się lekko.
- Czy to takie ważne?
- Słuchaj - zerwałem się nagle - może wy myślicie, podejrzewacie, że to ja...
- Nie pleć bzdur! - krzyknęła prawie, również wstając. - Jak mogłeś nawet tak przypuszczać - dodała z wyrzutem, gładząc mój policzek. Odsunąłem ją nieco zbyt szorstko.
- Może ty nie, ale inni...
- Nikt tak nie myśli, mogę ci przyrzec!
- Phi, przyrzec...
- Po prostu wiem - spojrzała mi prosto w oczy. - To zawsze się zda-

rzało, wiec i teraz też.
- Zawsze?
- Tak. Po każdym seansie. Zawsze ginie ktoś z nas. Nie wiemy ani dlaczego, ani kto będzie następny. Może to jakiś refleks, odbicie. Niektórzy mówią, że to danina za ocalenie życia pozostałych.
- No wiesz - burknąłem. - Czy zawsze ginie jeden człowiek?
- Tak, tylko jeden.
- Wiec kim on był? - powtórzyłem.
- To Tom, był szewcem. Dobry człowiek. Dla każdego miał uśmiech i przyjemne słowo.
- A... kto zginął poprzednio?
- Dlaczego mnie wypytujesz? - obruszyła się.
- Czy to tajemnica?
- George - powiedziała po chwili, rumieniąc się lekko. - Kiedyś był dziennikarzem. Spokojny człowiek, nikomu nie przeszkadzał. Wciąż pisał i pisał, do końca, jakby ktokolwiek jeszcze chciał to czytać...
- No tak - uciąłem - a gdzie jest wasz poprzedni stróż?
- Wygnaliśmy go. Stracił nasze zaufanie.
- To było bez sensu. Przecież przyjechałem zupełnie przypadkowo.
- Nie wszystko jest zależne od naszej woli. Seanse po prostu nie wychodziły.
- Powiedz - przysunąłem się do niej - dlaczego stąd po prostu nie wyjedziecie? Nie przeniesiecie się gdzie indziej?
- Myślisz, że takie to proste? Kto nam da mieszkanie i zajęcie? Z czego będziemy żyć?
- Gdzieś w świecie znajdziecie dom. Tutaj te pająki prędzej czy później wysączą z was krew.
- Frank, wszędzie są jakieś pająki.
- Natknąłem się po raz pierwszy na to zjawisko - nie zrozumiałem.
- Każdy człowiek i każda społeczność ma swoją groźbę, swoje niebezpieczeństwo, które wisi nad nimi jak ciężki but nad mrowiskiem. Czy jest wiec sens ponosić ofiary tylko po to, aby zamienić znane zagrożenie na nieznane?
Umilkłem, zbiry z tropu. Dalsze tłumaczenie, że nowe niebezpieczeństwo mogłoby być mniejsze, nie miało sensu, zepchnęłoby bowiem dysputę na tory jałowej retoryki. Bez słowa wziąłem ją w ramiona - takie zakończenie rozmowy wydało mi się najprostsze.&

Następne dwa tygodnie minęły spokojnie. Postanowiliśmy z Godwinem czekać na jak największe nagromadzenie drapieżników, żeby zgładzić je wszystkie za jednym zamachem przy minimalnych stratach własnych. Myśleliśmy obydwaj o tym samym, chociaż żaden z nas nie poruszał drażliwego tematu. Wraz z innymi mieszkańcami Dune uczestniczyłem w skromnym pogrzebie szewca Toma. Żal złapał mnie za gardło duszącym uściskiem, gdy ciężkie grudy ziemi zadudniły na drewnianym wieku trumny. Czy naprawdę musiał zginąć? Wiele dałbym za rozwiązanie tajemnicy śmierci każdej z ofiar. Kiedy wracaliśmy z cmentarza, na skraju lasu pokazały się czarne bestie. Utrzymaliśmy je w bezpiecznej odległości zapalonymi pochodniami i wybuchami petard. Godwin wystrzelił kilka razy z myśliwskiego sztucera, ale kule nie przebijały grubego pancerza. Pospiesznie wycofaliśmy się w obręb zabudowań. Zrozumiałem, że zbliża się chwila ostatecznej rozgrywki. Kto będzie następny?
Ludzie stali się jeszcze bardziej milczący i napięci; rzadko i tylko w koniecznej potrzebie opuszczali swoje domy, rozglądając się podejrzliwie i chyłkiem przebiegając puste ulice. Na warzywnych zagonach bujnie rozpleniły się chwasty, nikt w tych trudnych dniach nie interesował się uprawą roli. Nawet kobiety należące do Efów nie zawsze zjawiały się u mnie w umówionym dniu, tak że mogłem więcej czasu poświecić Emmie. Sam również odczuwałem wzrastające napięcie; nieraz bywałem rozdrażniony i opryskliwy. Gryzłem się stale tym, że być może przeze mnie zginął stary Tom i niebawem śmierć poniesie ktoś następny. Ktoś równie niewinny.
Drogi Arturze, zbliżam się do końca mojej relacji z Dune. Wybacz mi częstą zmianę tematów i enigmatyczność niektórych opisów, ale chciałem możliwie zwięźle przedstawić Ci jak największą liczbę faktów, a także wprowadzić w atmosferę tego dziwnego miejsca. Pragnąłem również opisać zmianę swojego stosunku do tutejszych spraw i problemów, które nieopatrznie stały się moimi w stopniu znacznie większym niż to mogłem przypuszczać. Wtedy, po pierwszym starciu, jeszcze nie znałem prawdy, chociaż przeczuwałem już, o co chodzi. Wielkie słowo, prawda. Prawdy nie ma - możemy jedynie subiektywnymi ocenami zbliżać się lub oddalać od również subiektywnej średniej. Znasz moje poglądy na ten temat. A ludzie są już tacy, że wszystko, cokolwiek dostaną w ręce, obrócą przynajmniej w części przeciwko sobie.&

Pewnej nocy zbudziło mnie walenie do drzwi. Zerwałem się wystraszony. Na zewnątrz płonął ogień, biegali ludzie, rozlegały się krzyki. Huknęły strzały. Zrozumiałem, że to już. W mig znalazłem się na dworze. W ciemnych wylotach uliczek przemykały czarne bestie, na razie odstraszane wybuchami petard i rzucanymi w ich stronę płonącymi pochodniami. Jeden pająk uczepił się dachu i tkwił tam jak gigantyczny skorpion,
duszący swoją ofiarę. Jego pancerz połyskiwał czerwono w migotliwym świetle ognisk.
Wokół wieży ratusza płonął zwarty krąg ognia. Przez wąskie przejście wbiegali ludzie i ustawiali się na swoich miejscach. Gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz, zawalono przesmyk stertami suchych gałęzi i w szarzejące od wschodu niebo buchały jęzory świeżych płomieni.
Stałem przy balustradzie i spoglądałem na krąg stłoczonych na dole ludzi, na otaczające ich kolisko ognia i na pokraczne drapieżniki, zbliżające się niepewnie do trzaskających płomieni. Byłem napięty do ostatecznych granic, ale przez chwile poczułem się wodzem tych ludzi całkowicie teraz ode mnie zależnych. Byłem ich panem i władcą. Zapomniałem wtedy, że mój los w równej mierze zależał od nich, że ja tylko kierunkowałem i ogniskowałem ich wspólny wysiłek na wybranym celu. Wytężyłem wzrok aż do bólu i nagle w dalekich ciemnościach, które rozjarzyły się niebieskawą poświatą, dostrzegłem dziesiątki rozbieganych cieni. Rejestrowałem także obecność tych bliskich i najbliższych bestii, od których widoku serce napełniało się chłodnym lekiem. Było ich tak wiele, że przez chwile zwątpiłem, czy dam rade wszystkim.
Powoli jednak ogarnęła mnie zimna, zawzięta wściekłość - mogłem rozpocząć dzieło zniszczenia. Zabijałem je po kolei, aż czarne kadłuby utworzyły zwały skręconych cielsk, pokrytych plątaniną kosmatych kończyn. Gdy uporałem się z pająkami wewnątrz miasteczka, kontynuowałem rzeź na spowitych mrokiem polach, a potem wysyłałem cichą śmierć na pozostałe w lesie drapieżniki. Tylko kilka zdołało uniknąć pogromu, lecz nie sądzę, aby prędko powróciły w okolice Dune. Jeszcze w tydzień po tej strasznej nocy mężczyźni wywozili i zakopywali w lesie cuchnące trupy stworów.
Wyswobodziłem się ze zbiorowej hipnozy i wyczerpany opadłem na balustradę. Wschodzące słonce ciepłymi promieniami wypełniło czysty przestwór nieba, kładło pomarańczowe barwy na dachach wyzwolonego z grozy miasteczka. Czułem ogromną ulgę, lecz zarazem piersi ściskał mi ból. Nie śmiałem spojrzeć w dół. Potykając się zszedłem po schodach, przecisnąłem się przez kordon budzących się ludzi, rozrzuciłem butami żarzące się jeszcze głownie. Omijając skręcone kadłuby pająków poszedłem do siebie i rzuciłem się na łóżko. Serce waliło mi jak młotem, głuchy puls rozsadzał skronie. Liczyłem sekundy i minuty. Wiedziałem, że jeśli minie kwadrans i nikt nie przyjdzie, moje przeczucie okaże się prawdą. Straszną prawdą, z którą nigdy nie bede mógł się pogodzić. Weszła cicho, usiadła na łóżku i gładziła mnie po włosach. Czułem, jak zrzuca głazy z moje piersi, zdziera kamienny pancerz. A wiec jednak nie ona! Emma była przy mnie i też płakała.
Zginął mały synek Juany. Gdy nieśliśmy jego ciałko na cmentarz, przysiągłem sobie, że wyjaśnię przyczynę tych tragicznych zgonów. Dalej tak być nie może!
Pisałem Ci już, co sądzę o prawdach ostatecznych. Lecz wydaje mi się, że poznałem już trochę Dune, jego mieszkańców i ich niesamowity sposób obrony. Wierz mi, Arturze, to jest potężna broń. Jeszcze jedna z groźnego arsenału superbroni. Jednak teraz i tutaj jest to brzytwa w reku dziecka.
Jestem coraz bardziej przekonany, że to nie ja byłem przyczyną tragedii, chociaż niczego nie można wykluczyć w sposób definitywny. W pełni kontroluje sytuacje aż do końca... to znaczy do momentu, w którym sam wychodzę ze świadomego transu. Oni natomiast trwają jeszcze przez chwile w bezwolnym letargu, rozporządzając przy tym straszliwą siłą niszczenia życia. Nieświadomi, nieodpowiedzialni, potężni... Rozumiesz już? Ludzka zawiść, drzemiąca w każdym z nas, obraca się zawsze przeciwko najlepszym. Nie możemy znieść, że nie jesteśmy tacy jak oni. Zła, nieprzychylna myśl w normalnych warunkach nie jest nawet wypowiadana, wstydzilibyśmy się jej. Ale tutaj... Oni nie kontrolują swoich odruchów, są nieświadomi. Rozumiesz? Dziennikarz, który pogrąża się w niedostępnym dla innych, lepszym świecie... Zawsze pogodny, stary szewc... Codziennie roześmiane, jedyne w Dune dziecko w ramionach szczęśliwej matki... Teraz wiesz, że nie mogę stąd wyjechać! Nie mogę ich opuścić. Jestem potrzebny. Po raz pierwszy czuje się potrzebny w szczególnym sensie. Można powiedzieć, że jestem niewymienialny. To nie znaczy niezastąpiony, bo takich nie ma. Po prostu nie można mnie wymienić ot tak, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Ty znasz to uczucie od dawna, jesteś szczęśliwym małżonkiem. Ja zaznaje go po raz pierwszy.
Musze zostać i walczyć dalej. Zdaje sobie sprawę z ogromu przedsięwzięcia. To nie jest zadanie na siły jednego człowieka i na czas jednego życia, wiem o tym. Ale też mój cel jest znacznie skromniejszy: nie może być więcej ofiar na placu pod ratuszem. Nie wiem jeszcze, jak tego dokonam, lecz już niebawem napisze Ci o tym.

Twój oddany Frank

Andrzej Zimniak

(Kwiecień 82)

O autorze: patrz „Fantastyka" nr 2/82



Weird fiction czy science creation?

Ciekaw jestem, jak wysoko oceniłby twórczość Howarda Phillipsa Lovercrafta nasz wybitny fantasta sprzed dziesięcioleci - Stefan Grabiński. Autor „Demona ruchu" stworzył bowiem własną, unikalną teorię „oryginalności literackiej", a za niedościgłego mistrza uważał A.E.Poego, pisarza wybiegającego odważnie w przyszłość, przerzucającego mosty między rzeczywistością doświadczenia i marzenia, kreślącego sceny pełne swoistego niepokoju metafizycznego. Fantastyka Poego - twierdził Grabiński - jest nie tyle zewnętrznym, ornamentacyjnym znakiem nadprzyrodzoności, lecz wyrazem naszych uczuć; motywowana w sposób psychologiczny rodzi się pod wpływem zjawisk, które uznajemy za normalne. Autor zaczyna do wydarzeń zwykłych, wydawałoby się oczywistych, nie budzących podejrzeń i obaw, które w pewnym momencie przestają być normalnymi. Fantastyka jest poniekąd wyzwaniem rzuconym zagadce zła, z którą ludzkość zmaga się od wieków, a jej siłą sprawczą staje się niezbadana dusza człowieka. „Oryginalność absolutna" w pojęciu Grabińskiego wiąże się nie tylko z twórczością Edgara Poego, jej animatorami byli również A. Hoffman, H. Wells, G. Meyrink, L. Stevenson i CK. Norwid. Ale nazwisko Poego padło w tym kontekście nieprzypadkowo. Autor „Kruka" był także mistrzem Howarda Lovercrafta (1890-1937), wielkiego samotnika z Providence, ekscentryka i odludka, uznawanego przez niektórych zwolenników „weird fiction" za wybitną indywidualność epoki. Ten - z początku niedoceniany i lekceważony fantasta - stworzył ponad 50 opowiadań, które dopiero po jego śmierci, opublikowane staraniem wiernych wielbicieli, zawładnęły umysłami Amerykanów, a po drugiej wojnie światowej wyruszyły na podbój Starego Kontynentu. Drukowane i u nas (po raz pierwszy na łamach „Przekroju": „Koszmar z Innsmouth", 1959; „Kolor, który spadł z nieba", 1961; „Zimno", 1961; „Okropność w Dunwich", 1967; „Potwór na progu", 1968) przed kilkoma miesiącami ukazały się w nieco poszerzonej wersji, jako osobne wydanie książkowe z przedmową Marka Wydmucha. Tym, co u Lovercrafta fascynuje najbardziej, jest kwestia pseudonaukowej motywacji jego opowiadań wywodzących się przecież z najlepszych wzorców gatunku „weird fiction". I nie może być mowy o jakiejś pomyłce, warsztatowych niekonsekwencjach, skoro autor (podobnie jak Poe czy Grabiński) jest świadomym teoretykiem literatury fantastycznej (przypomnijmy chociażby jego szkic „Supernatural Horror in Literaturę", 1927). Lovercraft pisze swoje najciekawsze utwory („Zew Cthulhu", 1930; „Szepczący w ciemności", 1930; „W górach szaleństwa", 1931; „Cień spoza czasu", 1934) kiedy w amerykańskiej fantastyce naukowej dominuje Gernsbacowska, przygodowo-sensacyjna robinsonada spod znaku S. Wrighta, E. Borroughsa, J. Williamsona i D. Hamiltona, ale bynajmniej nie stąd czerpie podniety do swych opowiadań. Jego twórczość okazuje się kolejnym ogniwem w procesie stopniowego unaukowienia fantastyki. Z początku XX wieku weird fiction wchłania zdobycze psychiatrii, spirytyzmu, jest coraz częściej literaturą pogłębioną od strony filozoficznej - odkrywa psychofizyczne działanie organizmu człowieka, odrzuca założenia fantastyki romantycznej, dla której irracjonalizm wydobywaną na światło dzienne w stanach był, co najwyżej, formą marzenia, symbolem, alegorią. Karol Boudleaire, europejski tłumacz i popularyzator Poego, powołuje do życia skomplikowany świat wrażeń i instynktów zmysłowych, dostrzegając, że źródło perwersji i agresji leży w naturze człowieka, a diabeł jest po prostu cząstką jego osobowości. Naśladowcy Poego: L. S. Stevenson („Dr Jekyll i Mr Hyde" 1886), O. Wilde („The Picture of Dorian Gray", 1891), B.de Aurevilly („Les Diaboliques", 1874), V. de L'Isle-Adam („Contes cruels", 1883) przeczuwają, że charakter jednostki jest niewiadomą trudną do określenia, szczególnego podrażnienia nerwowego, oszołomienia, szaleństwa. Tezy te podchwytuje z jakąś szczególną skwapliwością autor „Szepczącego w ciemności", ale nie poprzestaje na ich egzemplifikacji poszerzając zakres stawianych pytań, co wydaje się zbliżać jego prozę do współczesnych prognoz egzystencjalnych literatury fantastycznonaukowej.

Pojawia się zatem w twórczości Lovercrafta charakterystyczne już dziś przeświadczenie, że to my sami jesteśmy sprawcami wielu katastrof i zagrożeń, skoro w świadomej penetracji otaczającego nas świata powołujemy do życia moce zdolne zagrozić naszemu istnieniu w skali całej planety („Zew Cthulhu", „Koszmar w Dunwich"). Przerażające zjawy, skubkuby, poronione płody Natury, jakby z upiornych snów szalonego genetyka-naukowca, nie są, co prawda, stworzone rękami człowieka, lecz ten ostatni jest zawsze ich animatorem, w jakimś podświadomym, czysto perwersyjnym dążeniu do rozpętania żywiołów, które mogą mu przynieść zagładę. Magiczne tło tych wydarzeń nie sprzyja porównaniom z ostrzegawczymi historiami science fiction, ale ich sens poraża swoją oczywistością, tak jak w przypadku „Koszmaru w Dunwich", kiedy ocalenie naszego świata zależy od odwagi, pomysłowości, inicjatywy naukowców wypowiadających słowa tajemnicy formuły unicestwiającej widmo bezwzględnego, bezdusznego potwora - Golema. W ogromnym, perspektywicznym « mroszczeniu - twórczość Hawarda Lovercrafta daje się z powodzeniem odczytać w konwencji fantastyki naukowej, w której przedstawiciele współczesnej cywilizacji bronią niezależności przed Istotami przybyłymi na Ziemię z niezbadanego i najczęściej wrogiego Kosmosu. Spotkanie z obcym Rozumem nosi zawsze znamiona agresji, jest działaniem destruktywnym, walką na śmierć i życie, w której nie ma litości dla zwyciężonych. Przyczyn takiego stanu rzeczy wydaje się być kilka. Motyw tragicznego dialogu z Obcymi zostaje wykorzystany w funkcji klasycznego chwytu formalnego: jest unowocześnionym i zmodernizowanym rekwizytem „weird story", pozwalającym zwielokrotnić efekt przewidywanego zaskoczenia (o powodzeniu takiego zabiegu przekonują reperkusje słuchowiska Orsona Wellesa). „Człowiek boi się naprawdę tylko tego, czego nie rozumie"- twierdzi bohater jednego z opowiadań Guy de Maupassanta („Strach"). Stąd też, w najciekawszych utworach Lovercrafta („Muzyka Ericha Zanna", „Kolor z przestworzy") nie jesteśmy w stanie rozpoznać samego zagrożenia; znamy skutki jego działania, pochodzenie, ale wizualna konkretyzacja zjawiska wymyka się naszej uwadze.

Perwersyjności kontaktów cywilizacyjnych zbliża wypowiedzi Lovercrafta do współczesnych przeczuć i wyobrażeń science-fictionerów, którzy, jak określił to kiedyś Stanisław Lem, swoje lęki i niepokoje zaczynają rzutować w Kosmos. Przekonanie o złowieszczych istotach czyhających na nas poza orbitą Neptuna jest nie tyle transformacją teorii Darwinowskiej, hipotezą walki o Byt przeniesioną w przestrzeń międzygwiezdną, co kolejnym przykładem twierdzenia „homo homini lupus est". Ale odwołania świata Lovercraftowskiego na tym się nie kończą. Jego „kontakt" zostaje uwikłany w problematykę o charakterze historiozoficznym, która w nowoczesnej fantastyce naukowej wiąże się z szansą samookreślenia, rozpoznania genezy życia na Ziemi, a nierzadko przyszłych losów naszej cywilizacji. Fantastyczno-mitologiczne uwarunkowania sprawiły, że opowiadania Lovercrafta porównywano nawet z twórczością Jorge L.Borgesa (E.R. Weinberg i E. P. Berglud - „Raderś Guide to the Cthulhu Mythos", 1974). Autor umiejscawia nasz świat i jego przemijającą teraźniejszość w niezwykle złożonym procesie historycznym, przywodzącym na myśl nieco późniejsze wizje R.R. Tolkiena. Przez karty kolejnych opowiadań przewija się motyw istnienia wszechpotężnego, okrutnego ludu przybyłego z Kosmosu, uśpionego w odległych głębinach oceanu, który tylko na chwilę oddał inicjatywę w ręce człowieka i już wkrótce zawładnie światem. Lovercraft niezwykle drobiazgowo, czasem wręcz pedantycznie, uzasadnia obecność owych istot, dorabiając im, jak w XVII-wiecznych utopiach podróżniczych, całą fikcyjną genealogię, przywołując nieistniejące traktaty okultystyczne i ezoteryczne księgi w rodzaju słynnej, lecz... nie opublikowanej „Necronomicon". Również i tu jest prekursorem wielu koncepcji tolkienowskich, co tłumaczy niesłabnące zainteresowanie jego utworami.

Porównanie dwóch, równie popularnych pisarzy, nie powinno iść jednak zbyt daleko. Świat Tolkiena jest, mimo wszystko, bliższy baśniowej formule fantasy; w kosmicznym starciu złych i dobrych mocy te ostatnie zwyciężają, aby otworzyć drogę „szaremu królestwu człowieka". Historiozofii Lovercrafta nie rozjaśnia nawet słaby promyk nadziei: zło jest wszechpotężne, jakieś straszliwe istoty powołały nas do życia i czekają w uśpieniu na moment naszego potknięcia. Metafizyczne niepokoje XX-wiecznej „weird fiction" otrzymują tym samym całkiem realną, spójną motywację, przerażającą w totalnym ubezwłasnowolnieniu, ale usprawiedliwiającą i wybaczającą, zdejmującą z człowieka winę za niewytłumaczalne aberracje psychiczne.

Gdyby postawić pytanie, co z twórczości Lovercrafta ocaliło swą pierwotną wartość, należałoby wskazać na historiozoficzne uwikłanie jego opowiadań. Najbardziej chyba zestarzała się warstwa fabularna tych historii, nieco egzaltowana i przydługie opisy, jak również sam mechanizm strachu, który wywołuje dziś uśmiech zażenowania. Wykruszyła się również cała rekwizytornia techniczna Lovercrafta, jakże bliska romantycznej powieści gotyckiej (wszechobecne pajęczyny, smród, zielone, omszałe głazy, stare domy itp.) Aby przebić powłokę współczesnego racjonalizmu nie wystarczy doskonałości naszej cywilizacji przeciwstawić potęgę Obcych Światów, trzeba stworzyć nową scenerię (statek kosmiczny, komputer, robot) i ukazać jej nieprzydatność w starciu z Nieznanym, które przenika bariery technicznych zabezpieczeń („Alien" R. Scotta). Taki mechanizm strachu nie pojawił się jednak w żadnym z Lovercraftowskich opowiadań. I stąd przesłanie wielu jego utworów można określić mianem „strachu skompromitowanego".

Andrzej Niewiadowski

Howard Phillips Lovercraft: *Zew Cthulhu*. Tłumaczyła Z. Grzybowska, wybór i słowo wstępne M. Wydmuch Czytelnik, Warszawa 1983. Cena 120 zł.

GATUNEK -istota żyjąca!

Przynoszą opowiadania młodzi autorzy, przynosi je także poczta, a na tych tekstach autorskie etykietki: „iner space" albo „space opera", albo „fantasy", albo „horror"... a w tekstach zręczne, lub nie, realizacje sprawdzonych wariantów. Adepci pióra powielają znane formuły z nadzieją, że oto posługując się fantastyką pewnie wkroczą do literackiego panteonu. Tymczasem - guzik, tymczasem - nieprawda! To wyemancypowany, przewrotny Moloch gatunku posługuje się nimi do realizacji swego podstawowego celu - przyrostu liczby i masy.

I taki mamy wybór. Albo gatunek posłuży się nami, by zwiększyć stan posiadania rodzajów i odmian (1920 realizacji w stylu hard, a dopiero 80 fantasy - niedobrze chłopcy, fantasy trzeba nadgonić!), albo my posłużymy się gatunkiem. Tzn. spróbujemy przy jego pomocy uprawiać literaturę coraz atrakcyjniej i trafniej ukazującą świat i nasze ludzkie problemy.

Uwagi te to pierwszy efekt lektury zbioru, skądinąd znakomitych, opowiadań Primo Leviego (autora włoskiego, rocznik 1913) rzuconych niedawno na rynek przez Wydawnictwo Literackie. Oprócz przeróżnych czytelniczych satysfakcji dostarczyła mi bowiem ta proza krytycznej kontuzji; przynależność gatunkowa opowiadanek Leviego jest dość nieuchwytna. Owszem, autor korzysta często z fantastycznych rekwizytów i sytuacji, mamy tu do czynienia z opisanymi po wielokroć cudownymi wynalazkami lub ich projektami; dzieją się te opowiadania w przestrzeni wziętej trochę jakby z Mrożka, trochę z wczesnego Lema, napotykamy nawet na podobne pomysły i podobną filozoficzną refleksję... Lecz mimo to za każdym razem wstrzeliwuje się Levi gdzieś między cudze dokonania i skamieniałe formuły, bądź krąży w pewnej odległości na zewnątrz murów gatunkowego getta. Rzecz, jasna postrzegam tę odmienność z uznaniem. Fantastyka nieortodoksyjna, skrojona tak, by nie przypominać tego, co za fantastykę powszechnie uchodzi, zapisana w poetyce felietonu, dydaktycznej bajki, naukowego traktatu i hipotezy, a trochę tradycyjnej prozy taka fantastyka musi cieszyć w świecie, w którym większość autorów dokładnie wie co i jak, i pracowicie wypełnia szablony. Częściowe przynajmniej wyjaśnienie dotyczące oryginalności Leviego znajdzie czytelnik w posłowiu Henryki Młynarskiej, zawierającym informacje biograficzne. Rzeczywiście, skoro pisarz przeżył w Oświęcimiu; skoro tworząc potem w gorącej, pełnej nadziei, lęków i rozczarowań epoce powojennej, na przemian wracał do literatury i od niej odchodził, oddając się wyłącznie zawodowi chemika, to - jeśli tylko był uczciwy i starczyło mu mądrości - winny w jego prozie odbić się doświadczenia tych skomplikowanych czasów. Tak też się stało.

Zajmuje Leviego człowiek postawiony naprzeciw wielkich i zarazem strasznych możliwości, jakich mu dostarcza powszechne nasycenie techniką, naukowe uzurpacje i wynalazki mogące człowieka uskrzydlić i znokautować, marketing, rządząca wszystkim zasada wydajności i zysku, powszechny handel przedmiotami i ideami - słowem epoka wywyższenia, ale i poniżenia człowieka, nie spotykana dotąd w dziejach. Często na przykład pisze Levi o przedmiotach, które człowiek stworzył. Albo stworzy. Albo mógłby stworzyć. Przed stworzeniem których nie potrafi się powstrzymać. O przedmiotach, które zaczynają żyć własnym życiem. By człowiekowi pomóc. Albo mu zaszkodzić. Albo go zmienić. Oto niektóre z nich: aparat do pisania wierszy, mechaniczny cenzor w postaci tresowanej kury, aparat Mimete kopiujący wszystko (od maszynopisów po żywe istoty), pancerz, którego nie sposób się pozbyć, chroniący ludzkość przed urojonymi meteorytami, Knall - aparat do zabijania bez śladu, sieć telefoniczna, która na własną rękę próbuje dokonać zbożnego dzieła pojednania ludzkości, pasożyty, które po partnersku poczynają dialogować z organizmem ludzkiego nosiciela... Oto wreszcie pomysł na oryginalną reklamę polegający na tatuowaniu reklamowych sloganów na czołach ochotników. W tym jednym tylko, na pozór nieprawdopodobnym, koncepcie, przegląda się wiele niesamowitości XX wieku. I cyferki tatuowane na przedramionach więźniów łagrów, i te inne tatuowane wybranym pod pachą i... potop reklam wymuszających konsumpcję, bez której mógłby się zawalić nasz najlepszy ze światów. Pisze Levi językiem spokojnym, nawet oschłym, ufając, że to co ma do powiedzenia jest ważniejsze od formy. Językiem równie oszczędnym, jakby cynicznym, pisał kiedyś Borowski. Czyżby po doświadczeniu epoki pieców nie tak łatwo było już krzyczeć? Dominuje bowiem w tej prozie chłód, niemaskowany niepokój i nastrój filozoficznej zadumy nad kiksami ludzkiego gatunku takie kształty przybiera czasem fantastyka pod piórem ludzi dorosłych i mądrych. Niedobrze by się stało, gdyby nieprzeliczone zastępy fanów, zaaferowanych notowaniami przeróżnych giełd i zauroczonych nimbem nagród typu Hugo czy Nebula, zdecydowały się prozę Leviego przegapić. Przywraca przecież ta proza wiarę, że fantastyka może się ciągle rozwijać (wcale nie wiadomo w jakim kierunku), że najlepsze jest ciągle przed nią. Co z nią (fantastyką) zrobimy, zależy wciąż tylko od nas.

Maciej Parowski

Primo Levi: *Najlepsza jest woda*. Tłumaczyła H. Wiśniowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983. Cena 100 zł.

KONCEPTY, STYLIZACJE, GESTY...

Powoli wchodzą na literacką scenę ludzie trzydziestoletni. Są oczytani, nieźle wykształceni, obyci w świecie; mają moc doświadczeń indywidualnych i pokoleniowych. Także bolesnych. Stąd pewnie bierze się lekceważący, ironiczny grymas przylepiony do ich warg, a także niewiara w skuteczność literackich wyznań. Stąd ich skłonność do przyjmowania póz i wchodzenia w konwencje raczej, niż gotowość do zajmowania zdecydowanych stanowisk i pełnej literackie) szczerości.

W ograniczonych rozmiarach sytuacja taka służy literaturze. Otrzymujemy w jej wyniku prozę elegancką, erudycyjną, świadomą swych ograniczeń, taką, która wiele sugeruje, ale niczego nie dopowiada do końca. Prozę traktującą o mechanizmach raczej, niż o faktach czy wydarzeniach, prozę fantastyczną stawiającą na stylizację bardziej, niż na wyrażanie autentycznej opinii. Trzydziestoletni startujący do literatury z regionów bliskich naukom ścisłym wybierają tu wtedy poetykę pokrewną klasycznej science fiction. Ci prowenienci uniwersyteckiej, humanistycznej, sięgają po fantastyczność historyczną spod znaku D'Ormessona lub Borgesa. Zbiorek opowiadań Jerzego Grundkowskiego (ur. 1953 r.) legitymującego się studiami na UMK w Toruniu należy do dokonań tego drugiego rodzaju. Smaczna to proza, rzekłabym nawet - wysmakowana. W trzynastu luźno spasowanych opowiadankach-esejach odsłania przed nami autor egzotyczny świat starożytności wziętej z lektur i snów, a w niej dwa zmagające się państwa, dwie kultury - stara i nowa - Annopolis i Terytorium. Jedna właśnie wygrała, pożera teraz drugą. Na to tło rzuca autor dramatyczne epizody z udziałem spiskowców i dyktatorów, więźniów inkwizycji, prowokatorów, bibliotekarzy i herezjarchów, twórców i filozofów. Czyta się to smacznie, zwłaszcza że Grundkowski dba bardzo o to, by czytelnika zaskoczyć. Odwraca niektóre schematy (np. inkwizytorzy wyrzucają heretyka z lochu, przed czym on broni się jak może), monarchów obdarza świadomością i wymową filozofów, uczestnikom epokowych wydarzeń każe uginać się pod ciężarem przepowiedni Księgi, igra z czasem; jego bohaterowie dopuszczają się czynów absurdalnych i wygłaszają sądy pełne paradoksów. Drwina, paradoks, przewrotność - oto czym żywi się proza młodego autora. Jest to eleganckie, pomysłowe, pełne niesamowitych wydarzeń, lecz opisanych tak, że nikogo nie kaleczą. Krótko mówiąc, prowadzi nas autor przez świat, w którym przemoc, krew i cierpienie, nadzieja i rozczarowanie... mają smak kulturowego, estetycznego bibelotu. Którym przecież nie są. Podobne zarzuty czyniono już Borgesowi i D'Ormessonowi, ale jednocześnie chwalono ich za erudycję, inteligencję i dobrą literacką robotę. Toutes proportions gardees - podobne pochwały Grundkowskiemu należą się także. Czy przeglądają się w tej prozie autentyczne mechanizmy historii? Zapewne tak. Historia rzeczywiście bywa przewrotna, okrutna, ludzie zachowują się czasem absurdalnie, a ich wielkie gesty bywają daremne. Te wnioski, bardzo ogólne, są bez wątpienia zgodne z doświadczeniem Grundkowskiego i jego generacji. Czy jest to fantastyka? Tu też przyjdzie udzielić odpowiedzi twierdzącej. Nie dość przecież, że opowiada autor o wydarzeniach wymyślających, to jeszcze korzysta z techniki modelowania, którą polska, zwłaszcza młoda, fantastyka posługuje się często... Skoro tak, jak to się dzieje, że książki nieco tylko bardziej od Grundkowskiego ortodoksyjnych (czytaj: rakietowo-kosmicznych) fantastów zyskują nakłady sześcio-, a nawet trzydziestokrotnie większe niż autor „Annopolis"? Jest to temat na inne, dłuższe opowiadanie, w którym przejrzałyby się nie tyle paradoksy historii, co różne urojenia i szablony myślowe naszego ruchu wydawniczego.

Joanna Salamończyk

Jerzy Grundkowski: *Annopolis, miasto moich snów.* Wydawnictwo Literackie, Kraków 1983. Cena 50 zł.







Zostałem sam, no, może jako jeden z nielicznych na placu boju...

Największe kłopoty największego włoskiego wydawcy SF

mówi Gianfranco VTVIANI, założyciel wydawnictwa Editrice Nord

Adam Hollanek: *Dla większości Polaków, Włochy to jedno z najważniejszych centrów światowej kultury. Zagrożenie Wenecji, atakowanej przez morze przyjmują tak samo jak zniszczenia architektury Krakowa, powodowane przez przemysłową siarkę w atmosferze, utarło sie też przekonanie o pewnych podobieństwach charakterologicznych Włochów i Polaków. To nie przypadek, że wielkim powodzeniem cieszy sie u nas każdy nowy film Felliniego, czy romanse Moravii lub kreacje Mastroianniego. Myślę wiec, iż także włoski rynek literatury science fiction musi być jakoś podobny do naszego: co się pokaże w witrynach księgarskich, natychmiast pewnie znika.*

Gianfranco Vivlani: - O, to się pan grubo myli, panie Adamie, wielkie tradycje kulturowe i sukcesy szczytowych osiągnięć w różnych dziedzinach sztuki współczesnej, wcale nie muszą iść w parze z powszechnym zainteresowaniem tymi zjawiskami. Zresztą dotyczy to wielu krajów zachodnich, nie tylko nas, Włochów. Zainteresowanie książką ogromnie zmalało. Mówi się, że kilka zaledwie procent mieszkańców naszego kraju to czytelnicy; odbiorcy różnych gatunków piśmiennictwa...

- Czy nawet science fiction idzie źle?

- Może i lepiej od innych rodzajów literatury, ale że nie najlepiej, świadczą m.in. bankructwa wielu wydawnictw, które zajmowały się u nas wypuszczaniem na rynek właśnie tej literatury. Zostałem sam, no, może jako jeden z nielicznych na placu boju. Tak, tak, niech pan nie robi zdziwionej miny, należymy do bardzo trudnych, kryzysowych rynków. Największe nasze nakłady sięgają 15 tysięcy egzemplarzy. Sprzedaż przebiega wolno, niemal zawsze wszystko można dostać z tego, co się ukazuje z nowości. Autor musi mieć ogromną siłę przebicia, aby się usadowić na takim rynku, aby być popularnym. Zaczynamy nowe rzeczy, nowych autorów lansować w skromniejszych broszurowych wydaniach. Dopiero, gdy pierwsze pięć tysięcy nakładu ,,chwyci" w księgarniach, gdy znajdą się na taki nakładzik czytelnicy wśród dziesiątków milionów potencjalnych czytelników, drukujemy nakład dziesięciotysięczny - srebrną serię. Bestsellery ukazują się w piętnastotysięcznej serii, złotej.

- Trzeba przyznać, że wydajecie pięknie swoje książki, zwłaszcza te, które ukazują się w większych nakładach. W związku z tym są być może zbyt drogie dla przeciętnego fana. I dlatego taka utrudniona ich sprzedaż?

- Proszę nie myśleć, że tylko u was są trudności z papierem. Po prostu papier staje się i na Zachodzie coraz droższy. A telewizja i kasety wideo stały się faktycznymi u nas konkurentami książki. Trzeba wobec tego tak kalkulować to, co się wypuszcza na rynek, aby i czytelnika przywabić, i wygospodarować jakiś zysk na życie wydawcy i na możliwości dalszego wydawania. Jest to trudny orzech do zgryzienia. Żeby chwyciła książka, musi wyglądać ładnie, musi sugerować, że prezentuje coś cennego. I oczywiście zawierać rzeczy cenne. Treści dobrej klasy. W takich warunkach pewniakami są pisarze uznani na świecie. Mający najlepsze nazwiska. Tłumaczenia skutecznie u nas konkurują z rodzimą literaturą. Niełatwo rodzimemu pisarzowi przebić się przez bariery najbardziej uznanych i wziętych nazwisk autorów zagranicznych, niełatwo wybić się na sławę światową.

- Chce pan przez to powiedzieć, że i nasi pisarze - ciągle jeszcze w dziedzinie SF nie najsławniejsi przecież na świecie, z wyjątkiem Stanisława Lema - nie będą mieli łatwego dostępu do rynku włoskiego.

- I nie stanie się dla nich ten rynek rynkiem wielkiej prosperity. To trzeba mieć na uwadze. Możemy jednak spróbować jakiejś bardziej zorganizowanej współpracy.

- Mówi się u nas i zdają się to potwierdzać doświadczenia, że szanse na druk w wielu krajach zachodnich o nie najsilniejszym rynku SF mają tylko tacy autorzy z krajów spoza obszaru językowego angielskiego czy niemieckiego, których książki przetłumaczono na któryś z tych jeżyków. Czy nasza współpraca miałaby sie opierać na takiej właśnie zasadzie?

- Wcale nie. Jakkolwiek muszę panu, panie Adamie, powiedzieć tutaj o barierach, jakie taka współpraca musiałaby przekroczyć. Po pierwsze otrzymując wasze polskie książki, musiałbym mieć przekonanie, że mam do czy-

nienia z literaturą SF, która u nas zdobędzie powodzenie, rozejdzie się w tych naszych niewielkich, ale według naszej opinii dość wyśrubowanych już nakładach. Dotychczas nie mieliśmy doradców, znawców polskich z dziedziny SF, rekomendujących nam wasze największe osiągnięcia edytorskie. Czy ewentualnie pan...

- Czy nie podjąłbym się takiego doradztwa? Mógłbym spróbować. Ile książek w ciągu roku miałoby szanse zahaczenia się w pana wydawnictwie?

- Dwie, powiedzmy. Z tym, że w zamian za to moglibyście umieścić w polskich oficynach wydawniczych dwie książki autorów włoskich.

- Proszę pamiętać, że na skutek naszych zadłużeń wydawnictwa polskie nie mogą sobie najczęściej pozwolić na płacenie w innych walutach, prócz naszej. Czy to nie zraziłoby waszych pisarzy do naszego rynku? Dostaliby po prostu honoraria w złotówkach. Czy nasza oferta jest do przyjęcia ?

- Jesteście krajem atrakcyjnej literatury fantastycznej i w takich warunkach znajdzie się sporo pisarzy tego gatunku we Włoszech, pisarzy dobrej rangi, którzy; chętnie za złotówki wydadzą u was swoje utwory. Będę w tej sprawie pośredniczył. Ale wracając do barier - wcale ich wszystkich jeszcze nie wymieniliśmy. Proszę sobie wyobrazić, że bardzo trudno u nas znaleźć dobrych, obeznanych z przekładami literackimi tłumaczy z języka polskiego. Tłumacze to w ogóle specjalna kadra. Wydaje mi się że nigdzie o nich nie jest zbyt łatwo. Mają bardzo trudny genre, wymagający niejako rodzinnej znajomości języka, z którego przekłada się na inny język. Obydwa trzeba zresztą mieć od dziecka opanowane i w dodatku jeszcze konieczne są talenty literackie, żeby wszystko razem właściwie zagrało. Polskich tłumaczy, na wysokim poziomie, naprawdę trzeba usilnie szukać, a w przypadku science fiction musieliby się przecież orientować w tej specjalności. Może zabrzmi to paradoksalnie, ale opłacenie polskiego tłumacza kosztuje u nas znacznie więcej niż tłumaczenie z angielskiego czy niemieckiego. Podraża to rzecz jasna ogólny koszt książki polskiej u wydawców zagranicznych.

- Nie orientowałem się, że taka jest sytuacja. Jest to na pewno jedna z przyczyn, że - jak pan powiada - atrakcyjna literatura SF w naszym kraju nie najłatwiej przedostaje sie przez kordony.

- Tak, to sprawa nie jedynie naszego kraju, Włoch, podobne kłopoty z polskimi tłumaczeniami występują i w innych krajach.

- A jakiego typu książki fantastyczne cieszyłyby się u was największym powodzeniem. Co wybierać dla was z naszej fantastyki?

- Nasi czytelnicy! nie przepadają za, modną obecnie w innych krajach, political fiction. Rynek jest pod wpływem klasycznych dzieł fantastyki światowej, otwarty również na fantasy, na szeroko pojętą baśń science fiction. A więc nasza umowa stoi?

- Będziemy próbować, tak jest. Dziękujemy za rozmowę i obietnice przełamania barier.

Notował Adam Hollanek

EDITRICE NORD

Do włoskich księgarń mogą wchodzić jedynie Polacy o silnych nerwach

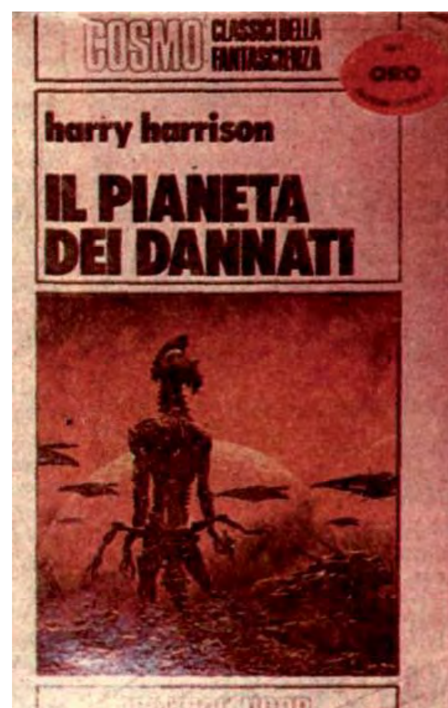
Najskromniejsze nawet stoiska przytłaczają bogactwem tytułów, feerią barw, znakomitym kunsztem edytorskim. Stosunkowo szczęśliwi mogą być jedynie ci, którzy nie rozumieją języka potomków Rzymian, gdyż zawsze wytłumaczyć sobie mogą bezsens kupowania książki li tylko dla jej zewnętrznej urody. Bo reszcie pozostaje jedynie zgrzytanie zębami. Tym bardziej że znudzeni zazwyczaj brakiem klientów sprzedawcy dwoją się i troją, by zdezorientowanemu, nie przywykłemu do takich luksusów gościowi coś jednak sprzedać. A jest w czym wybierać.

W tym bogactwie szczególnie starannym doborem tytułów i wspaniałą, nawet w tym gronie, szatą edytorską wyróżnia się mediolańskie wydawnictwo Editrice Nord założone na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przez włoskiego miłośnika SF, doskonałego znawcę gatunku Gianfranca Vivianiego. Ten mały, flegmatyczny bywalec wszystkich ważniejszych konwencji, działacz, a potem mecenas europejskiego ruchu SF postawił przed sobą ambitne zadanie - przyswojenie włoskiemu, bardzo, niechętnemu książce rynkowi, stosunkowo szerokiej gamy światowych dzieł SF oraz stworzenie własnej, rodzimej szkoły fantastyki naukowej.

Editrice Nord realizuje swój program wydawniczy w siedmiu seriach: Cosmo Argento, Cosmo Oro, Cosmo Oro Ristampe, Anticipazione, Grandi Operę, Collina i Fantacollana oraz trzech cyklach wydawnictw towarzyszących: La cita e la Stelle, SF Saggi Nord i Fumetti.

Najstarsza i najdłuższa seria Cosmo, podzielona na dwie części Cosmo Argento i Cosmo Oro prezentuje najbardziej znane i cenione dzieła światowej SF. Charakteryzuje się twardą, wspaniałą oprawą i doskonałym opracowaniem graficznym. W serii „srebrnej" Editrice Nord wydało dotychczas 135 tytułów, w serii „złotej" - 59. Autorami najczęściej publikowanymi są Norman Spinard, Philip Jose Farmer, GordonDickson, John Brunner, Frederick Pohl, Poul Anderson, A.E. Van Vogt, Ursula LeGuin, Philip K. Dick - a więc gwiazdy angielskiej i amerykańskiej fantastyki. To zresztą reguła całego niemal włoskiego rynku wydawniczego. A w dziedzinie SF szczególnie. Na 312 wydanych przez Editrice Nord pozycji jedynie 32 razy udało się autorom innych krajów wedrzeć w ten anglo-amerykański bastion. W tym trzykrotnie autorom z krajów socjalistycznych. Dwie książki w wydaniu mediolańskiej firmy opublikował Stanisław Lem i jedną rumuński krytyk Ion Hobana. Panuje powszechna opinia, że wydanie książki w Editrice Nord to nobilitacja równa co najmniej nagrodzie Hugo. A mimo to wydawnictwo napotyka na poważne kłopoty ze zbytem dziesięcio-, dwudziestotysięcznych nakładów. Jedynie 58 tytułów zniknęło z księgarskich lad bez śladu. Wśród nich „Niezwyciężony' i „Solaris" Lema. Chcąc zwiększyć zainteresowanie czytelników, Editrice Nord od kilku lat pełni rolę mecenasa włoskiego ruchu SF. Organizuje konwencje, funduje nagrody, organizuje konkursy literackie, których efekty publikuje w specjalnych antologiach. Drugą wielką serią jest Fantacollana - cykl najwybitniejszych światowych utworów z gatunku fantasy. W wyborze znajdujemy opowieści Sprague de Campa, Roberta Howarda, Marion Zimmer Bradley, Cathrine Moore, Gene Wolfe, Lina Cartera. Trzecia wielka seria to SF Narrativa Anticipazione. I tu królują Philip K.Dick, Alfred Bester, Harry Harrison, Ursula LeGuin i Norman Spinard.

Dumą wydawnictwa jest również, niewielka



na razie, lecz bardzo ambitnie pomyślana seria krytyki SF, w której główną rolę odgrywają książki Sama Moskovitza, Alexieja Panshina i Gianniego Montanariego.

Editrice Nord wydaje co roku: i 1 książek w serii Cosmo Argento, po sześć w seriach Cosmo Oro, Cosmo Oro Ristampe, po pięć w Anticipazione i Fantacollana i po jednej w pozostałych. Od 1983 roku wydawnictwo uruchomiło również krytycznoinformacyjny magazyn „Cosmoinformatore" - publikację prezentującą obok najciekawszych informacji ze świata SF również omówienie książek wydawanych w jego seriach oraz eseje o twórcach. Wobec nikłego zainteresowania książką w ogóle dbać musi Gianfranco Viviani nie tyle o rozwój, co o przetrwanie swojej firmy.

Andrzej Wójcik

GŁOWACKI RYSZARD

(ur. 1937) Inżynier geolog, autor SF

Ryszard Głowacki urodził się 31 sierpnia 1937 r. w Dukli. Jest inżynierem geologiem, pracuje jako specjalista w zakresie geologii naftowej. Jako autor SF debiutował w roku 1976 opowiadaniem „Doping" zamieszczonym w kwietniowym numerze „Młodego Technika". W latach 1976-1983 publikował na łamach „Merkuriusza", „Młodego Technika", „ITD". „Prometeja". W roku 1979 ukazała się jego powieść „Paroksyzm numer minus jeden" (KAW), a w T981 - zbiór opowiadań „Raport z rezerwatu" (KAW; zawartość: Czym jestem, Ostatnia wyprawa Yoya Bega, Nielojalność, Dżin dla profesora, Nieudany eksperyment, Poradnia neoscjentologiczna, Doping, Raport z rezerwatu, Kontrakt, Donos, Desperat).

Ponadto dwa kolejne utwory Głowackiego (Miss sektora, Robotomachia) znalazły się w I tomie antologii „Spotkania w przestworzach" (KAW, 1982), a w 6 numerze „Problemów" z r. 1983 opowiadanie „Ktokolwiek sieje rozum". W przygotowaniu powieść: „U nich, na Ziemi" i zbiór opowiadań „Robotomachia".

Twórczość Ryszarda Głowackiego świadczy o znamiennym kierunku ewolucji polskiej prozy fantastyczno-naukowej. Rozpoczyna się od typowych, przygodowo-sensacyjnych historyjek o „cudownym wynalazku", które ostrzegają przed ingerencją wszechwładnej techniki w różnorodne dziedziny aktywności ludzkiej (sport, nauka, biologia). Coraz częściej zaczyna jednak przyjmować postać aluzyjnej przypowieści („Raport z rezerwatu"), jest sposobem stawiania pytań o charakterze egzystencjalnym („Czym jestem?"), wykorzystuje różnorodne formuły literackie: groteskę („Miss sektora"), baśń - parabolę („Robotomachia").

GNATOWSKI JAN

(1855-1925)

Pseud. literacki: Jan Łada

Powieściopisarz, nowelista, publicysta

Jan Gnatowski urodził się 22 lipca 1855 r. w Skarżynówce na Podolu. Uczęszczał do gimnazjów w Odessie i Rydze. Studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim (w latach 1877-1890 był słuchaczem prof. S. Tarnowskiego). Od roku 1890 do 1892 przebywał we Włoszech i Grecji (studia z historii sztuki), a od 1882 do 1884 w Warszawie. W roku 1884 wyjechał do Innsbrucka, gdzie ukończył studia teologiczne. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1887. W latach 1889-1890 pełnił urząd sekretarza nuncjatury apostolskiej w Monachium. Prowadził działalność na rzecz sprawy polskiej, o którą zabiegał jeszcze w czasie pobytu w Warszawie. W roku 1890 przeniósł się do Lwowa, gdzie objął stanowisko wikarego kościoła św. Antoniego, a następnie katechety V, a od 1904 - IV gimnazjum państwowego. W latach 19051925, po przejściu na emeryturę, zamieszkał w Warszawie, nie zaprzestając działalności społecznikowskiej, mimo pogarszającego się stanu zdrowia i utraty wzroku. Miał honorowe tytuły prałata i szambelana papieskiego oraz kanonika żytomierskiego. W roku 1900 otrzymał z rąk papieża krzyż „Bene marenti". Zmarł w Warszawie 9 października 1925 roku. Podróże do Włoch, Turcji, pobyt w Austrii i Bawarii oraz udział w tamtejszym życiu kulturalnym sprawiły, że Gnatowski uważany był za człowieka rozlegle wykształconego. Trzeba przyznać, iż istotnie odegrał znaczną rolę w życiu kulturalnym Lwowa. Prowadził salon literacki, gdzie spotykali się wybitni przedstawiciele nauki i sztuki. Jego wielostronne zainteresowania humanistyczne sprawiły, że był nawet bliski otrzymania katedry historii sztuki na Uniwersytecie Lwowskim. Przez wiele lat redagował pisma katolickie „Wiara" i „Przegląd Katolicki". Współpracował z czasopismami: „Niwa", „Wiek", „Athenaeum" (w tym ostatnim prowadził dział krytyki po Henryku Sienkiewiczu). W ocenie nowych prądów i kierunków artystycznych przyjmował dogmatyczny punkt widzenia (był np. przeciwnikiem „realizmu krytycznego": zob. „Realizm w literaturze nowoczesnej" w: „Przegląd Lwowski" 1879).

We Lwowie ukazały się także niemal wszystkie nowele i powieści Jana Gnatowskiego, pisane pod pseudonimem: Jan Lada. Kwestia prześladowań religijnych w zaborze pruskim doszła do głosu w utworach „Proboszcz z Priesslau" (1912) i „Ostatnia msza" (191-2). Dzieje martyrologii narodowej w powieściach „Doczekał" (1916) i „Na śmierć" (1916). Tematyka historyczna XVII stulecia pojawiła się w utworach: „Mag" (Kijów 1914 - powieść z czasów Zygmunta III Wazy zrodzona pod wpływem twórczości W. Łozińskiego) i „Zaklęte zamczysko" (1925 - historia powstała z inspiracji „Trylogii" H. Sienkiewicza). Zarówno w tych, jak i w innych pozycjach literackich, m.in. w „Antychryście" (Poznań 1920; wyd 2 - Erie, Nakł. i druk „Trybuny Polskiej", 1926) podejmował Gnatowski tematy o charakterze spirytystycznym i fantastycznym. Do konwencji baśni nawiązywał jego „Oman" (1913), a dramat „Jak liście..." grany był na scenach lwowskich i krakowskich.

„Antychryst" Jana Gnatowskiego - „opowieść z ostatnich dni świata" - należy do grona popularnych utworów katastroficznych lat 1918-1936, zrodzonych w wyniku dramatycznych doświadczeń I wojny światowej, upadku tradycyjnych wartości kulturowych i mitologizowania zagrożeń płynących ze strony nowych, narastających ruchów społeczno-politycznych. (Por. T. Kończyński, M. Smolarski, M. Rusinek, J. Braun, W. Niezabitowski i in.) Niespotykana jest tu jedynie skala zarysowanych konfliktów i charakterystyczny, czysto religijny, sposób ich prezentacji. Tematem utworu są dzieje zwycięskiego pochodu Proroka Gesnareha, który wyrusza z Ziemi Świętej na podbój serc i dusz mieszkańców Europy. (Trzeba dodać, że nasz kontynent targany jest w tym czasie waśniami i konfliktami socjalnymi: i tak np. Warszawa mieni się stolicą międzynarodowego proletariatu, podczas gdy Kraków - ostatni „bastion świętej Trójcy" - jest ośrodkiem o charakterze kapitalistycznym). Gesnareh, stojący na czele potężnej, nowocześnie wyposażonej armii, nie przebiera w środkach, posuwając się do niehumanitarnych metod utrzymania i sprawowania władzy (w jego posiadaniu jest „cudowny wynalazek", tzw. „maszyna Lucyfera", której „godzina wystarczy na doszczętne spalenie całej floty powietrznej i wojska lądowego...") Osłabiona Europa chyli się ku upadkowi (proletariusze, korzystając z okazji występują przeciw ciemiężycielom rozpalając zarzewie wojny domowej). Siły obrońców starego porządku nie są w stanie powstrzymać pochodu Proroka. Dopiero w bezpośredniej konfrontacji z Kościołem, w alegorycznej scenie na przedpolach Rzymu (zob. fragment przywoływany na „Pożółkłych kartkach") potęga Gesnareha rozsypuje się w proch, a on sam ginie w płomieniach rozszalałego żywiołu. Powieść Jana Gnatowskiego kończy się jednak dopiero w 50 lat po pamiętnym epilogu Rzymskim. Na zjednoczoną ludzkość spada nowa, nieodwracalna klęska - katastrofa kosmiczna w postaci złowieszczej komety, która staje się powodem zagłady życia na Ziemi... „Antychryst" jest nie tylko ostrzegawczą antyutopią o charakterze alegorycznym, ale i powieścią... fantastyczno-naukowa (opisy techniki militarnej przyszłości, futurologii socjalnej, politycznej, ekonomicznej). Odwołuje się również, wzorem wielu utworów historycznych, do stereotypowych rekwizytów „epoki zmierzchu": upadającego imperium i prześladowania wyznawców wiary chrześcijańskiej. Niewątpliwie nad konstrukcją utworu zaciążyły wpływy „Quo vadis" H. Sienkiewicza (w patetycznej scenie śmierci Proroka pobrzmiewają także echa „Nieboskiej komedii" Z. Krasińskiego). Warto jednak podkreślić, rzadko spotykaną, konsekwencję w zakończeniu wątku akcyjnego „Antychrysta". O ile w większości międzywojennych powieści katastroficznych finał restytuował w dużym stopniu ład początkowy, w utworze Gnatowskiego świat skażony zbrodnią, fałszem i rozkładem moralnym musi zginąć w wyniku katastrofy kosmicznej - Sądu Ostatecznego. Jest zatem powieść Jana Lady całościową, zamkniętą wizją losów ludzkości, prezentacją postaw, idei, symboli kulturowych, którą W. Ostrowski określił niegdyś pojęciem „imaginary history" - fikcyjnej historii przyszłości.

Bibliografia wybrana

Ogólna:

- Nowy Korbut. Bibliografia literatury polskiej, t. 14,
- T. Czapelski: Jan Lada, (w) „Tygodnik Ilustrowany" 1904/1,
- A. B.: Powieści Jana Lady, (w) „Gazeta Warszawska" 1913/306,
- J. Kleiner: Jan Lada, (w) „Tygodnik llustrowa ny" 1925/43,
- St. Lempicki: Ztote paski (wspomnienia ze szkoły galicyjskiej), Warszawa 1957,
- M. Ruszczyć: Pamięci księdza dr. Jana Gnatowskiego, (w) „Za i przeciw" 1965/20.

Recencje:

,,Antychryst"

- „Słowo Polskie" 1920/464,
- „Słowo Polskie" 1921/140,
- „Czas" 1920/284.

OPOWIEŚĆ
z ostatnich dni świata

Jan Gnatowski

Ranek wstał pogodny i ciepły, pachnący wonią dzikich ziół Kampanii, miedzy które wgryzał się chwilami ostrzejszy zapach zwęglonych lasów i domów płynący od strony Monte Rotondo, dokąd dotarły hordy Antychrysta. Przed frontonem Piotrowej bazyliki kilku sanpietrinów przybijało w pośpiechu białe, jedwabne draperie o złocistych obrzeżeniach i ustawiało pod ich osłoną prowizoryczny ołtarz. Przed świtem jeszcze bazylika zapełniać się poczęła duchowieństwem i ludem, zapowiedziano w niej bowiem całodzienne nabożeństwo. W chwili gdy błysnął pierwszy promień słońca, w bocznych drzwiach ukazała się procesja. Kapituła watykańska poprzedzała swego kardynała archiprezbitera, niosącego wielką i drogocenną monstrancje, używaną przy procesji Bożego Ciała. Pozostałymi wejściami tłoczyły sie fale wiernych, napełniając monumentalne schody i plac przed bazyliką. Wówczas od Porta di bronzo zbliżył się inny pochód. Poprzedzony długim zastępem biskupów i kardynałów szedł papież ze złożonymi rekami i odkrytą głową. Stanąwszy przy ołtarzu Piotr drugi ukląkł na przygotowanym klęczniku i zatopił się w modlitwie. Biała jego postać górowała nad ogromnym tłumem, rozpostartym poza nim na szerokiej przestrzeni. Zapadła cisza i trwała długo. Potem uderzył w niebo jakby odgłos spiżu. To stutysięczny tłum mówił chórem „Wierze w Boga". I znów cisza i znów wspólna modlitwa. Podczas modlitwy oczy wszystkich zwracały się do złocistej monstrancji, ale gdy pacierz milkł, biegły w dal, kędy na krańcach widnokręgu szarzał, błyskając srebrnymi refleksami w słońcu, łańcuch kołyszących się nad Rzymem samolotów. Stamtąd miał wnet wyjść sygnał rozpoczęcia walki na śmierć i życie. Ale nie! Nikt z obecnych nie łudził się. Nie była to walka na życie. Dla jednej ze stron walczących nie było innego wyjścia prócz śmierci. I oto nagle zaszeleściało i zahuczało w przestrzeni. Flota nieprzyjacielska poruszyła się. Na czele płynął pod krwawo czarną flagą statek Gesnareha. Za nim zwartym trójkątem płynęły inne samoloty. Flotylla zbliżała się szybko, aż zawisła nad placem Piotrowym. Tłum zakołysał się jak łan zboża, poruszony wichrem. Rozległ się płacz kobiet. Mężczyźni podnieśli w górę zaciśnięte pięście. Jedni padali na kolana, wyciągając dłonie ku niebu, inni patrzali w górę zmartwiali. Krzyżowały się okrzyki przestrachu, ciekawości.

A tymczasem na admiralskim statku czyniono przygotowania. Opadła z hałasem klapa aluminiowa poniżej steru, odsłaniając czarną czeluść wnętrza. Z czeluści tej począł się wydobywać głuchy ryk, jakby z kotła gotującej się wody. W tej chwili stanął u steru wysoko ponad pokładem człowiek białym płaszczem okryty, podobny do płatka śniegu na tle przejrzystego lazuru. Stanął i przysłaniając sobie oczy rażone blaskiem słońca, wpatrywał się uważnie w szerokie linje pilastrow frontonu i w olbrzymią kopułę, wzbijającą się ponad frontonem, jak zawieszony w powietrzu

Panteon. Tłum na dole poruszył się. Głuchy jęk z wielu piersi przeleciał powietrze.

- To on! - wydarło się z tysiąca ust. Papież, który stał już od chwili z oczyma zwróconymi ku nadpływającej flotylli, dał teraz znak. Kardynał archiprezbiter zbliżył się do ołtarza i podał mu monstrancje. Piotr drugi dźwignął ją wysoko przed sobą i majestatycznym ruchem począł kreślić znak krzyża. Brylantowe promienie, rozchodziły się w kształt słońca od białej Hostii, zaświeciły tęcze blasków ponad szerokim czołem i orlim profilem Piotra drugiego, zniżyły się do jego piersi, dotknęły ramion. Lud zamarł, wpatrzony w arcykapłana, czekając cudu. Olbrzymi plac zaległo milczenie. Tylko z czeluści admiralskiego okrętu dochodził wciąż syk głośniejszy, przeraźliwszy niż przedtem. Wszystkie oczy wlepione były w Gesnarecha. On stał nieruchomy, wpatrzony w złocisty krąg, jaki zataczały płomienie monstrancji, przechylony górną połową ciała przez zewnętrzną balustradę sterownego pokładu. Nagle ujrzano go wyciągającego naprzód rękę, w której coś zabłysło.

Papież kończył właśnie krzyż, którego znakiem przeciwstawiał się naporowi wrogich mocy.

- Apage satanas! - wymówił wielkim głosem, który słychać było na krańcach ogromnego placu, a zapewne dolecieć musiał i na wyżynę Gesnarehowego statku. - Ukorz się przed Panem, szatanie i uznaj niemoc swoją i zgiń w piekle!

W tej chwili rozległ się w powietrzu odgłos wystrzału. Antychryst pociągnął sprężynę rewolweru, z którego od chwili celował w monstrancje. Huk rozległ się, ale kula nie uderzyła w świętość. W tym samym mgnieniu oka ogłuszył wszystkich straszliwy łoskot. Aluminiowe boki admiralskiego statku pękły, odsłaniając wnętrze pełne ognii. Skrzydła statku załamały się z chrzęstem. Płomień ogarnął powietrzny budynek, przez chwile jeszcze płynący tak dumnie wśród obłoków. Statki włoskie, okrążające w półkole flotę wroga, cofnęły się szybko. Samoloty Gesnareha chciały uczynić to samo, ale nie miary już dość czasu. Z czeluści admiralskiego statku poleciały, niosąc im ogień i zagładę, pociski piekielnej maszyny. W jednej chwili cały zastęp Gesnarehowych samolotów stanął w ogniu. Światłość od słonecznej odmienna napełniła niebiosa. Wielki okrzyk radości i triumfu rozległ sie na placu Piotrowym i odbił się o dalekie mury Hadrijanowego pomnika i o żółte nurty Tybru.

- Uciekają! Uciekają! - krzyczano, patrząc w górę. Istotnie flota nieprzyjaciela umykała ku rzece, szukając w jej wodach ostatniego środka ocalenia. Jeden statek nie ruszył z miejsca, czy dlatego, że nadto był uszkodzony, by nim można było kierować, czy, że całą załogę już pochłonął ogień. Ale nie! U steru wciąż stał człowiek w białym płaszczu. Płomienie otaczały go już zewsząd i za chwile musiały go pochwycić w straszliwą moc: on nie ustępował i nie szukał ratunku. Widać go było wyraźnie, jak z rekami skrzyżowanymi na piersiach stał u steru, wpatrzony uporczywie w jeden punkt, a punktem tym był złoty ognik promieniujący ze złocistej monstrancji. Płomienie jednak zbliżały się, ogarniając go ognistą obręczą. Fałdzisty płaszcz począł się tlić z kilku stron. Zmorzony bólem, jakiego musiał doświadczać, Gesnareh zrzucił z ramion palącą się odzież i przechylił się w dół



poza balustradę, szukając w wolnej przestrzeni powietrznej swobodnego oddechu i ucieczki przed męczarnią.

W tej chwili właśnie papież kończył znak krzyża, kreślony przezeń przeciwko Antychrystowi i wymawiał ostatnie ze słów, nakazujących poddanie się szatanowi. I w tej samej chwili człowiek, wychylony poza obręcz, stracił równowagę i runął z wyżyny samolotu na ziemie. Głębokie westchnienie wydobyło się z piersi stutysięcznego tłumu. U stóp papieża, trzymającego jeszcze monstrancje, u podnóża Piotrowej bazyliki leżał w kałuży krwi Juda Gesnareh, zdobywca i pan ziemi, zwyciężony w ostatnim boju z Chrystusem.

Piotr drugi oddał asystującemu kardynałowi monstrancje, którą duchowieństwo przeniosło do wnętrza kościoła. Potem podszedł do okrwawionego trupa i przez długą chwile wpatrywał się w nietkniętą przez śmierć królewską piękność jego oblicza.

„Antychryst" (opowieść z ostatnich dni świata), Nakł. Księgami Św. Wojciecha, Poznań Warszawa 1920, wybór ze stron 325-330

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Utwory fantastyczne wydane w Polsce po 1945 r.

Wielka ilość źródeł, z których wywodzi się współczesna SF i - szerzej - fantastyka, sprawia, że bardzo trudno te pojęcia zdefiniować. Brak ścisłej definicji jakiejś dziedziny nie oznacza jednak, żeby nie można było podjąć próby jej skodyfikowania. Taką właśnie próbą będzie poniższa bibliografia utworów fantastycznych wydanych w Polsce Ludowej. Obejmuje ona wszystkie działy fantastyki (oprócz fantazji dla dzieci i młodzieży) oraz niektóre dziedziny z nią związane (futurologia i tzw. „zagadki nauki"). Są to na razie tylko wydawnictwa zwarte (utwory z czasopism wymienię osobno), podane w układzie chronologicznym, a w ramach lat - działowym: • SF dla dorosłych (Adult Science Fiction - ASF), • SF dla dzieci i młodzieży (Child and Juvenal SF - CJSF; jeśli połączona z fantazją - po opisie podaję skrót CJSF/F • Utopia, political fiction, niezwykłe podróże, satyra, fantastyka filozoficzna, SF „prehistoryczna" (przed Vernem i Wellsem) i fantastyka propagandowa „najbliższej przyszłości" (Utopia- U), • Fantazja dla dorosłych (Adult. Fantasy - AF), • Horror (Weird - W), • Krytyka, biografia, film (Reviewing - R), • „Zagadki nauki" - ufologia, psychotronika, zaginione kontynenty itp. (Mysteries of Science - MS), • Futurologia (Futurology - F). W działach MS i F rejestruję wyłącznie książki popularnonaukowe na dość wysokim poziomie, pomijając pozycje przeznaczone dla młodzieży lub czytelników bez minimalnego przygotowania.

Opis bibliograficzny będzie zawierał następujące elementy:
1. Nazwisko j imię autora - przy tłumaczeniach z języków, posługujących się cyrylicą podane nie w transkrypcji, lecz w transliteracji, zgodnie z przepisami, np. ĔFRĔMOV, a nie Jefremow; POLĔŠČUK, a nie Poleszczuk.
2. Pełny tytuł i podtytuł.
3. Przy dziełach zbiorowych - po tytule nazwisko pierwszego współautora (Aut.:... i in.) oraz redaktora-kompilatora (po skrócie Red.:)
4. Przy tłumaczeniach - imię i nazwisko tłumacza i - w skrócie - język oryginału, np. ros., niem.
5. Kolejny numer wydania różny od I (przy wznowieniach pozycji przedwojennych podwójna numeracja) oraz miejsce wydania (w razie braku - miejsce druku) i wydawcę.
6. Format liczony wg wysokości strony (nie okładki): do 15 cm - 32°, 15÷20 - 16°, 20÷25 - 8°, ponad 25 - 4°, jeśli wysokość książki nie przekracza jej szerokości - ze skrótem podł.
7. Liczba stron.
8. Nakład.
9. Nazwa serii (przy seriach fantastycznych - skrócona). Adnotacji zawartościowych będę dokonywał tylko przy niektórych zbiorach opowiadań Lema, gdyż często przy identycznym tytule mają one różną zawartość.
Wątpliwości klasyfikacyjne oznaczam przez podanie na końcu opisu skrótów kilku działów (np. AF/U, U/W) i odsyłacze.
Jeśli mam wątpliwości, czy dana książka w ogóle należy do rejestrowanego przeze mnie zakresu fantastyki, po numerze umieszczam znak (?).
Jeśli nie miałem książki w ręku i wykonywałem jej opis tylko na podstawie bibliografii ogólnych („Przewodnik Bibliograficzny", „Zapowiedzi Wydawnicze") - przed numerem podaję znak.

1945
W roku tym nie ukazała się ani jedna książka fantastyczna.

1946
SF dla dorosłych (ASF):
1. TOŁSTOJ Alěksěy .Eksperyment inż Garina. (Tłum. z ros.). Katowice. „Książka dla Wszystkich". 8° ss. 292. Na k. tyt. aut.: Aleksy Tołstoj. - Brak nazw tłum.
VERNE J. - zob. CJSF, U.
2. ŻUŁAWSKI Jerzy: Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca. Powieść. Wyd. I powój. Warszawa. Spółdz. Wyd. „Wiedza". 8° ss. 355.
3. ŻUŁAWSKI Jerzy: Zwycięzca. Powieść. Wyd. I powój. Warszawa. Spółdz. Wyd. „Wiedza". 8° ss. 336.
SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):
4. (?) KORCZAKOWSKA Jadwiga: Kraina wszelkich możliwości. Powieść dla dzieci. Kraków. SA. Krzyżanowski. 8° ss. 70, nlb. 1. CJSF/F (właść: fantastyczna antyutopia dziecięca).
5. UMIŃSKI Władysław: Na drugą planetę. Z ilustr. E. Bridge'a. Wyd. V. (I powój.). Warszawa. Gebethner i Wolff. 8° ss. 223, nlb. 1, tabl. 6.
6. VERNE Jules: (Dwadzieścia tysięcy) 20 000 mil podwodnej żeglugi. Z 19 ilustr. i okł. de Neuville'a. (Tłum. z franc.) Wyd. I powój. Warszawa. B. Matuszewski,. 8° ss. 335, nlb. 2. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz. - Brak nazw. tłum.
Utopia (U):
7. VERNE Jules: Wyspa tajemnicza. (Tłum. z franc.) Wyd. VI (I powój.) skrócone. Warszawa. Księgarnia J. Kubicki. 8° ss. 344. Na k. tyt. imię aut.: Juliusz. - Brak nazw. tłum.
8. WINAWER Bruno: Roztwór prof. Pytla. Humoreska w 3 (!) aktach. Wyd. I powój. Katowice. Wydawn. Odrodzenie (T. Nalepa). 16° ss. 94. Biblioteka Teatrów Amatorskich nr 154.
Fantazja dla dorosłych (AF):
9. (?) KAŁUŻYŃSKI Zygmunt: Kanikuła. Fantazja dramatyczna w 9 scenach. Łódź. Czytelnik. 8° ss. 79.
10. PRUS BolesŁaw: Sen. Cienie. Łódź (m. dr.) Książka. 8° ss. 32. Mała Biblioteczka „Książki" nr. 8.
„Zagadki nauki" (MS):
11. SZCZEPAŃSKI Ludwik: Strachy, widma, seanse spirytystyczne i dziwy fakirów z licznymi ilustracjami. Napisał... Zakopane (m. dr.). 8° ss. 64.
12. (VORONCOV-VELAMINOV) B.: Czy jest życie na planetach?Tłum. z ros. A. Łukasik. Warszawa. Wyd. Ludowe. 8° ss. 30, nlb. 1. Ilustrowana Popularno-Naukowa Biblioteka Ludowa. Cykl Człowiek i Przyroda, t. 3. Na k. tyt. aut.: Prof. B. Woroncow-Weljaminow.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Kometa Halleya zbliża się do Ziemi regularnie co 76 lat i parę miesięcy. Ponieważ ostatnio widziano ją gołym okiem w 1910 r. (miała wtedy zapowiadać wielką wojnę), teraz pojawi się na niebie w zimie 1986 r. Astronomowie zresztą już ją dostrzegli i szykują różne badania, między innymi wysłanie sondy, która napotkawszy kometę, rozwiąże może wreszcie zagadkę jej budowy i pochodzenia. Nie wszyscy jednak oczekują komety z ciekawością. Niektórzy powitają gościa z Kosmosu z wielkim lekiem: jaką znowu zapowie kieskę?

Komety zawsze, od tysiącleci, uchodziły za zwiastunów nieszczęścia, zapowiadały klęski, zarazy, wojny, śmierć wybitnych ludzi. „Kometa znaczy śmierć Monarchów, Królów y Wodzów... Kometa znaczy Powietrze, znaczy Woynę" - pisał w 1681 r. Kasper Ciechanowski, matematyk i astronom Akademii Krakowskiej. „Powietrze" oznaczało wtedy morową zarazę. Astronom Halley w 1705 r. pierwszy rozpoznał, iż dziwne ciało niebieskie pojawiające się co 76 lat w pobliżu Ziemi jest jedną i tą samą kometą - stąd jej nazwa: Kometa Halleya. Ale bodaj pierwszy raz dostrzegli ją w 974 r. przed naszą erą Chińczycy. W 66 r. po narodzeniu Chrystusa kometa Halleya miała zapowiedzieć powstanie w Judei, zburzenie Jerozolimy, a także katastrofę Herkulanum i Pompei. W 451 r. kometa towarzyszyła Hunom pod wodzą Ahyli - Bicza Bożego, których wyprawy pustoszyły Europę. Ale i Hunom przyniosła klęskę właśnie w tym roku zostali rozbici pod Katalaunum.
W 1066 r. kometa Halleya zwiastowała Anglikom klęskę pod Hastings, najazd Normanów i śmierć króla Harolda II. W 1456 r. jakby opóźniła się wobec klęski Konstantynopol upadł w 1453 r. - ale ówcześni uznali ją za znak, który miał ostrzec chrześcijaństwo przed niewiernymi. Tak było zawsze - kometa była złą wróżbą. Można wprawdzie powiedzieć, że na Ziemi tyle zdarzało się wojen, zdrad, głodów, epidemii i śmierci, że kometa, kiedykolwiek się pojawiła, zawsze musiała „trafić" na jakąś katastrofę...
Zatem przypisywanie kometom roli złowróżbnej jest zabobonem? Zapewne... Jednakże istnieje hipoteza naukowa, przypisująca tym dziwnym i do dziś tajemniczym ciałom niebieskim rolę, rzec można, nadzwyczajną. Wedle tej hipotezy komety miałyby być nosicielami i rozsadnikami życia we Wszechświecie i to kometa właśnie miałaby kiedyś, przed miliardami lat, „zasiać" zarodki życia i na naszej planecie. W pewnym sensie bylibyśmy więc wszyscy dziećmi komety... Tak niezwykłą hipotezę postawili i przekonywająco uzasadnili dwaj wybitni uczeni współcześni: znakomity angielski kosmolog Fred Hoyle (twórca ciekawego, choć dziś odrzuconego modelu „stałego Wszechświata") i nie mniej znakomity astrofizyk pochodzenia hinduskiego, pracujący w Anglii, Chandra Wickramasinghe.
Myśl, że życie stale powstaje „gdzieś w Kosmosie", albo nawet, że jest odwiecznym towarzyszem materii martwej - nie jest zupełną nowością. W XIX wieku hipotezę tę przedstawił w sposób już naukowy H.E. Richter. Uczony ten uważał, że wieczne, mikroskopijne zarodki życia przywędrowały na Ziemię razem z meteorytami. Hipotezę tę wspierał swym autorytetem wielki przyrodnik niemiecki Helmholtz, późniejjednak porzucono ją z braku dowodów. Odżyła dopiero w latach sześćdziesiątych naszego stulecia, kiedy to zaczęto znajdować w meteorytach różne związki-organiczne. Sensacja wybuchła w 1962 r, kiedy G. Claus i B. Nagy znaleźli w meteorytach Orgueil i Ivuna (nazwy od miejscowości, w których spadły te meteoryty) jakieś dziwaczne twory, przypominające pierwotne komórki. Nie chcąc przesądzać charakteru tych komórek, badacze nazwali je

Z tamtej strony lustra

POSIEW ŚMIERCI

Maciej Iłowiecki

„elementami zorganizowanymi”. Później podważono tę obserwację: inni eksperci twierdzili, że owe „elementy” są wprawdzie podobne do komórek, ale nigdy nie były żywe. Właściwie do dziś sprawa ta nie została ostatecznie rozstrzygnięta. Niemniej jednak, w różnych meteorytach, zwłaszcza w tak zwanych chondrytach, tj. specyficznych minerałach węglowych, znajdowano wielokrotnie -nawet złożone związki organiczne, między innymi węglowodory łańcuchowe i pierścieniowe, kwasy tłuszczowe, cukry, a także adeninę i gwaninę, czyli związki, które są podstawowymi składnikami DNA, nosiciela informacii genetycznej w organizmach ziemskich W słynnym meteorycie Murchison (znalezionym w 1969 r, w Australii) wykryto podstawowe cegiełki białka - aminokwasy. Jedno tylko było i do dziś pozostało dziwne: w białkach istot żyjących na Ziemi występują tylko tzw. aminokwasy lewoskrętne (sprawa polegała określonej symetrii cząsteczki), zaś w meteorycie były i lewoskrętne, i prawoskrętne. Fakt ten świadczy o tym, że aminokwasy „meteoryttowe” powstały poza żywym organizmem drogą syntezy chemicznej, nie zaś biologicznej. Ale kto to może wiedzieć na pewno?

W każdym razie do dzisiaj stwierdzono istnienie w przestrzeni międzygwiezdnej kilkudziesięciu związków organicznych. Wśród nich np. formaldehyd, kwas mrówkowy, metyloaminę, aldehyd octowy, eter dwumetylowy, metylocyjanoacetylen, a także... alkohol metylowy i etylowy. Bądź co bądź spirytus w Kosmosie jest rzeczą dość niezwykłą; niedawno wykryta gigantyczna chmura alkoholowa ma długość około 10 lat świetlnych (!) i zawiera nieprawdopodobną ilość 1028 km3 alkoholu. Chmura ta znajduje się ponad 30tys. lat świetlnych od Ziemi.

W 1977 r. wykryto w Kosmosie substancję podobną do chlorofilu (zatem wyjątkowo złożoną) oraz celulozę, będącą przecież głównym składnikiem błon komórkowych wszystkich ziemskich roślin. Jest to właśnie ta sama celuloza której tak w kraju potrzebujemy do produkcji papieru! Nie bardzo wiadomo, w jaki sposób takie substancje powstały w przestrzeniach Wszechświata, jedno wszakże jest pewne: na Ziemi z takich właśnie między innymi związków są zbudowane wszystkie istoty żyjące...

W 1907 r., kiedy jeszcze nie wiedziano o istnieniu w Galaktyce jakichkolwiek związków organicznych, Szwed Svante Arrhe nius wysunął hipotezę radiopanspermii: wieczne zarodki życia przenosi między planetami promieniowanie świetlne. Obliczono, że ciśnienie światła słonecznego w zupełności wystarcza, by przenosić w przestrzeni kosmicznej mikroskopijne zarodki.

Później jednak stwierdzono, ze zarodki te nie wytrzymałyby jednak śmiercionośnych dawek promieniowania kosmicznego. Dziś już nie jest to takie pewne: ziemskie bakterie wykryto na przykład na wysokości 50 km nad Ziemią. Wysłano też różne drobnoustroje rakietą na wysokość 350 km - wystawiono je na działanie próżni, potwornego zimna i promieni kosmicznych. Po sprowadzeniu pojemnika z powrotem na Ziemię okazało się, że niektóre mikroorganizmy przeżyły tak skrajne warunki! Zatem wszystko jest możliwe. Hoyle i Wickramasinghe twierdzą więc nie bez racji, że właśnie komety mogą być dobrym środowiskiem dla narodzin życia.

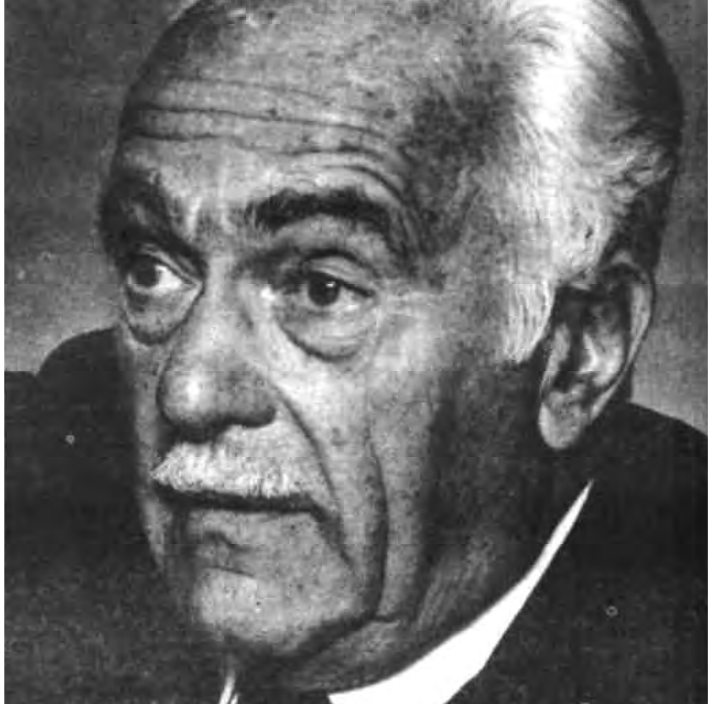
Z grubsza biorąc, tzw. jądro komety składa się z materii meteorytowej, zamarzniętych gazów i lodu. Jądro może mieć średnicę kilku lub nawet kilkudziesięciu km! Kometa, przelatując przez niezmierzone przestrzenie Kosmosu, „zbiera” po drodze najprzeróżniejsze substancje organiczne. W pewnych warunkach fizykochemicznych, których nie będziemy tu opisywać, we wnętrzu komety może następować synteza życia. W pobliżu Słońca, lodowe wnętrze komety topi się, dookoła jądra powstaje ogromna „głowa”, złożona z rozrzedzonych gazów uwolnionych z lodu zarodków życia. Kiedy taka „odtajała” kometa przelatuje w pobliżu Ziemi, zarodki mogą dostać się do atmosfery i opaść na powierzchnię planety. Tak właśnie - powiada Hoyle - przed miliarda mi lat pojawiło się na Ziemi prymitywne. Potem zaś jego ewolucją sterowały już warunki ziemskie. Może zresztą kiedyś Ziemia po prostu zderzyła się z kometą i wszystkie zarodki osiadły w praoceanie? Hoyle i Wickramasinghe idą jeszcze dalej: skoro taki „posiew” życia zdarzył się raz, mógł zdarzyć się wiele razy. Może zdarzać się i dziś... Różne pyły i mikrometeoryty, a nawet większe części komet mogą dostawać się na Ziemię razem z zarodkami życia, na przykład z wirusami. Co się wtedy dzieje? Nie ma już warunków do ewolucji, środowisko jest inne niż było kiedyś. Mikroorganizmy z Kosmosu giną... albo dostają się do organizmów ziemskich i zakażają je. Wracamy do punktu wyjścia - więc jednak komety sprowadzają „morowe powietrze”, mogą być przyczyną chorób? Hoyle i jego kolega nie boją się tak dziwnej hipotezy Twierdzą, że wielkie epidemie, nękające ludzi, były właśnie zazwyczaj poprzedzone spotkaniem Ziemi z kometą! Spotkanie nie musiało być zresztą bezpośrednie, wystarczyło, że Ziemia przecięła niedawny tor komety, napotkała jej warkocz. Jak wiemy, epidemie bywały różne, ale jedno je łączyło: rozprzestrzeniały się bardzo szybko, w krótkim czasie uderzały w całe kontynenty. Zdaniem Hoyle'a, gdyby zaraza była roznoszona tylko przez owady, szczury lub samych ludzi - szybkość jej rozprzestrzeniania byłaby znacznie mniejsza. Ostatnia pandemia - grypy „hiszpanki” zabiła w latach 1918-1919 trzydzieści milionów ludzi. Hoyle twierdzi; że spowodowały ją wirusy, przybyłe na Ziemię parę lat wcześniej z kometą Halleya. Również późniejsze kolejne epidemie grypy mogły przybywać z Kosmosu. Więcej nawet: obecne, nowe, tajemnicze choroby (a w ostatnich czasach pojawiło się kilkanaście nieznanych przedtem chorób zakaźnych, wywoływanych przez nowe rodzaje wirusów) pochodzą, być może, także z przestrzeni pozaziemskiej. Czyżby przerażająca i tajemnicza epidemia - tzw. AIDS - która zaatakowała w 1982 r. Stany Zjednoczone, a dziś dotarła już do Europy i Afryki (i zabiła dotąd około tysiąca osób) miała swe źródło poza Ziemią?



Uczeni przyznają, że jest to jedna z najbardziej tajemniczych chorób: atakuje (dotąd) przede wszystkim homoseksualistów i narkomanów, ale także na przykład Tahitańczyków, ostatnio zaczyna już dobierać się zresztą do innych. Powoduje nagły zanik odporności organizmu i szybką śmierć. Tak, byłby to niezwykły paradoks: komety, które kiedyś zaszczepiły życie na Ziemi, teraz .miałyby je niszczyć? Jeszcze tego brakowało, by do wszystkich nieszczęść, które sami sobie na Ziemi przygotowujemy, miały dochodzić nieszczęścia z Kosmosu! Może jednak Hoyle i Wickramasinghe po prostu nie mają racji? Może „kometa nie znaczy śmierć”? Może dowiemy się o tym w 1986 r„ kiedy dostrzeżemy na niebie kometę Halleya.

A Better Future
can be made
to happen

Aurelio Peccei



OZNAKI UPADKU

Aurelio Peccei

Prezes Klubu Rzymskiego o przyszłości nauki

Klub Rzymski jest tzw. organizacją nierządową, skupiającą 100 osobistości (głównie przemysłowców, polityków i naukowców) z ok. 40 krajów. Działa od 1968 r., a jego program brzmi krótko: problemy światowe i związane z nimi ludzkie wybory. Od 1972 r. są publikowane regularnie Raporty dla Klubu Rzymskiego, poświecone takiej właśnie tematyce globalnej. Zbudowały one ogromny prestiż Klubu, ze względu na ich wysoki poziom naukowy i niezwykle trafne, a jednocześnie oryginalne ujecie kluczowych problemów współczesnej cywilizacji. W Polsce ukazały się. dotychczas następujące Raporty dla Klubu Rzymskiego: „Granice wzrostu”, Ludzkość w punkcie zwrotnym”, „O nowy ład międzynarodowy” i „Uczyć się - bez granic”. W przygotowaniu jest najnowszy Raport z 1982 r., zatytułowany „Mikroelektronika i społeczeństwo. Na dobre i złe”, który w ciągu roku ukazał się już w prawie 40 krajach. Przewodniczącym Klubu Rzymskiego od 1968 r., jest dr Aurelio Peccei, były dyrektor koncernów Fiat i 01ivetti. Od września 1983 r. istnieje Polski Oddział Klubu Rzymskiego, afiliowany przy Komitecie Badań i Prognoz PAN Polska 2000. Tekst jest na pewno dyskusyjny. Publikujemy go licząc na odzew naszych uczonych oraz czytelników.

(Red.)

Aby ocenić wpływ przedsięwzięć naukowo-technicznych na przyszłość społeczeństw, powinniśmy dokładniej przyjrzeć się technologii. Nie można jednak rozdzielać technologii od nauki, której jest ona zastosowaniem. Nauka stanowi glebę, w której technologia zapuszcza swe korzenie, a obie razem dokonują ekspansji do rozległych, nowych przestrzeni. Co więcej, to co dzisiaj uchodzi za czystą naukę, jutro staje się nauką stosowaną, dając bogate żniwo nowych technologii różnego rodzaju.

Jeden sukces rodzi następny, a nauka jest na grzbiecie tej fali. Dokonania nauki nadają jej wewnętrzny impet i stymulują nowe kręgi badań i rozwoju zastosowań praktycznych. Nasi marksistowscy przyjaciele nazywają ten rozmach rewolucją naukowo-techniczną i przyznają jej pierwszorzędną rolę w formowaniu nowego społeczeństwa, którego są zwolennikami. Także wielu z tych, którzy nie są marksistami, łączy wielkie nadzieje z postępem nauki, jako rozwiązaniem wszystkich nurtujących człowieka problemów, czy przynajmniej - znacznej większości z nich. Mam wrażenie, że jest w tym wszystkim pewien rodzaj zbiorowego zaślepienia. Współczesne społeczeństwa zrodziły bowiem mit nauki. Jakże często jednak szlachetne hasła służą ukryciu mniej szlachetnych zamiarów!

Wiele jest powodów, aby zająć się związkiem między nauką i naszą przyszłością. Zanim przystąpię do dyskusji, wymagającej tak wiele subtelności, muszę oświadczyć, że zachowuję szacunek i podziw dla niektórych naukowców z racji posiadanej przez nich wiedzy i wielkie poważanie dla wielu innych. I jestem pierwszym, który przyzna, że dzięki nauce ludzkość dokonała niebywałego postępu, a na jeszcze większy może liczyć w przyszłości. Mimo to wierzę, że musimy zachować wielki krytycyzm i poważny dystans wobec pewnych zjawisk i zachowań w świecie nauki. Dostrzegamy w jakim stopniu jest ona związana z oszalałym wyścigiem zbrojeń, bardziej niż - poza samą armią - jakakolwiek inna część społeczeństwa. Są jednak i inne sprawy do rozwiązania; przede wszystkim pewne niejasności, jakie charakteryzują przedsięwzięcia naukowe. Przykładowo nauka, tak jak się ją uprawia we współczesnych społeczeństwach, jest w istocie na służbie tych, którzy mają władzę.

W znacznej mierze jest rozwijana i stosowana po to, aby umocnić ich poczucie pewności, dobrobytu, siły i prestiżu. Służy ona również zachciankom wybujałej konsumpcji, obojętnie - dóbr materialnych czy pseudokulturalnych. Co więcej, nauka staje się tak droga, ze przestaje już być dostępna dla najbiedniejszych społeczeństw, a zatem stała się prawie wyłącznie udziałem narodów uprzemysłowionych. A zatem różnica między krajami bogatymi a biednymi jest ponad tym względem większa, niż w przypadku dochodów. Innymi słowy,

zdumiewający rozwój współczesnej nauki nie jest motywowany przez wielkie, priorytetowe problemy ludzkości.

Odpowiada raczej interesom krajów gospodarczo rozwiniętych, a zwłaszcza uprzywilejowanym częściom ich społeczeństw, które ostatecznie osiągają największe korzyści z rozwoju nauki. Zasadność tego krytycyzmu potwierdzają zawikłane i nie rozstrzygające o niczym dyskusje o transfe-
rze technologii do krajów mniei rozwiniętych, o technologiach rodzimych, które powinny być lepiej wykorzystane, czy o technologiach odpowiednich, których cały świat tak usilnie potrzebuje.

Co więcej, nie sposób zaprzeczyć istnieniu pewnej dyskryminacji w nauce Niektóre dyscypliny z trudem walczą o swoje obywatelstwo, część z nich ciągle pozostaje całkowicie poza uwagą Kopciuszkiem na bogatym dworze polityki naukowej. Pod wpływem anglosaskiej tendencji, zawężającej naukę do fizyki, chemii czy inżynierii, lwią część środków przeznaczonych na naukę pochłaniają nauki techniczne. W wyniku tego świat nauki, który lubimy sobie wyobrażać jako nieskażony, jest bardzo czuły na względy ekonomiczne. Przykładem mogą być nauki biologiczne. Ich wielkie ożywienie, obserwowane od niedawna, jest związane przede ‘ wszystkim z dążeniem do niezwłocznych zastosowań, ze względu na zyski finansowe. Uwagę tę czynię nie ze względów moralnych, ale dlatego, ze czynnik ekonomiczny działa przeciwko harmonijnemu rozwojowi nauki. W następstwie tego nauki społeczne, w tym etyka - które nie obiecują szybkich ekonomicznych dywidend - są kierowane na zesłanie. Jednakich znaczenie obecnie gwałtownie wzrasta. To, co może być nazwane „delikatnym miejscem” społeczeństwa, potrzebie bardziej niż cokolwiek innego społecznego i politycznego nowatorstwa, do którego nauki techniczne, chociaż wychwalane pod niebiosa, nie są zdolne. Pozostaje to jedynie w mocy nauk o człowieku.

Inna niejasność bierze się z naszych koncepcji dotyczących metody naukowej. Skrępowani nią popadamy w skłonność dokonywania analizy. Zaniedbujemy natomiast wysiłki zmierzające do syntezy, właśnie wtedy, gdy podejście całościowe staje się tak pilną koniecznością. Im bardziej pogrążamy się w analizach, tym głębsze jest wrażenie, że nasza wiedza powiększa się - ale często obraz całości pozostaje ukryty.

Dawniej mówiło się drwiąco, ze informacja jest ułomna wobec wiedzy, a wiedza - wobec mądrości. Prawdą jest, ze dzisiejsza nauka oferuje nam mnóstwo szczegółów, czy raczej okruchów wiedzy, nie dając jak dotychczas tej harmonii w pojmowaniu świata, Która jest kluczem do mądrości. W efekcie

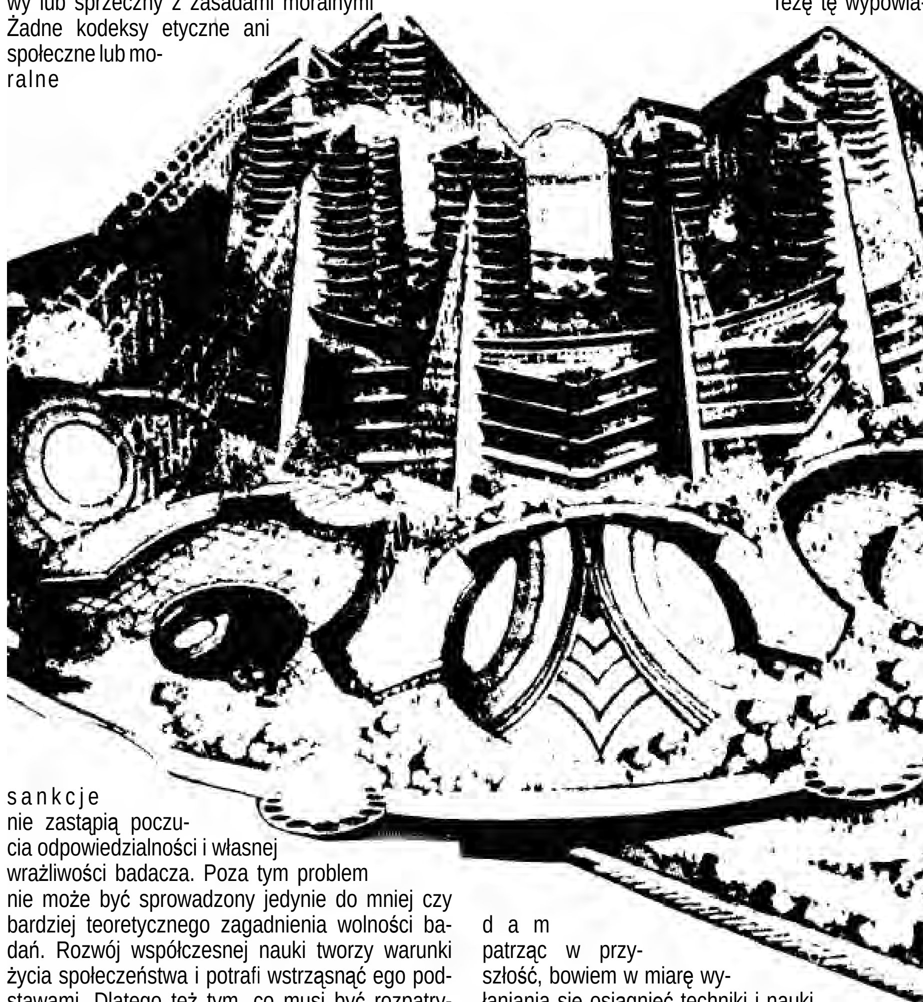
z całą naszą nauką, z sitami, które z niej wypływają, niewiele łączy się mądrości, której tak łakniemy.

Dalszy krytycyzm wynika z pewnych dwuznaczności działań naukowych. Mogą one służyć polepszaniu warunków życia ludzi albo niszczyć je.

Także w przeszłości postęp naukowy byt kierowany ku zastosowaniom dobrym bądź złym. Dzisiaj jednak zjawiska, których źródłem jest nauka, są znacznie bardziej potężne, a ich wpływ - dobry lub zły - wielokrotnie większy niż kiedykolwiek wcześniej.

Niemniej jednak dwoistość ta, właściwa każdemu postępowi naukowemu, może nie być związana z samą nauką. Teoretycznie nauka jest bez winy, a co najmniej - jest neutralna. Aby znaleźć istotę problemu musimy przyjrzeć się społeczeństwu, lego klasom rządzącym, decydentom, technokratom, ich kupieckim bądź militarystycznym skłonnościom, ich brakowi kultury. Musimy wśród naszego gigantycznego techniczno-naukowego potencjału zauważyć występujące błędy, brak odpowiedzialności, egoizm, żądze, ignorancję i inne nasze wady.

Naukowcy także nie są bez winy. Karygodna jest słabość, którą wykazują, nie sprzeciwiając się wykorzystaniu wyników ich prac w sposób niewłaściwy lub sprzeczny z zasadami moralnymi Żadne kodeksy etyczne ani społeczne lub moralne



sankcje nie zastąpią poczucia odpowiedzialności i własnej wrażliwości badacza. Poza tym problem nie może być sprowadzony jedynie do mniej czy bardziej teoretycznego zagadnienia wolności badań. Rozwój współczesnej nauki tworzy warunki życia społeczeństwa i potrafi wstrząsnąć ego podstawami. Dlatego też tym, co musi być rozpatrywane, są wzajemne związki między światem nauki - jako całości - społeczeństwem. Są to więc problemy społeczne, prawne i praktyczne, wykraczające poza aspekt merytoryczny badań, a także prawa samych badaczy i wynalazców. Trzeba pamiętać, że naukowcy tworzą awangardę bardzo dynamiczną, lecz równocześnie bardzo nieliczną. Naukowcy całego świata, nawet wraz ze służbami pomocniczymi, liczą co najwyżej kilka milionów. Tymczasem liczba obywateli sięga kilku miliardów. Masy te są lub będą, w ten czy inny sposób, pod głębokim wpływem działań awangardy. Dlatego przywódcza mniejszość musi nauczyć się osądzać swą odpowiedzialność. Ciąży na niej obowiązek niedoprowadzenia olbrzymiej większości, nawet w sposób niezamierzony, do sytuacji leszcze bardziej krytycznych, niż obecnie. Prawdę mówiąc, naukowcy dotychczas na ogół zbytnio nie myśleli o zastosowaniach swych odkryć naukowych i przełomowych dokonań w technice. A zatem istnieje sytuacja w której społeczeństwo ma obowiązek interweniowania. Musi ono przedsięwziąć każdy środek zmierzający do uniknięcia bądź ograniczenia niewłaściwych zastosowań nauki. W takim stopniu, w jakim jest to możliwe, muszą to być działania zapobiegawcze, przez regulacje uprzedzające działalność naukową, ponieważ gdy dżin raz wydobędzie się z butelki, nie można go już w niej umieścić z powrotem.

Daleki jestem od popierania zamysłów tych, którzy próbują ingerować w naukowe pomysły dociekliwej i twórczej jednostki,

wręcz przeciwnie, porywy te zasługują na zachętę i poparcie. Tam jednak, gdzie beztroska, niedbałość, oportunizm i działania naukowe mogą spowodować znaczne szkody, społeczeństwo musi sięgać po ograniczenia, obmyślone wcześniej i trzymane w pogotowiu.

Tezę tę wypowiadam patrząc w przyszłość, bowiem w miarę wyłaniania się osiągnięć techniki i nauki, wraz z nowymi możliwościami ich praktycznych zastosowań, coraz bardziej potrzebny jest wymóg czujności ze strony społeczeństwa. Mikroelektronika uwolni ludzkość w znacznym stopniu od brzemienia pracy w tradycyjnym jej rozumieniu, przez możliwość automatyzacji - w zakresie, o jakim wcześniej nie marzono. Rewolucji tej można się spodziewać zaledwie za kilka lat.

Krzemowe kostki, mniejsze od paznokcia, o fantastycznej pamięci są zdolne do niezawodnego działania i mogą zastąpić człowieka w tysiącach zadań w przemyśle i usługach. Każdy człowiek będzie mógł się zatem cieszyć ze znacznie dłuższego czasu wypoczynku. Ale nastąpi to na długo przedtem, zanim jednostka czy społeczeństwo będą wiedzieć, jak te możliwości wykorzystać. W tym samym czasie upowszechnią się zastosowania biotechnologii. Poprzez inżynierię człowieka, manipulowanie materiałem genetycznym i pozapłciową reprodukcję - technologie te usiłują „naprawić" organiczne usterki istoty ludzkiej i „wyposażyć" ją w nadzwyczajne zdolności. Zamiar ten jest znacznie bar*, dziej skomplikowany niż już podejmowane próby ulepszania cech bydła, drobiu, kukurydzy czy róż.

Perspektywy te na ogół zdają się być nęcące, a ryzyko, które się z nimi łączy - możliwe do przyjęcia. Ludzie skłonni są wierzyć, że jeżeli nawet zamierzenia te rodzą nowe problemy, to zmuszają również do poszukiwania nowych rozwiązań, w czym upatruje się istoty postępu. A jednak osiągnięcia te rodzą głęboki niepokój społeczny, a następnie filozoficzny i moralny. Muszę wyznać, że jestem zatroskany, a nawet zmartwiony. Obawiam się, że staliśmy się nierozważnymi majsterkowiczami - w stopniu większym niż uczeń czarnoksiężnika. Motywem naszym nie jest potrzeba badań dla dobra, potrzeba wykorzystania naszych najlepszych umiejętności, aby je krzewić. Jesteśmy omamieni przez ducha przygody, przez atrakcyjność tego, co możliwe i czynimy to, do czego jesteśmy zdolni - bądź uważamy, że jesteśmy zdolni - nie rozważając możliwych następstw. Z drugiej zaś strony usiłujemy urzeczywistnić mrzonki. Wydaje się nam, ze któregoś dnia znajdziemy współczesny „kamień filozoficzny", który zapewni nam tanią energię, cudowne odmiany pszenicy, nadzwyczajny środek przeciwko zanieczyszczeniom środowiska, a może nawet eliksir młodości.

Ulegając pokusom nowych dokonań technologicznych, jakkolwiek są one zdumiewające, znaleźliśmy się w sytuacji zagrażającej utratą sensu i znaczenia życia Tak jak to pojmuję, składa się na nie codzienna etyka pracy, pot z czoła i stwardniałe dłonie, duma z tworzenia i nadawania kształtu, bycie pożytecznym i współuczestniczenie, a także - integralność ciała i ducha, łączność i zrozumienie z innymi ludźmi, zjednoczenie z tym, co naturalne, szacunek dla wszystkiego, co istnieje. Utracić to wszystko, aby złożyć ofiarę na ołtarzu nauki w nadziei, że zapewni nam ona w tani sposób bezpieczeństwo i szczęście - oznacza brak rozwagi i głupotę. Jest faustowskim kupczeniem sobą, co jest z gruntu niemoralne.

W tym miejscu chciałbym zakończyć ten z konieczności krótki przegląd niebezpieczeństw zagrażających ludzkości - nie będę się zatem unosił z oburzeniem, że nasze społeczeństwa, tak utalentowane pod wielu innymi względami, nie są zdolne do tego, by ustanowić ścisłe miary swego własnego „postępu". Żaden postęp - naukowy, czy jakikolwiek inny - nie jest bowiem wart wysiłku, jeżeli nie niesie z sobą postępu moralnego, społecznego czy politycznego, zmiany na lepsze w naszych zachowaniach i zwyczajach, a nie wyłącznie - w fizyce, chemii czy medycynie. Jednym słowem - jak nigdy nie przestaję powtarzać postęp nauki musi przede wszystkim wyrastać z kultury.

Dokąd w końcu nauka - taka nauka - nas prowadzi? Jeżeli, jako obywatele, będziemy nadal biernymi obserwatorami, porwie nas ona na swych potężnych skrzydłach do fantastycznej Krainy Plutonu, Automatyki i Alchemii Genetycznej, przeznaczonej dla Nadczłowieka. ale jesteśmy ciągle po prostu zaledwie istotami ludzkimi, prawie zupełnie nie przygotowanymi do życia w takich czasach. I sama ta podróż, która wzmocni obecne tendencje, jest tak pełna ryzyka, że może nas wszystkich strącić w katastrofalne zawirowania. Na szczęście możliwy jest i inny wybór jeżeli wszyscy, jako obywatele, potrafimy na czas zrozumieć, że musimy sami zainteresować się swą własną przyszłością.

Przełożył
Benon Gaziński

Drukowany tekst fest fragmentem książki A.Peccel „One Hundred Pages for the Futurę, fteflectlons of the PresIdent of the Club ol Romę", Pergamon Press, 1981.

LĄDOWANIE XI

Kolejna porcja listów wymaga dziś publikacji. Zwłaszcza że skończyliśmy już pierwszy rok wydawania pisma i zaczyna się następny. A pragniemy unikać starych błędów. Tych, które wytykali nam Czytelnicy! Dziś spróbujemy trochę inaczej niż w kilku ostatnich „Lądowaniach”. Na Państwa żądania, krytykę czy pochwały pragnę natychmiast odpowiadać. Będzie to więc rodzaj lapidarnej dyskusji.

Energia egzystencji

... Według własnego przekonania odkryłem „energię egzystencji”, czyli - mówiąc bardzo lapidarnie - obliczyłem i sformułowałem tezę, ze materia nie może istnieć na kredyt... aby istnieć musi być zasilana w energię w sposób ciągły i tę energię nazwałem energią egzystencji... Posłałem informacyjne i b. skrótowe opracowanie wybranych zagadnień do PAN-u i... nie otrzymałem odpowiedzi. Posłałem podobne do „Horyzontów Techniki” i też milczenie. W tej sytuacji pomyślałem, ze jedną z szans jakie mi zostały, aby hipotezy moje ujrzały światło dzienne - a uważam, że bardziej bzdurne (jeśli moje są takie) nauka długie lata hołubiła - jest ta, aby spróbować zaproponować „Fantastyce” druk tych hipotez pod pokrywką SF...

*W. **Lipski** z Olsztyna*

Proszę nie mieć żalu do Polskie] Akademii Nauk, „Horyzontów Techniki”, a także i do nas Do nich za ich milczenie, do nas za negatywną – niestety - reakcję. Gdyby uczeni zaczęli odpowiadać tym, którym się zdaje, że potrafią wnieść do nauki jakieś nadzwyczajne wartości, będąc w sprawach naukowych kompletnymi laikami, musieliby w ogóle zaprzestać badań. Redaktorzy „Fantastyki” zaś nie mają zamiaru niczego ukrywać pod żadnymi pokrywkami. Mimo ogromnego rozwoju massmediów niemożliwe byłoby w żadnym kraju publikowanie opinii każdego, kto tego zażąda, o jego wyobrażeniach Wszechświata. Fizycznie niemożliwe. I skąd w Panu tak ogromne zadufanie w sobie, skąd pewność, że to co Pan pragnie powiedzieć czy przedstawić będzie z zainteresowaniem przyjęte przez naszych Czytelników? Z ich listów wiemy na pewno, że wolą zagłębiać się w lekturze powieści i opowiadań, które dla hien publikujemy.

Podpowiadać wartościowe

Mam nadzieję, że Redakcja nie zamknie się w ramach obecnej formuły miesięcznika. Konieczna wydaje mi się ewolucja pisma w kierunku bardziej wartościowych form wyrazu, nawet gdyby trzeba było te formy narzucać czytelnikom. Za niepotrzebną więc uważam „listę czytelników” (chodzi o bestsellery), skoro najwięcej jest zwolenników książek przygodowych czy rozrywkowych. Z góry wiadomo, jakie tytuły będą dominowały na czytelniczych listach. Podobały mi się utwory „Przełęcz” Bułyczowa oraz „Żuk w mrowisku” Strugackich. Za zupełne nieporozumienie uważam natomiast A. Morton „Świat czarownic” oraz „Pieśń dla Lyanny”.

S. Dawidów

Muszę Panu przyznać sporą dozę racji. To prawda, że wszystko, co pachnie rozrywką w literaturze SF Czytelnicy przyjmują chętniej niż rzeczy pogłębione, lecz trudniejsze przez to do strawienia. Nie chcemy jednak rezygnować z żadnej formy SF. Stąd, obok pełnej społecznych problemów powieści braci Strugackich, ta „Pieśń dla Lyanny”, czy fantasy - baśń o świecie, w którym nauka miesza się z czarami, a bajeczne przygody zaprawione są okrucieństwem. Niech się nasi Czytelnicy uczą wybierać. Niech sami decydują. Nie znaczy to, że nie będziemy próbować publikacji utworów o wielkim ładunku emocji i intelektu. Nadzieje pokładamy w poezji. Rzadki to gość na łamach światowych magazynów SF. U nas stanie się za to gościem częstszym. Rozpoczynajmy od utworów znanych i uznanych twórców, a także i tych, którzy już do historii przeszli, jak np. nasz znakomity i niezwykły Leśmian. W zanadrzu chowamy niewielkie co prawda ilości, ale rzeczy już całkiem dojrzale napisane - wiersze naszych Czytelników. Znane jest powiedzenie, że poetą się bywa. Dlatego może przedziały między tą sztuką w wydaniu amatorskim i profesjonalnym często zanikają całkowicie. Zresztą osądzicie Państwo sami.

Co z przyszłym komiksem

Bardzo się boję, ze gdy zniknie .ten trochę stereotypowy i nie najmądrzejszy bohater Waszego komiku-Funky, to niczego nie dacie ha jego miejsce”. U nas nie ma tradycji komiksowych. Ten język ciągle nie jest w użyciu, choć taki piekielnie atrakcyjny. Ale mało jest autorów - zarówno pisarzy, jak i plastyków - którzy potrafią władać taką piekielnie ciekawą mową. I co zrobicie, jeśli nie znajdziecie?

*Jerzy **Bryzek** z Krakowa*

Aleś pan trafił. W samą dziesiątkę. Mamy ambicje dawania polskiego, nowego, specjalnie dla nas, dla naszych Czytelników preparowanego komiksu i faktycznie niełatwo to idzie. Najpierw była całkowita improwizacja. Potem zaczęły się borykania naszej trójki autorskiej, której co złośliwsi nie szczędzili ostrych czy uszczypliwych uwag i komentarzy. A teraz? Szukamy i szukamy. Być może uda się wystartować z czymś nowym, kto wie czy nie powrócimy do przygód Funky'ego w całkiem ich nowej postaci. Zastanawiamy się również nad' wprowadzeniem na łamy komiksu zagranicznego. Jedno jest pewne - komiks będzie wkrótce, po stosunkowo niedługiej pauzie. Proszę się wobec tego nie niecierpliwić, chociaż rozumiemy powody tej niecierpliwości i przyspieszamy nasze starania. Dostajemy mnóstwo listów z troskliwymi pytaniami o dalsze losy komiksu - będzie na pewno!!!

Bardzo nie lubię skrótów

*Nazywam się **Janusz Jurek** mieszkam w Krakowie i uczęszczam, niestety, dopiero do I ki LO... Nie traktuje Pan młodych miłośników SF na równi z dorosłymi, mimo to zdecydowałem się zaprezentować swoje nowe opinie na nasze pismo... Bardzo nie lubię skrótów i dlatego uważam, że „Pożółkłe kartki”, to tylko marnowanie miejsca w czasopiśmie.*

Z wieloma tezami Pana obszernej wypowiedzi w wielu punktach się zgadzam. Osobiście również nie lubię czytania powieści na naszych łamach, wolę opowiadania. Do dyskusji nad ankietą przystąpimy kiedy indziej, gdy uda nam się właściwie opracować nadesłane odpowiedzi. Jest ich mnóstwo i za to jesteśmy Czytelnikom wdzięczni. A co do skrótów? W przypadku fragmentów prozy drukowanych na „Pożółkłych kartkach” pragniemy , po pierwsze - pokazać chociażby skrótowo dorobek faktyczny polskiej SF, jej historyczne wartości, po drugie - zachęcamy tymi fragmentami do sięgania przez Czytelników po całe stare książki w bibliotekach. Prawda, trudno je zdobyć. Tym bardziej jednak warte bywają u nas wzmianek. Proszę więc takich skrótów nie odsądzać od czci i wiary. Spełniają, jak to widać także i z wielu czytelniczych listów, dobrze swoją rolę. I jeszcze jedno: bibliografię, której się Pan domaga, zaczynamy drukować. Pragnęło tego typu publikacji wielu spośród licznej rzeszy Czytelników.

List ze Szwecji

Jestem członkiem klubu SF w Szwecji, wydającym 4 razy w roku magazyn zwany „Mes Verne” pod redakcją Sama Lundwalla. Zbieram także książki SF. „Fantastykę” prenumeruję. Przychodzi- ona z pewnym opóźnieniem. Numeru pierwszego, tegorocznego, nie dostałem w ogóle. Chyba już nie dojdzie. Krótkie biografie pisarzy to dobry pomysł. Wasz miesięcznik powinien też wprowadzić rodzaj malej encyklopedii SF. Komiks powinien być w kolorze, podoba mi się bardzo. Chciałbym na waszych tamach poczytać także coś ze skandynawskiej SF. Nie ma może wielu pisarzy, ale jest tu co czytać. Poleciłbym Denisa Lundbohma „Sądne gwiazdy” lub inne jego krótkie opowieści. Bertil Martensson wydał ostatnio trzecią część swojej trylogii. Jest też Boerje Cron czy Niels E. Nielsen. Ja zaś na ogół jestem zadowolony z „Fantastyki”.

***Jakub Lastman** z Malmoe*

Postaramy się spowodować przesłanie Panu 1 numeru z roku 1983. Myślimy o drukowaniu na łamach „Fantastyki” zarówno krótkiej encyklopedii SF, jak i bibliografii (już zaczynamy jej druk). Książki skandynawskich pisarzy rzadko do nas dochodzą. Przydałoby się. Spróbowalibyśmy znaleźć tłumaczy, aby najlepsze rzeczy mogły być zamieszczone na naszych łamach.

Tyle na dziś.

Redaktor



KOMIKS I MY

Maciej Parowski

Gdy we wrześniu-82 przystępowaliśmy wspólnie - Rodek, Polch i ja - do realizacji komiksu o Funkym Kovalu, zdawało nam się, że wykonamy skok wprost do nieba kultury masowej. Potem, kiedy zaczęły nadchodzić listy pełne zastrzeżeń do komiksu w ogóle, a naszej roboty w szczególności, okazało się, że jednak będzie to czyściec. Przyjdzie mi to jeszcze udowodnić, ale zapowiem rzecz z góry - otóż uważam teraz, że nie mogło być po prostu inaczej.



1



2



3



4

1 ,,Tego rodzaju historyjki nie są aż tak strasznie potrzebne" - napisała do ,,Fantastyki" jedna z Czytelniczek po paru zaledwie odcinkach. W tych słowach przejrzał się polski stosunek już nie tylko do komiksu, lecz do całej kultury wizualnej. Żyjemy przecież w kraju, w którym dorośli wstydzą się czytać książki z ilustracjami; ilustracje to jest zabawa dla dzieci, wśród dorosłych potrzebują ich jedynie półgłówki. „Po co marnować strony na komiks, kiedy można by wydrukować na jego miejsce jeszcze jedno opowiadanie" - konkluduje w liście ktoś inny. Rzeczywiście, komiksy potrzebne nie są. Ale przecież fantastyka także. I kino też nie. A literatura?... Konieczne jest tylko papu i dach nad głową. Wstąpmy więc w ten czyściec niekonieczności, rozejrzyjmy się w sytuacji, ustalmy podstawowe pojęcia. Może powoli odbijemy się od dna i jednak wyjdziemy na swoje.

2 Trzeci Czytelnik, najżyczliwszy, zauważa, że nasza robota byłaby lepsza, gdyby ją puścić w kolorze. To fakt, zwłaszcza, że to, co oglądaliśmy w ,,Fantastyce", to ściślej biorąc półprodukt. Ten komiks powstał z myślą o kolorowym albumie, wszystkie białe pola na tych planszach czekają, by je zapełnić. Pomijając te, które pozostaną nieskalane, by zalśnić bielą wśród barw. Bez koloru (oczywiście lepszego niż ten w „Fantastyce") rzecz jest właściwie niepełna. Bo tak jest robiona. Ale można sobie wyobrazić komiks rysowany z założenia jako wyłącznie czarno-biały. Czerń, kreska, plama używane byłyby tu hojniej, z większym luzem, nie jako kontur do wypełnienia, lecz absolutnie samodzielny środek wyrazu. Jak na przykład w rysunkach Mleczki albo Czeczota, albo Krauzego, albo.,, Crepaxa lub Crumba. Czy Państwo coś wiecie o Crumbie?

3 Tak w tej, jak w paru innych dziedzinach, sytuacja jest w Polsce przedziwna. Budowaliśmy komiksowy dom od dachu, nie dociągając go nawet do dziewiątego piętra. Spijaliśmy samo Mleczko, samą śmietankę. Nie było kawy. Nie było właściwie filiżanki, że nie wspomnę o spodku. Mleczko, Dudziński, Czeczot, Sawka, Krauze, Lutczyn... cały parakomiks intelektualny, jakim parę lat temu płynęły jeszcze łamy polskiej prasy, to była rafinada powstała u nas zupełnie bez zaplecza. Jeździec znikąd! Zawsze byliśmy krajem cudów. Światowa premiera filmu „Zawód reporter" Antonioniego odbyła się w studenckim klubie ,,Remont" w Warszawie, a naszym dziewczętom udawało się czasem „unaczeźnić" kiecki pod nową modę o te dwa-trzy dni wcześniej przed Paryżem. Tacy właśnie jesteśmy. Nie mieliśmy, komiksowego Asterixa, Barbarelli, Flasha Gordona, Supermana, Batmana, Tarzana, Tintina, Zorro... nie mieliśmy całei masy komiksowego śmiecia i komiksowych diamentów - bezliku bohaterów i opowieści; setek wydawnictw, serii i zeszytów - ale powstało u nas ex nihilo coś na kształt czarnego komiksu intelektualnego.

1. B. Polch(1981)
2. P. Gillon
3. Moebius (J. Giroud; 1977)
4. G. Rosiński (1981)

To znaczy „Wesoły sanitariusz" Mleczki, „Ptak Dudi" Dudzińskiego, straszne dzieci Lutczyna, upiorna wiejskość Czeczota, młodokulturowe komiksowe grafiki Sawki.
Tam na Zachodzie szczepił się ten nowy, wyrafinowany, anarchiczny, szyderczy, erotyczny, przewrotny komiks na powszechnej znajomości komiksowego języka, na wspólnej mitologii i komiksu. Powstawał w powszechnej świadomości istnienia panteonu jego nieśmiertelnych bohaterów. Na jedną i tę samą historyjkę Ciągniętą przez lat na przykład trzydzieści załapywało się przecież parę pokoleń odbiorców. Ten nowy, wybuchły w 1968 roku komiks underground przeczył, kontestował, przedrzeźniał, przekraczał przeróżne pisane i niepisane kodeksy i parodiował zbiorowy dorobek komiksu wywodzącego się jeszcze z końca XIX wieku, z gazetowych „stripów". U nas - nie. U nas to się wzięło z powietrza, z zapatrzenia, z tęsknoty za Europą. I, przyznajmy, od razu wskoczyło na światowy poziom. I, przyznajmy, było rozumiane tam i tu.
Zbudowaliśmy „drugi komiks" nie mając właściwie pierwszego.

4 Potrzeba sensu oto co nas zgubiło. Polak przystanie na rysunek, na ciąg rysunków, na kolumnę w piśmie zapełnioną pociągnięcia-



mi piórka, a nie składem drukarskim - pod warunkiem, że będzie ona coś znaczyć w sensie bardzo tradycyjnym. To znaczy, że rysunek komuś przygrzeje, przydzwoni, że nieść będzie jakąś aluzję - najlepiej polityczną, ale obyczajowa i personalna może być także. Zbyt wiele rzeczy po prostu było do wyśpiewania, byśmy potrafili en masse przystać na komiks jako zabawę. „Po co marnować strony, kiedy można...” to jest ten syndrom i ja go po części rozumiem. Ileż ciegów zebrał „Relax”, sam do tego przyłożyłem rękę w swoim czasie, a przecież było to pisemko ze wszech miar interesujące i zupełnie nieźle robione. Pamiętacie państwo „Orient Mena” Baranowskiego, ,,Bajki dla dorosłych” Christy, absolutnie nieszablonową opowieść o Maślaku Śmierdzirobotce wg Morcinka, czy choćby brawurową nowelkę SF „Spotkanie” wg scenariusza Siwanowicza, zrobioną przez już znanego wam Polcha? Ten komiks ,,Relaxu” był na swój sposób tradycyjny - jeszcze nie Giroud-Meobius ani Drillet - na pewno nie dziesiąte piętro czy komin, ale też nie parter i nie suterena. Lecz dla nas, spragnionych jednoznacznych sensów, dla nas niezdolnych smakować samą sztukę obrazkowej narracji, dla nas niezdolnych rozkoszować się kształtem-kompozycją kolumny, cudowną równowagą dymków i postaci, kadrowaniem zrywającym ze sztywnymi podziałami; dla nas nieczułych na grę zbliżeń, planów i zmian kątów widzenia - był ten komiks zbyt błahy.

Niezdolnych smakować samą sztukę proszę to określenie traktować także dosłownie. Do dziś trafiają się klienci, którzy po prostu gubią się na komiksowej planszy. Nie wiedzą, jak przechodzić od obrazka do obrazka, nie są zdolni wypełnić luk i smakować akcji jako ciągłej, mimo że podanej w sposób szarpany. Potrafią to robić dzieci, nie potrafi tego wielu dorosłych, którzy jak straszni mieszczanie Boya widzą wszystko osobno. „Nie lubię komiksu” tak się to teraz enigmatycznie określa. Wyrafinowana inteligencja chadza w parze z niekompetencją - przypuśćmy, ale w tym określeniu byłoby jednak zbyt wiele niesprawiedliwego jadu. Powiedzmy to więc inaczej: na to, by na serio zająć się komiksem, Polak był zbyt zagubiony, miał zbyt dużo innych poważnych problemów na głowie. Przypominam, że żyjemy w kraju, w którym do komedii filmowych miano czasem pretensję, że są niekonstruktywne i śmieszne. Pozostawali nieliczni fanatycy i ci, którzy kupią komiks na każdych warunkach i w każdej postaci - to znaczy dzieciaki. Tych popycha w ramiona komiksu naiwność, pragnienie rozrywki, poszukiwanie przygody nieokiełznanej i wariackiej, słowem coś, co wymyka się słowom.



5 A tak się ładnie zapowiadało. I to parokrotnie. W 1956 roku powstało pismo „Przygoda”; między innymi debiutował w nim Christa. Miał wtedy lat kilkanaście. Pismo padło po dwu latach. W tym samym czasie w „Świecie Młodych” startował z komiksem Chmielewski. W latach sześćdziesiątych „Na przełaj” drukował komiks o „Lucky Luke'u”. Proszę wybaczyć, że ta chronologia jest szarpana, przecież nie wszystko dokładnie pamiętam, a opracowanie na temat komiksu w Polsce nie istnieje. W 1971 roku reżyser Kondratiuk ukończył film telewizyjny „Hydrozagadka”, w którym stworzył postać rodzimego Supermana (pelerynka, trykot, umiejętność fruwania wszystko było jak trzeba) granego przez Jana Nowaka. Była w tym pewna cienkość

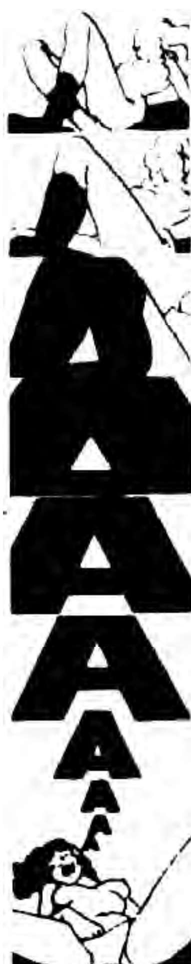
- Nowak w kinie odtwarzał zawsze dotychczas pozytywniaków - nie wszyscy ją kupili; skąd mieli wiedzieć o pelerynce i Supermanie. Kto uważnie czytał kulturalne kolumny „Forum”, ten u schyłku lat sześćdziesiątych mógł dowiedzieć się o eksplozji nowego komiksu na Zachodzie, bardzo poważnie traktowanej przez tamtejszych intelektualistów. Francuska „Barbarella” wg komiksu Foresta weszła na nasze ekrany w połowie roku 1970. O komiksowej proweniencji poinformowali widzów krytycy; w prasie pojawił się wielokroć potem powtórzony dosłowny cytacik z Foresta, na którym półnaga Barbarella chwali miłosny kunszt robota-Dictora, a ten samokrytycznie stwierdza, że był zbyt mechaniczny. Przypominam: jest rok 1970, nasz młodzieżowy rysunek podbija rodzima seria „Żbików”, i „Klossów”. W tej robocie, dość jeszcze topornej i nieporadnej, tylko znawcy mogli dostrzec, że autorzy mają jednak dryg i smykałkę. Robili te komiksy min. dwaj ludzie, których kreskę państwo w listach chwalicie i którzy podbijają dziś rynki światowe: Rosiński - „Thorgalem” i Polch

- serialem Danikenowskim. Cóż, do nieba komiksu Polak musi iść przez dwa czyśćce

- zbiorowy i indywidualny.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych wiele dobrego dla zrozumienia komiksu zrobiły „Szpilki” pod kierownictwem Toeplitza. 8 października 1972 roku ukazał się numer przełomowy, poświęcony komiksom od początku do końca. Hasło numeru -komiksy są sztuką. Zacytowano tam kolumny z dwunastu oryginalnych komiksów (dymki przetłumaczono), które stanowią kamienie milowe w rozwoju światowej literatury obrazkowej. Bo tak właśnie fachowo nazywa się komiks.

To w tym właśnie numerze . można było obejrzeć Crumba, amerykańskiego rysownika „underground”, który tak bardzo przypominał Mleczkę. Albo którego Mleczko będzie później



przypominać tak bardzo. Numer „Szpilek” z 1 kwietnia 1977 roku - już Fillerowski daje niezłą możliwość porównań, wypełniają go w całości komiksy autorów polskich. Była to zgrywa, żart i wygłup, ale zaprezentował się komiks polski przed siedmiu laty jako dziedzina treściowo pojemna i polskim rysownikom nieobca. I mimo że żartobliwa, to dająca się postawić obok dokonań światowych.

Sierpniowy numer-„Literatury na świecie” z 1974 roku zrobił wiele dla podniesienia prestiżu komiksu, drukując „Poemat w obrazkach” Buzzatiego i w niespełna dwa lata później „Fanomasa przeciw międzynarodowym wampirom” Cortazara, co nie przeszkodziło Telewizyjnemu Trybunałowi Wyobraźni, w tym samym mniej więcej czasie, zgnoić komiks doszczętnie, bez dopuszczenia nawet obrony do głosu. Próbowali to potem odkręcić, mówiąc o komiksie dobrze i źle, ale fachowo - Łysiak w „Polityce”, i wyłącznie dobrze - niżej podpisany w „Ekranie”. W numerze „Sztuki” 2/5 z roku 1978 bardzo poważnie analizował język komiksu Ryszard K. Przybylski... Piszę o tym tak szczegółowo, bo wynika z tego zestawienie, że kto chciał dowiedzieć się czegoś o komiksie, to na upartego mógł tego dokonać. Tymczasem we wspomnianym Trybunale Wyobraźni ujawniła się cała urazowość, zacietrzewienie i zamknięcie intelektualne przeciwników komiksu. Nie chcieli o niczym wiedzieć, nie chcieli niczego słuchać. „Relax” leżał wtedy w kioskach i zdawało się, że rynek komiks odrzuca. Ale to nie była prawda, nakład pisemka był trochę większy od tego podanego oficjalnie i trzeba było rynkowi dać czas na wchłonięcie masy towaru. Co zresztą się stało. Dziś rachowane zeszyty „Relaxu” są ozdobą prywatnych bibliotek. Ja osobiście trzymam je w specjalnej teczce, wraz ze wspomnianymi numerami „Szpilek”, z wycinkami z prasowych kampanii o komiks, z wywiadem z Christa wyciętym z „Czasu”, z paroodcinkowym serialem Magali o komiksie, drukowanym w 1977 roku przez tygodnik „Razem”, z numerami „Alfy”, w których najlepszą komiksową robotę proponował Rosiński, z piętnastką bodaj czy już dwudziestka zeszytów „Tytusa, Romka i ATomka”, które uważam za bardzo udany polski komiks - kto wie, czy nie najbardziej u nas popularny i nie najbardziej suwerenny artystycznie. Mój jedenastoletni syn w każdym razie przerabia to na okrągło.

6 Polskiego komiksu czasy, powiedzmy, nowożytne - znowu regres. Rok 1981

- definitywna śmierć „Relaxu”. Cóż z tego, że go teraz wskrzeszono, kiedy to już nie jest ten wielotematyczny, różnorodny formalnie maga-

zyn wzorowany na formule francuskiego „Pilote”; w dodatku pozbawiono ten nowy ,,Relax” koloru. Ma być lepiej, zapowiedziany jeszcze w 1977 roku bogato ilustrowany album-esej Toeplitza o komiksie światowym może w końcu dotrze do publiczności. Miałem na ten temat sygnały w zaprzyjaźnionym „Czytelniku”. Znamy fragmenty tej pracy, drukowane m.in. rok temu w „Polityce” i jakieś sześć lat temu w „Kulturze”. Wynika z tego, że rzecz jest fachowa, zamierzona ambitnie i dla komiksu życzliwa. Czy to coś zmieni? Z datą lipiec-80 ukazał się, wydany przez Polską Federację DKF, numer „Filmu na świecie” (miesięcznika rozpowszechnianego niestety tylko przez kluby w skromnym trzytysięcznym nakładzie), poświęcony związkom filmu i komiksu. Jak na razie jest to praca na naszym rynku fundamentalna, zawiera eseje światowych znawców komiksu i kina, wywiady z twórcami, mnóstwo reprodukcji i prezentację najsłynniejszych bohaterów komiksowych, którzy zawitali do kina. Nie będę przecież streszczał tego wszystkiego, ale zacytuję kilka zdań ze wstępu: „Komiks bywa sztuką (już bez mała stuletnią - przypis M.P.). Nadaje mu się nawet ostatnio miano dwunastej muzy. Doczekał się za granicą szeregu opracowań i rozpraw naukowych. Tacy twórcy filmowi jak Alain Resnais, Federico Fellini, czy Jean-Luc Godard nigdy nie ukrywali wpływu, który wywarł na ich sztukę komiks. Nie tylko zresztą na ich sztukę. Cała sztuka filmowa, bez wpływu komiksu rozwijałaby się być może inaczej”. I nie chodzi tu proszę państwa bynajmniej o same wątki, mitologie, postacie, chodzi także o język kina, który, okazuje się, został wynaleziony właśnie na terenie komiksu. Całe nowe kino SF - Lucas, Spielberg, Scott zapożyczają się wyraźnie u komiksiarzy i nie wstydzą się do tego przyznać.

Po co ja to mówię. Komu ja to mówię w kraju, w którym sztuka chadza najczęściej na wysokich, jak nie patriotycznych to ideologicznych koturnach. Pyta sarkastycznie Czytelnik w liście do redakcji, czy Parowski od „Twarzą ku ziemi” i recenzji oraz ten od komiksu to jedna i ta sama osoba? Oczywiście drogie dziecko, że ta sama. I oczywiście, że inna. Po pierwsze tamten pracował samotnie i wyłącznie na swoje konto, a ten ma dwójkę wspólników. Po drugie tamten pracował jako pisarz, a ten wchodzi w rolę scenarzysty. Po trzecie tamten konstruował postać bardzo ściszoną, skierowaną do wewnątrz, człowieka biernego i przegrywającego; ten od komiksu przykłada rękę do postaci szaławiły, trochę pyszałka i awanturnika, który zanim pomyśli, to odda. Po czwarte tamten Parowski sprzedawał swoje myślenie w mglistym języku prozy; ten od komiksu natomiast zmusza się (bywa zmuszany przez wspólników) do wypowiadania się językiem obrazów... Jest to więc rzeczywiście dwóch facetów (trzeci pisze ten szkic) i jeden uczy się od drugiego. Jeśli uda mi się napisać drugą powieść, to mam wrażenie, że jej bohater będzie bardziej zdecydowany, akcja bardziej wartka, a świat przedstawiony w tej powieści będzie lepiej widziany. Będę zawdzięczał to nie tylko świadomemu zamiarowi, lecz także lekcji Funky’ego - lekcji komiksu. Dlatego błagam, nie każcie nam wstydzić się, że pisząc scenariusz komiksu oddajemy się jakiemuś parszywemu zajęciu podejrzanemu kulturowo i moralnie. Bawili się w .to lepsi od nas. Ja w każdym razie cieszę się, że los pozwolił mi się sprawdzić także w tym medium, a nie kazał ograniczyć się do sporadycznego przeglądania komiksów i pisania od czasu do czasu felietonów w ich obronie. Kontakt z osobowością rysownika, który widzi świat, jaki do najdrobniejszej kreseczki prezentuje czytelnikowi (w przeciwieństwie do pisarza, któremu wystarczy, gdy go sobie fragmentarycznie wyobrazi) - bywa, dla mnie w każdym razie, nieodmiennie fascynujący i zapładniający.

7 Błagam też, żeby nie wyszło tak, że uważamy Funky’ego za arcydzieło. Wiadomo, jest trochę błędów. Rzecz rozpoczęta w pośpiechu (właściwie z dnia na dzień) i zrazu zamierzona jako ciąg odrębnych przygód, zamieniła się nam potem w dłuższą historię. To dało się jakoś spasować, wątki połączyć, ale szwy najprawdopodobniej nie uszły uwadze Czytelników. W albumie będzie lepiej, wejdą kolumny dodatkowe, zrestą mówimy o tym, co zostało zrobione do tej pory. Prawdziwy problem leży gdzie indziej. Bo my przecież nie startujemy w komiksie intelektualnym, który - jak to próbowałem wykazać - Polakom przedziwnie wychodzi. My startujemy w standardzie. W przygodowym komiksie SF. To znaczy nie w tym, co na świecie zaczęło się w 1968 roku i rozwinęło też w Polsce, lecz w dziedzinie, która na Zachodzie trwa już prawie stulecie, a w Polsce jest niemal nieznana. Na spotkaniu w Klubie „Zaułek” w Krakowie dowiedziałem się od tamtejszych fantastów, że koncepcja głównego bohatera jest nie do zniesienia, bo zanadto przypomina on Supermana i za często zwycięża. Oni też wiedzą, zgoda, kto to wie jeszcze? W amerykańskich komiksowych kodeksach, przestrzeganych od czasów kontestacji, obowiązywał zakaz kompromitowania szkoły, polityków i wojskowych, epatowania seksem... A my, proszę, Funky bije policjantów po zębach już w pierwszym odcinku, politycy są załatwieni w ostatnim i... nic się nie dzieje. Nikt z Państwa nie ma poczucia skandalu. Właśnie na tym polega problem w komiksie polskim - wszystko, już jest wymyślone i wszystko jest do wymyślenia. Poza tym odpowiadając Krakowiakom - są z grubsza biorąc dwie koncepcje bohatera. Albo będzie zwyciężał, albo przegrywał - kogo wybierze czytelnik? Proszę pamiętać, to nie jest powieść, to jest kultura masowa.

Owszem, można pójść na oryginalność, zagrać wbrew konwencji, ale tej konwencji w





Polsce praktycznie nie ma. My ją dopiero tworzymy, ucząc komiksowego języka siebie i Czytelników, Stworzyliśmy nowego bohatera, a nie pożyczonego z Biblii, z Danikena lub ze Stevensona. Czy Państwo zauważyli, że każdy następny odcinek, Funky'e.go był żywszy, bogatszy psychologicznie i formalnie od poprzedniego? Rozpędzaliśmy się w robocie, zgoda, ale przybywało tez materiału, od którego można się było odbić. Sztuka masowa wytwarza swą mitologię sama i niejako od nowa. Zjawiały się stereotypy, którym mogliśmy się przeciwstawić. Funky musiał najpierw wygrać, żeby jego późniejsze potknięcia i porażki miały smak zaskoczenia. Musiał być wszechwiedzący, żeby potem zaskoczyć Czytelników chwilą umysłowej niemoty. Przypominam, w sensie rodzimej komiksowej mitologii zaczynaliśmy, praktycznie od zera. Od czego mieliśmy się odbić, co skontestować - „Koziołka Matołka"? Może to wszystko są słowa aż nadto duże jak na Funky'ego Kovala. Ale są to w każdym razie słowa na temat.

8 Z komiksem jak z flirtem: jest smaczny, kiedy chcą obie strony, Kiedy chce tylko jedna, to ta druga może się w najlepszym wypadku narazić na śmieszność. Może nasz Funky jest śmieszny, a może nie. Proszę/sięgnijcie Państwo do zagranicznych zeszytów, przetłumaczcie sobie dymki. Wejdźcie Państwo w tę grę, porów naicie. Czy nie jest czasem tak,



że oczekujecie od nas zbyt wiele? Robimy komiks, tylko komiks, aż komiks. Literaturę, publicystykę, recenzję, szkic o komiksie będziemy robić przy innej okazji. Albo inni zrobią to za nas.
A my za jakiś czas zrobimy następnego Funky'ego. Będzie może lepszy, a może gorszy. Na pewno trochę inny, do czegoś się jednak tą pierwszą serią rozpędziliśmy. Do czego? - sza, to się jeszcze zobaczy. A w tzw. międzyczasie prawdopodobnie wejdzie na te kolumny inny rysownik, z innymi scenarzystami. Zapewne nie będą mieć naszych wad. Ale może nie będą też mieć naszych zalet?
Czy Państwo przystajecie na tę grę, czy też dalej będziecie przysyłać listy o zmarnowanych talentach i straconych kolumnach?

9 Gdybym miał bronić komiksu, bo jednak stał się ten wywód obroną (mam nadzieję, że nie tylko Funky'ego, lecz komiksu w ogóle), powiedziałbym mniej więcej tak:
Jeden obraz niesie tysiąc słów, tego nauczyliśmy się od McLuhana. Ale słowa, sensy, jakie niesie obraz, bywają zupełnie różne od tych, jakie niesie książka. Jeden obraz to nie są trzy kartki, każda zapełniona 333 słowami - równo, jak obszył. To wygląda zupełnie inaczej. Zrezygnować z komiksu, to znaczy zrezygnować z tych słów, z tych sensów, jakie rodzą się w naszej głowie, kiedy oko penetruje planszę, przeskakuje z kadru na kadr, zagłębia się... Wystarczy udowodnić że są to słowa i sensy nie do przekazania w żaden inny sposób, by komiks był usprawiedliwiony. W poważnych pracach krytycznych na temat amerykańskiego komiksu, od którego się to wszystko zaczęło, można znaleźć zdanie, iż komiks, zwłaszcza SF, sprawdził się jako swoiste duchowe lekarstwo Amerykanów na czasy kryzysu. Przeglądała się w nieokiełznaniu ówczesnych rysowników i scenarzystów niezłomność, przebojowość, fantazja i wyobraźnia narodu,



który przecież w końcu z kryzysem sobie poradził i na wzór bohaterów tej XX-wiecznej Biblii Pauperum sięgnął gwiazd. Mozę tego się właśnie złapać i trzymać, tej powierzchniowej analogii - w komiksie wszystko jest przecież możliwe, a gwiazdy potrafią być takie piękne, takie czarujące. Wiemy to, między innymi, za sprawą komiksów.

Maciej Parowski

SOLARIS

Osiemnastego września 1983 roku podczas 8 Zjazdu Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction nagrodę za najlepsze pismo roku zdobyła nasza „Fantastyka” wraz z zachodnioniemieckim czasopismem „Solaris”. Pierwsze jego numery ukazały się, podobnie jak nasze, w roku 1982. Naczelnym redaktorem jest pisarz i dziennikarz, Uwe Luserke, który zaraz na początku swej edytorskiej działalności nawiązał z nami kontakt, proponując wymianę materiałów; przysyłając wiele wartościowych opowiadań znanych pisarzy oraz sporo prac plastycznych. Istnieją wszelkie szanse na wykonanie wspólnych wydań opowiadań pisarzy polskich skupionych wokół „Fantastyki” oraz pisarzy niemieckich skupionych wokół „Solaris”. Wydania magazynu „Solaris” są bogato ilustrowane. Autorzy tekstów należą do znanych na całym świecie - A. Ciarkę, T. Sturgeon, Elizabeth Lynn. Prawie połowę swych numerów poświecą „Solaris” zapowiedziom wydawniczym, filmowym i telewizyjnym oraz materiałom z zakresu krytyki. Sporo jest także publicystyki i eseistyki naukowej, ściśle związanej z tematami najnowszych książek SF. Ciekawe czasopismo. Pogratulować sukcesu. **A.H.**



Chris Achilleos

